

luty '89

kultura

NIEZALEŻNA

48

luty '89

kultura NIEZALEŻNA

MIESIĘCZNIK

Komitetu Kultury Niezależnej

Warszawa

48

SZKICE

- Jerry Z. Muller - Komunizm, antysemityzm
i Żydzi - 3
- Jacek Trznadel - Las Katyński - las
Birnam... - 38
- Jan Walc - Mefisto z kwiatem glicynii - 57

ŚWIADECTWA

- Kazimierz Orłoś - Mała śmierć na dłoni.
Rozmowa z Radkiem
Sikorskim o Afganis-
tanie - 99

KOMUNIKAT

- Nagrody kulturalne "Solidarności"
za rok 1988 -116

RECENZJE

- E.B. - Stąd i stamtąd -118
- Barbara Engelking - Pamiętnikarze z
getta warszawskie-
go -126
- Michał Beskidzki - Edytorski "szkopuł
poduszczony..." -132

FELIETONY

- Jacek Bocheński - Czasy są przykre... -137
- Leopolita - Moim zdaniem... -144

REALIA

- Marian Kallas - Założenia do projektu
nowej Konstytucji
Rzeczypospolitej -148

- WYDARZENIA /red. Leon Bober/ -157

- NOWOŚCI WYDAWNICZE -167

Copyright by

KULTURA NIEZALEŻNA

Numer oddano do druku

16 lutego 1989 r.

SZKICE

JERRY Z. MULLER

KOMUNIZM, ANTYSEMITYZM I ŻYDZI

I

Żydzi i komunizm: w latach osiemdziesiątych zestawienie tych dwóch pojęć wywołuje coraz silniejszy rezonans, choć nadal budzi rozmaite skojarzenia w świadomości zbiorowej. Dwadzieścia lat temu Nowa Lewica, w poszukiwaniu sztandarowych postaci, zajęła się odświeżaniem reputacji niektórych bojowników rewolucji z czasów, kiedy idee komunistyczne jeszcze pozbawione były odium, jakie na nie rzuciła rzeczywistość post-rewolucyjna. Nowa Lewica zwróciła się ku teoretykom i uczestnikom wielkiej fali rewolucji lat 1917-1919 w Europie wschodniej i centralnej: wielu z nich miało pochodzenie żydowskie.

Honorowe miejsca w panteonie Nowej Lewicy zajęli: Róża Luxemburg, Lew Trocki, a nawet tak egzotyczny rewolucjonista jak Georg Lukács, teoretyk estetyki leninizmu. Zaangażowanie niektórych Żydów amerykańskich w działalność partii komunistycznej określano odtąd w typowym języku lat sześćdziesiątych jako "znaczące ludzkie doświadczenie". Vivian Gornick pisała w "The Romance of American Communism" /Romantyzm amerykańskiego komunizmu/: "Owa partia w zdumiewający sposób wzbudzała ten rodzaj

braterstwa /comradeship/, który kobiety i mężczyźni napełnia najgłębszym poczuciem człowieczeństwa, pozwalając kochać siebie samego poprzez akt wzajemnej miłości".

Dziś niewielu Żydów amerykańskich podpisałoby się pod tak sielankową wizją ruchu komunistycznego. Nieliczni, którzy sprawę głębiej przemyśleli, skłonni są raczej uważać przygodę Żydów z komunizmem za nieznaczne odejście od linii jednoczenia się z demokracją amerykańską, za ślepy zaułek bez większego wpływu na historię zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Żydów amerykańskich. Istotnie, ów wpływ był nikły, ponieważ partia nie zdobyła władzy na szczeblu krajowym w żadnym ze stanów, ani w żadnym z miast. Amerykanie nigdy nie określali Żydów mianem "żydokomuny", nawet podczas procesu Juliusza i Ethel Rosenbergów, kiedy to ruch komunistyczny usiłował wykorzystać obawy niektórych Żydów, przedstawiając antykomunizm jako formę antysemityzmu. W świadomości zbiorowej Amerykanów pochodzenia żydowskiego, wpłatanie Żydów w komunizm nie zasługuje na wzmiankę.

W Europie wschodniej i środkowej natomiast, postać Żyda nierozzerwalnie kojarzono z komunizmem przez większą część dwudziestego stulecia. Losy Żydów rozgrywały się na tle głęboko zakorzenionych uczuć antysemitycznych. W Imperium Rosyjskim i w Rumunii antysemityzm okazywano już na szczeblu władzy, poprzez odmowę praw obywatelskich, ograniczenie prawa do osiedlania i utrudnianie dostępu do szkolnictwa. Na poziomie lokalnych społeczności organizowano pogromy. W imperiach stosunkowo bardziej liberalnych, w Niemczech i Austro-Węgrzech, antysemityzm przybierał subtelniejszą i mniej uciążliwą formę. Wkrótce jednak w Europie środkowej i wschodniej oblicze antysemityzmu miało ulec poważnym zmianom, wskutek rosnącej aktywności rewolucjonistów żydowskich, którą interpretowano z pozycji antysemitycznych, przypisując wszystkim Żydom przekonania rewolucyjne.

Mit Żyda-bolszewika wyłonił się z fali rewolucji pod koniec I wojny światowej. Koncept ten stał się osią nazistowskiego programu antysemityzmu ideologicznego i pozwolił wciągnąć nie-niemieckie narody Europy wschodniej do współpracy przy realizacji owego programu podczas II wojny światowej. Po wojnie dialektyka antysemityzmu i komunistycznego zaangażowania Żydów w dalszym ciągu wywierała wpływ na historię wschodniej Europy, gdyż podejrzana rola, jaką osoby narodowości żydowskiej odegrały w procesie sowietyzacji, znów odmieniła oblicze antysemityzmu, tym razem czyniąc z niego element powszechnej opozycji wobec stalinizmu. Wtedy Sowieci i komuniści wschodnioeuropejscy dokonali ostatecznego zwrotu, wykorzystując ów nowy antysemityzm dla własnych celów.

Zgubna kombinacja prawicowego antysemityzmu z żydowskim poparciem dla komunizmu rewolucyjnego nie uszła uwadze historyków, lecz niewielu doceniło jej znaczenie dla historii współczesnej Europy. Moim celem w niniejszej pracy jest naszkicowanie zarysów opowieści, w której nie mam zamiaru skupiać się, jak większość badaczy, na kwestiach motywacji, lecz na konsekwencjach, zarówno zamierzonych, jak i niezamierzonych.

Każda próba badawcza napotyka ten sam dylemat: kogo właściwie należy uznać za Żyda? Czy historyk powinien uwzględnić tych, którzy z własnej woli, otwarcie odżegnali się od judaizmu i narodu żydowskiego? /Np. rodzice Karola Marksa przeszli na luteranizm, gdy syn miał 4 lata./ Uznanie tych ludzi za Żydów może wyglądać na akceptację rasistowskich kategorii narzucanych Żydom przez ich wrogów. Z kolei oparcie się o opinie antysemitów grozi zaliczeniem do narodu żydowskiego osób bez historycznych powiązań z tym narodem, np. Józefa Stalina, którego prawdziwe nazwisko: Dżugaszwili,

według słów pewnego ukraińskiego emigranta-antysemity znaczy po gruzińsku: "syn Żyda". Najbardziej rozsądne wydaje się zaliczenie do Żydów wszystkich tych, którzy za Żydów uchodzili i istotnie legitymowali się żydowskim pochodzeniem.

II

Artykuł w londyńskim "Illustrated Sunday Herald" z lutego 1920 r., zatytułowany: "Syjonizm kontra bolszewizm - spór o duszę narodu żydowskiego" określa bolszewizm następująco: "...spisek międzynarodowego żydostwa... W końcu owa banda wybitnych osobistości podziemnego świata wielkich miast Europy i Ameryki schwyciła naród rosyjski za kołtun na łbie i bez reszty za-władnęła ogromnym imperium."

Autor artykułu, Winston Churchill, podzielał pogląd wielu przeciwników bolszewizmu, wywodzących się nie tylko z Rosji, którzy poczesne miejsce Żydów w kierownictwie partii bolszewickiej uważali za rzecz oczywistą. Lew Trocki, komisarz spraw zagranicznych w pierwszym gabinecie Lenina, zorganizował w 1917 r. przewrót w Piotrogradzkiej Radzie Delegatów i obalił liberalny rząd Aleksandra Kiereńskiego. Inni znacniejsi bolszewicy pochodzenia żydowskiego to: przewodniczący Najwyższego Sowietu Jakow Swierdłow, wiceprzewodniczący Rady Komisarzy Ludowych i przewodniczący sowietu moskiewskiego Lew Kamieniew /Rosenfeld/, przewodniczący Piotrogradzkiej Rady Delegatów i przywódca Międzynarodówki Komunistycznej Grigorij Zinowiew /Radomyslskij/ szef piotrogradzkiej CzeKa Mojsiej Uritskij, oraz Karl Radek /Sobelsohn/, znacząca postać w partiach komunistycznych Rosji i Niemiec.

Gdy tak wielu bolszewików na kierowniczych stanowiskach miało pochodzenie żydowskie, łatwo przychodziło uznać bolszewizm za typowo "żydowski" fenomen. I skoro Win-

ston Churchill, osobiście daleki od antysemityzmu, mógł uważać bolszewizm za chorobę żydowskiej państwowości, starzy zwolennicy poglądu, iż Żydzi zagrażają cywilizacji chrześcijańskiej, tym bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że bolszewizm stanowi w gruncie rzeczy kwintesencję żydowskiej duszy.

Jednakże bez względu na przemawiające za tym argumenty, identyfikowanie bolszewizmu z Żydami było błędne. Większość Żydów rosyjskich pewnie z radością powitała upadek carskiego reżimu, który podsycał antysemityzm, wyznaczał Żydom strefy osiedlenia i radykalnie ograniczył ich dostęp do wyższych uczelni. Żydzi pamiętali niedawne wypędzenie z Moskwy /1891 r./ oraz fakt, że rząd carski tolerował prześladowanie Żydów i wręcz zachęcał do pogromów setek osiedli żydowskich w przededniu rewolucji 1905 r.; pamiętali proces, w którym skazano Mendela Beilisa w r. 1911, pod zarzutem zamordowania chrześcijańskiego chłopca i używania jego krwi w celach rytualnych; pamiętali deportację w głąb Rosji setek tysięcy Żydów, oskarżonych o spowodowanie klęski armii rosyjskiej w 1914 r.

Jednak po rewolucji lutowej 1917 r. rząd Kiereńskiego przywrócił prawa Żydom. Poza tym antysemityzm władzy, pomimo stosowania drastycznych środków, nie zbliżył większości Żydów do radykalnej lewicy. W Rosji carskiej najbardziej aktywni politycznie Żydzi nie byli socjalistami. W pierwszej Dumie rosyjskiej 1906 roku zasiadło dwunastu Żydów; dziewięciu spośród nich związanych było z liberalną partią Konstytucyjnych Demokratów. Ci o przekonaniach socjalistycznych zaś identyfikowali się w większości z Bundem, mniejsza liczba opowiadała się za syjonistyczną Poalei Sion, jeszcze mniejsza liczba za mieńszewikami, a zwolennicy bolszewizmu stanowili znikomą garstkę.

Przyczyną, dla której Żydzi rosyjscy nie popierali bolszewików w 1917 r. był ateizm, stanowiący zaprzeczenie religii żydowskiej; także polityka ekonomiczna bolszewików zagrażała interesom żydowskich przemysłowców, kupców, sklepikarzy. W 1918 r. rabini z Odessy obłożyli anatemą bolszewików pochodzenia żydowskiego. Rabin Moskwy powiedział Trockiemu /Bronsteinowi/: "Troccy robią rewolucję, rachunki płać Bronsteinowie". Temat ten często powracał, gdyż zorganizowana społeczność żydowska z obawą przyjmowała wysoką pozycję Żydów w rewolucyjnej fali.

Gdy wybuchła wojna domowa, Żydzi zbliżyli się do bolszewików, jednak nie z powodu nagłej sympatii do czerwonych, lecz raczej pod wpływem instynktu samozachowawczego: staczanym walkom towarzyszyły masowe pogromy. W r. 1919 Armia Czerwona z Trockim na czele ruszyła na Ukrainę; dowódca nacjonalistów ukraińskich, Hryhorjiw, apelował o pomoc przeciw bolszewikom, gdyż "Ukrainą zawładnęli sprawcy ukrzyżowania Chrystusa", zaś oddziały partyzanckie walczyły pod hasłem: "Śmierć Żydom! Za prawosławie!".

W skomplikowanej sytuacji na Ukrainie i Białorusi, mordercze ataki na Żydów nie były powodowane wyższą polityką, lecz wynikały z powszechnych odczuć lęku. Kierownictwo Ukraińskiej Republiki Narodowej i przywódca białych, Denikin, na próżno próbowali utrzymać kontrolę nad dowódcami oddziałów, dla których załamanie się porządku stanowiło sposobność grabieży i morderstw. Gdy w walce nastąpił przełom, niektórzy dowódcy zmienili strony i dalej dokonywali pogromów, tym razem pod auspicjami bolszewików. Na Ukrainie zamordowano około 70 tysięcy Żydów, a następne 50 tysięcy zgładzili biali z Rosyjskiej Armii Ochotniczej Denikina. W efekcie rzuciło to Żydów w ramiona czerwonych; Żydzi uzna-

li, że tak czy owak, ich życie zależy od zwycięstwa nad kontrrewolucją.

W ciągu następnych lat model relacji Żydzi-bolszewizm uległ niebezpiecznym zmianom. W partii bolszewickiej Żydzi mieli zbyt liczną reprezentację, podobnie zresztą jak inne prześladowane grupy etniczne. Ponieważ Żydzi mieszkali przeważnie w miastach i posiadali lepsze wykształcenie niż przedstawiciele innych grup narodowościowych, nie dziwnego, że zostawali aktywistami i w obrębie partii szybko awansowali. W latach 1917-1922 od jednej szóstej do jednej piątej ogólnej liczby delegatów na zjazdy partii bolszewickiej było z pochodzenia Żydami. W latach dwudziestych Żydzi stanowili około 5 procent członków Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, dwa razy więcej, niż wynosił ich odsetek w obrębie ogólnej liczby ludności.

W sytuacji, gdy większość przedrewolucyjnych urzędników i inteligencji odmówiła kolaborowania z bolszewikami, lub wzbudzała ich podejrzenia, wykształceni Żydzi zajęli ważne i szczególnie odpowiedzialne stanowiska w administracji nowego reżimu. W rezultacie wielu Rosjan zetknęło się po raz pierwszy z nową władzą w osobie komisarza, oficera tajnej policji, lub urzędnika pochodzenia żydowskiego. Prostych ludzi nie interesowała socjologia ruchu komunistycznego. Fakty utwierdzały ich w antysemityzmie; wizerunek Żyda-komisarza wyparł przestarzały portret Żyda - zabójcy Boga.

III

W Europie centralnej, zwłaszcza w Niemczech, bieg historii był nieco inny. Już przed rokiem 1918 większość Żydów niemieckich awansowała do klasy średniej, a nawet wyżej; Żydzi nie stali się więc zwolennikami socjalizmu z powodu własnego ubóstwa. Wręcz przeciwnie, głosy wyborcze i działalność polityczna Żydów niemieckich w dużym

stopniu odzwierciedlały status ekonomiczny klasy średniej: Żydzi ciążyli jak najdalej w prawo, dokąd tylko zezwalał układ polityczny. Nie zezwalał jednak na zbyt wiele. Podobnie jak w innych częściach Europy, drzwi prawicy politycznej zatrzaskiwano Żydom przed nosem, gdyż partie prawicowe uważały Chryścianizm za integralną część narodowej tożsamości. /We Włoszech prawica była odporniejsza na antysemityzm i burżuazja żydowska przyłączała się do partii faszystów; niektórzy Żydzi sprawowali w niej wysokie funkcje./

W ciągu dziesięcioleci poprzedzających I wojnę światową, większość Żydów niemieckich głosowała na liberałów. Z drugiej strony, większość żydowskich działaczy politycznych wywodziła się z partii socjalistycznej. Część z nich trafiła w szeregi socjalistów dążąc do większej równości społecznej i politycznej. Żydzi niemieccy, choć posiadali gwarancje praw obywatelskich i politycznych, na swej drodze awansu napotykali częste przeszkody utrudniające dostęp do stanowisk rządowych, lub kariery akademickiej; przeszkody te nie miały natury prawnej, lecz wynikały z uprzedzeń. Innych Żydów zwyczajnie pociągała apokaliptyczna wizja rewolucji socjalistycznej.

Przed wybuchem I wojny światowej, rozwinęta kultura warstw wykształconych Europy zachodniej i centralnej charakteryzowała się rozczarowaniem wobec liberalnego, burżujskiego "społeczeństwa" /ang. society/ i poszukiwaniem nowych źródeł w "społeczności" /ang. community/. Z czasem to rozczarowanie pchnie wielu młodych intelektualistów ku radykalnej prawicy, do nowego nacjonalizmu, który obiecywał wspólnotę celów w oparciu o rzekomo wspólną przeszłość. Żydowscy intelektualiści o przekonaniach anty-liberalnych, lecz ex definitio wykluczeni z ruchu głoszącego powrót do germańskich korzeni, mieli do wyboru zwrot

w kierunku syjonizmu /popieranego przed r. 1918 jedynie przez nielicznych/, albo w kierunku wizjonerskiego socjalizmu, który obiecywał zastąpienie rozpadającej się cywilizacji liberalnego kapitalizmu nową kulturą wspólnych dążeń, jaka zjednoczy wszystkich ludzi bez względu na pochodzenie.

Wraz z upadkiem niemieckiej monarchii w listopadzie 1918 r., Żydzi od razu poparli odpowiedzialność rządu przed społeczeństwem i reprezentacją parlamentarną. Podobnie jak wszyscy socjaliści, niemieccy Żydzi o przekonaniach socjalistycznych z radością witali nadejście pełnej demokracji parlamentarnej, przyspieszone przez masowe wystąpienia klasy robotniczej u schyłku wojny. Z początku władza podzielona była pomiędzy rząd tymczasowy, do którego weszła parlamentarna reprezentacja partii socjalistycznych i liberalnych, oraz rady robotniczo-żołnierskie. Lewica stanęła wobec politycznego wyboru. Socjaldemokraci byli zwolennikami nadrzędnej władzy parlamentu, sformowanego na podstawie demokratycznych wyborów powszechnych. Na lewicy lokowali się Spartakusowcy, którzy utworzyli nową partię komunistyczną i opowiadali się za nadrzędną władzą rad /niemiecki ekwiwalent sowietów/. Pomędzy nimi znajdowali się Niezależni Socjaliści, niezdecydowani w kwestii podziału władzy.

Początek 1919 r. rozstrzygnął spór. Fala rewolucji w Berlinie i Monachium zagroziła dążeniom socjaldemokratów. Ostatecznie przywódcy Socjaldemokracji zdecydowali się odwołać do żywiołu starej armii imperium i nowo sformowanego Wolnego Korpusu, w celu zwalczania zagrożeń ze strony radykalnej lewicy. Decyzja ta była groźna w skutkach, gdyż młodzi weterani korpusu kontrrewolucji stali się później ostoją Narodowego Socjalizmu. Fakt, że przywódcami stłumionych rewolucji byli często Żydzi,

przyczynił się do nawrotu antysemityzmu politycznego w Niemczech.

IV

Liczny udział Żydów w nowej Komunistycznej Partii Niemiec był tak samo nieproporcjonalny do ogółu populacji żydowskiej, jak w innych krajach. Poparcie społeczności Żydów dla komunizmu było znikome. Jednak wśród aktywistów partii Żydzi posiadali "nadreprezentację", stanowiąc około 7 procent uczestników partyjnej konwencji założycielskiej. Wśród 11 członków komitetu centralnego znalazła się czwórka komunistów pochodzenia żydowskiego: Róża Luxemburg, Leo Jogiches, Paul Levi i August Thalheimer - wszyscy z wykształceniem uniwersyteckim.

Róża Luxemburg, urodzona w Polsce działaczka i teoretyk ruchu socjalistycznego Polski i Niemiec, z pogardą odrzucała demokrację parlamentarną jako "drobnomieszczańskie złudzenia" i określała Socjaldemokrację niemiecką mianem "Schabbesgoyim /nie-Żydzi zatrudnieni do pracy, której religijni Żydzi nie mogli wykonywać w Szabas/ na usługach niemieckich kapitalistów". Róża Luxemburg głosiła "rewolucję spontaniczną" i nawoływała proletariat niemiecki do wystąpień rewolucyjnych. W artykule wstępnym partyjnej gazety "Czerwony Sztandar" pisała w grudniu 1918 r.: "Ostatni bój klasy robotniczej w historii świata o najwyższe dobro ludzkości musi być toczony pod hasłem: >wyłupić wrogom oczy i połamać żebra<". Gdy więc przywódcy komunistyczni ogłosili zbrojne powstanie w styczniu 1919 r., Luxemburg musiała stać się jego orędowniczką, choć rewolucja zdobyła nikłe poparcie mas. Żołnierze Wolnego Korpusu, wezwani przez socjaldemokratyczny rząd do stłumienia rewolty, brutalnie zamordowali Różę Luxemburg.

W Bawarii, na czele rewolucyjnego zamętu stanęła grupka żydowskich intelektualistów nie posiadających właściwie żadnego doświadczenia politycznego. Rewolucja w Bawarii została zaplanowana i poprowadzona przez Kurta Eisnera z partii Niezależnych Socjalistów, którzy 7 listopada 1918 r. ogłosili koniec monarchii i powstanie Republiki Bawarskiej. Monachijskie klasy pracujące dały się porwać fali rewolucji przeciwko monarchii, która wciągnęła kraj do wojny. Powszechna niechęć do starego reżimu umożliwiła Eisnerowi awans: brodaty krytyk teatralny z kręgów cyganerii doszedł do władzy w konserwatywnej, katolickiej, rolniczej Bawarii, słynącej z antysemityzmu. Kiedy żydowscy obywatele Monachium skierowali do Eisnera list, błagając go o ustąpienie stanowiska nie-Żydowi, odpowiedział on, iż kwestia pochodzenia należy do "bezpamiętnie minionej przeszłości" i pozostał u steru.

W nowo powstałej Republice Bawarskiej wkrótce sprawą codzienną stał się brak żywności i masowe bezrobocie. Kraj borykał się z ogromnymi problemami demobilizacji, oraz z niewypłacalnością rządu, spowodowaną przez nierealistyczną nową politykę socjalną. Eisner miał szczytne ideały, lecz mylił się w rachubach. Jego retoryczny radykalizm i niekonsekwencja taktyczna spowodowały niemal całkowitą utratę popularności. W styczniu 1919 r. jego partia zdobyła 2,5 procent głosów; Eisner miał właśnie złożyć rezygnację, gdy zabił go pewien młody arystokrata.

Po przejściowym okresie zamętu, 7 kwietnia w Monachium sformował się nowy organ władzy, składający się w dużej części z lewicowych intelektualistów pochodzenia żydowskiego, i ogłosił powstanie republiki rad. W skład krótkotrwałego rządu weszli: anarchista Gustaw Landauer, dramatopisarz; Ernst Toller, który głosił, iż nadejście

socjalizmu oznacza "duchowe uwolnienie człowieka i koniec epoki kapitalistycznego ucisku"; mówca-radykał Erich Mühsam, którego poglądy polityczne tak scharakteryzował jego osobisty przyjaciel: "Ten człowiek nieustannie próbuje stanąć na lewo od samego siebie"; wreszcie Otto Neurath, teoretyk socjalizmu, który został komisarzem do spraw uspołecznienia. Jego plan uspołecznienia niemal wszystkiego nie został na szczęście zrealizowany, lecz Neurath sprawował urząd wystarczająco długo, by wywołać przerażenie bawarskich klas od średniej wwyż.

Po tygodniu pierwsza Socjalistyczna Republika Bawarska zmieniła nazwę; grupa radykałów związanych z Międzynarodówką Komunistyczną proklamowała powstanie Drugiej Bawarskiej Republiki Sowieckiej. Na czele grupy stał Eugen Leviné-Nissen, urodzony w Rosji zwolennik Róży Luxemburg, oddelegowany do Monachium przez partię komunistyczną. Socjaldemokraci, najsilniejsza partia wybrana do parlamentu Bawarii, oczekiwała pomocy Berlina dla odparcia komunistów. Rząd centralny posłusznie wysłał oddziały, do których dołączył Wolny Korpus z Bawarii północnej. Wojsko wmaszerowało do Monachium w maju; Sowiecka Republika Bawarii została brutalnie obalona.

Wśród tych, którzy zaznali uroków życia w republice sowieckiej był świeżo zwolniony z wojska Adolf Hitler. Antysemickie poglądy miał już wcześniej, lecz doświadczenia roku 1919 podsunęły mu jeden z bardziej chwytliwych pomysłów: "światowy spisek marksistowsko-żydowski".

Większość Żydów niemieckich nie odniosła się przychylnie do wydarzeń z listopada 1918. Zarówno Żydzi, jak i Niemcy, przeważnie mieli je za narodową katastrofę. Żydowskie gazety w Monachium i innych miastach ostrzegały, że obecność Żydów na czele rewolucji podsyca nastroje antysemickie.

Istotnie, tak było. Gdy w lutym 1919 r. zamordowano Kurta Eisnera, szacowny organ pruskich konserwatystów, "Kreuzzeitung", napisał o nim: "Był jednym z najpodlejszych przedstawicieli żydostwa, które od kilku miesięcy odgrywa tak znaczącą rolę w historii Niemiec. Wyraźnie łączył w sobie dwie charakterystyczne cechy swojej rasy: historyczny internacjonalizm - bo przecież Eisner był z urodzenia cudzoziemcem /sic/ - i rasowo uwarunkowaną skłonność do próżnego fantazjowania, której przeciwstawia się niemieckie poczucie realizmu." W ten sposób objawił się nowy element dialektyki nieszczęść: na nowy wizerunek Żyda w oczach Niemców złożyły się postęпки nielicznych Żydów, którzy zerwali z judaizmem i nie dbali o los swego narodu.

Prawicowi antysemita żywili nienawiść nie tylko do twórców Niemiec sowieckich. Z równą antypatią odnosili się do socjaldemokratów i liberałów. Nadarzyła się szansa, dzięki której prawica mogła skojarzyć demokratów i liberałów z żydowskimi komunistami i określać ich wygodnym mianem "Żydo-komunistów rewolucyjnych." Plakat partii nacjonalistycznej z r. 1919 pod nagłówkiem: "Odmiany Cohenów" wymieniał partie: socjaldemokratyczną, Niezależnych Socjalistów i inne partie socjalistyczne, umieszczając przy każdej nazwie portrety czołowych żydowskich polityków danej partii.

V

Jeśli w Rosji i w Niemczech udział Żydów w rewolucji ostro rzucał się w oczy, to na Węgrzech Żydzi wydawali się wręcz wszechobecni.

Dziś niemal całkiem zapomniana, w swoim czasie głośna była sprawa Węgierskiej Republiki Rad. Republika powstała po upadku liberalnego rządu w marcu 1919 r. i trwała przez 133 dni, po czym osłabiona wewnętrz-

nym chaosem uległa pod naporem obcych wojsk. W rządzie składającym się z 49 komisarzy, 31 było pochodzenia żydowskiego.

Wśród kluczowych postaci Węgierskiej Republiki Rad znajdowali się: Béla Kun, sekretarz do spraw zagranicznych i rzeczywisty przywódca reżimu; Tibor Szamuely, zastępca komisarza do spraw wojny, wyznaczony do zwalczania kontrrewolucji; oraz Ottó Korvin /Klein/, szef policji politycznej. Inni to: Georg Lukács, filozof, estetyk, który został bolszewikiem - i Mátyás Rákosi /Roth/, który w 30 lat później będzie na Węgrzech dyktatorem. Na stanowisko przewodniczącego rady rewolucyjnej wybrany został Sándor Garbai, nie-Żyd. Rákosi żartował później, że Garbai otrzymał stanowisko, żeby "móc podpisywać wyroki śmierci w sobotę".

Kierownicza rola Żydów w Węgierskiej Republice Rad jest tym bardziej zdumiewająca, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, iż Żydzi na Węgrzech zyskali o wiele wyższy status materialny i społeczny, niż Żydzi Europy wschodniej. W XIX wieku właśnie Żydzi przyczyniali się do rozwoju kapitalizmu w ramach tradycyjnego, rolniczego społeczeństwa, składającego się z arystokratów, szlachty i chłopstwa. W drugiej połowie wieku, dzieci przedsiębiorców żydowskich często kończyły studia i zdobywały cenione wykształcenie. W przededniu I wojny światowej lekarze, prawnicy i dziennikarze stanowili jedynie 5 procent populacji żydowskiej na Węgrzech, lecz jednocześnie prawie połowę inteligencji węgierskiej.

W przeciwieństwie do innych narodów, Węgrzy przychylnie odnosili się do asymilacji kulturowej Żydów, gdyż dzięki niej umacniała się hegemonia etniczna Węgrów w przynależnej im części imperium Austro-Węgierskiego. Małżeństwa mieszane, potomków bogatych Żydów i szlachty węgierskiej, nie były rzadkością; Żydzi zdobywali w ten

sposób tytuły szlacheckie, podwyższając jeszcze swój status społeczny. Tuż przed wybuchem I wojny światowej, w skład rządu węgierskiego wchodziło ośmiu ministrów, z których sześciu miało pochodzenie żydowskie.

Termin "pochodzenie żydowskie" jest szczególnie istotny w przypadku Węgier. Z powodu uwarunkowań historycznych, dostęp do wyższych sfer społeczeństwa i władzy zależał tam od przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Dlatego wykształceni potomkowie żydowskiej burżuazji, o zapatrywaniach agnostycznych i świeckich, musieli spełniać dziwaczny wymóg przyjęcia chrztu, by móc wejść do węgierskiego establishmentu, reprezentującego na ogół poglądy liberalne i antyklerykalne. Jedni zgadzali się spełnić powyższy warunek, traktując go jako farsę i wyraz hipokryzji. Inni uznawali, że awans wymaga poświęceń i ryzykowali utratę tożsamości.

W każdym razie żydowska inteligencja Węgier z naturalną sympatią odnosiła się do radykalnej ideologii międzynarodowego socjalizmu, która obiecywała wspólnotę polityczną opartą o uniwersalizm, w miejsce religijnego lub narodowego partykularyzmu. Literatura radykalna, wydawana na Węgrzech przed rewolucją, zawierała liczne ataki na Żydów i Judaizm, nierzadko autorstwa intelektualistów żydowskich.

Po przejęciu władzy w 1919 r. rewolucjoniści działali zgodnie z założeniami. Niszczono pomniki węgierskich królów i bohaterów, zakazano wykonywania hymnu, demonstracja barw narodowych podlegała karze. Rewolucjoniści tępilli także żydowski partykularyzm: rozpętano kampanię terroru przeciwko żydowskim zwolennikom tradycji.

W regiony wiejskie wysyłano radykalnych agitatorów, którzy wyszydzali instytucję rodziny i grozili, że kościoły zamienią w kina. Bardziej bezkompromisowi niż sam Lenin, węgierscy rewolucjoniści nie doko-

nali podziału ziemi między chłopów, lecz uspołecznili wszystkie posiadłości powyżej 40 ha. Upaństwowiono także przedsiębiorstwa zatrudniające powyżej 10 osób, wszystkie mieszkania, meble "zbyteczne w stosunku do codziennych potrzeb", złoto, biżuterię, kolekcje monet i znaczków pocztowych. Zawzięcie wprowadzono egalitaryzm. Wszystkie zarobki były jednakowe. Wszystkie groby w Budapeszcie miały być identyczne; zakazano sprzedaży podwójnych miejsc pochówku. Liczne "burżuazyjne" gazety z początku poddawano cenzurze, wreszcie całkiem zlikwidowano.

Posunięcia reżimu wywołały sprzeciw większości Węgrów. Równe płace, w połączeniu z rządową gwarancją zatrudnienia, spowodowały znaczny spadek wydajności. Rząd wyznaczał wszystkie ceny, nie biorąc pod uwagę kosztów produkcji. Wkrótce wystąpiły braki w zaopatrzeniu i wzrosły ceny czarnorynkowe. Chłopi woleli gromadzić produkty rolnicze, niż wymieniać je na pieniądze, za które niewiele mogli kupić.

Wkrótce nienawiść skupiła się na Żydach. Młodych intelektualistów żydowskich wysyłano na wieś, gdzie mieli oni nadzorować pracę w nowo skolektywizowanych gospodarstwach; radykalizm młodych rewolucjonistów szedł w parze z niekompetencją, wzbudzając antysemityzm wśród chłopstwa. Jezuici natomiast interpretowali rewolucję jako fenomen żydowski i antychrześcijański, choć rządowej kampanii antyreligijnej przewodził były ksiądz. Krążyły plotki o rewolucjonistach profanujących najświętszy Sakrament. Zarówno w Budapeszcie, jak i na prowincji, opozycja wobec reżimu, obrona Kościoła i antysemityzm w równej mierze stanowiły reakcję na przebieg rewolucji.

Reżim Béli Kuna upadł jeszcze w r. 1919 pod naporem problemów politycznych i ekonomicznych, zgnieciony ostatecznie przez wojska rumuńskie, które wezwała na odsiecz opozycja węgierska. Następnie Rumuni wyco-

fali się z Budapesztu, powierzając władzę admirałowi Horthy'emu i dawnej warstwie panującej. Czerwony terror - około 600 egzekucji w ciągu 133 dni - zastąpiono terrorem kontrrewolucji, którego ofiarą padli nie tylko przywódcy i zwolennicy obalonego reżimu, lecz także cała społeczność żydowska.

Węgierskie klasy panujące, które przed rewolucją zaprotestowałyby przeciw prześladowaniom, teraz wyrażały zgodę na odwet za czerwony terror. Choć sytuacja Żydów uległa pewnej poprawie w latach dwudziestych, kiedy władzę sprawował dość liberalny rząd księcia Bethlena, węgierskie warstwy rządzące znalazły się pod jeszcze większym wpływem radykalnej prawicy - produktu kontrrewolucji - i uczyniły antysemityzm osią swego programu politycznego.

VI

Na scenie europejskiej antysemityzm polityczny był nowym wynalazkiem. Aż po wiek XIX, źródłem antysemityzmu w Europie była niechęć żywiona przez kościoły chrześcijańskie w stosunku do tych, którzy świadomie wzgardzili Ewangelią. Wraz z rozwojem kapitalizmu przemysłowego nastąpiła zmiana: atakowano Żyda-kapitalistę, który działa na szkodę tradycyjnego społeczeństwa. Nowi antysemita polityczni uważali Rotschildów i Bleichroederów za "rois de l'époque", królów epoki.

W Europie zachodniej i centralnej ten rodzaj antysemityzmu dominował pod koniec wieku XIX, zanikł dopiero około 1914 roku. Jednak rzucający się w oczy udział Żydów w rewolucjach lat 1917-1919 sprawił, że antysemityzm nabrał nowego impetu. Żydrewolucjonista zajął miejsce obok Żyda-zabójcy Boga i Żyda-kapitalisty. Postacie Trockiego, Luxemburg i Kuna nałożyły się na obraz Rotschilda i Ahaswera: Żyda-tułacza ze średniowiecznej legendy, który został wyklęty na wieki za wzgardę dla Chrystusa.

Wśród książek przedstawiających Żyda jako komunistycznego rewolucjonistę, znalazła się opublikowana w 1921 r. relacja naocznych świadków tworzenia Węgierskiej Republiki Rad: "Quand Israël est roi" /Gdy Izrael królem/. Autorzy, Jean i Jerome Tharaud, związani z radykalną prawicą francuską, byli laureatami Nagrody Goncourtów; zdobyli rozgłos dzięki serii książek podróżniczych z pogranicza reportażu i wspomnień poetyckich. Ich nowe dzieło przedstawiało węgierską rewolucję jako spisak żydowski, w którym nie-Żydzi pełnili rolę figurantów. "Dynastia Arpádów, Św. Stefan i jego synowie, dynastia Andegaweńska, Hunyadi i Habsburgowie mają w dzisiejszych Węgrzech następcę: króla Izraela" - pisali bracia Tharaud, snując sensacyjną, nieco ubarwioną opowieść o terrorze "Chłopców Lenina" /Czerwonej Gwardii/ i o torturach stosowanych przez wydział śledczy policji politycznej Otto Korvina. Pomędzy opisami konfiskaty mienia przez rewolucjonistów i zwalniania chrześcijańskich profesorów ze stanowisk, znajdowały się takie oto refleksje: "Nad brzegami Dunaju wyrastało Nowe Jeruzalem. Było ono wytworem żydowskiego mózgu Karola Marksa; Żydzi budowali na fundamentach prastarych idei". We Francji sprzedano 55 tysięcy egzemplarzy książki, wznawianej dziesięć razy i tłumaczonej na wiele języków, w tym na angielski i niemiecki. W r. 1933 bracia Tharaud zatytułowali swą nową książkę - tym razem o reżimie nazistowskim - "Quand Israël n'est plus roi". /Gdy Izrael już nie króluje/.

Mit Żyda-bolszewika stale przewijał się w propagandzie prawicy. W swej najostrejszej, rasistowskiej formie, ów mit posłużył interpretacji dotychczasowej historii, co ilustruje tytuł pamfletu ogłoszonego w 1923 r. przez duchowego przewodnika Hitlera, Dietricha Eckarta: "Bolszewizm od Mojżesza do Lenina: moje dialogi z Adolfem Hitlerem."

Pozbawiony uprzedzeń historyk z łatwością zauważyłby, że w sumie niewielu Żydów było komunistami, a większość komunistów nie była Żydami. Lecz na komunistów żydowskich patrzono przez pryzmat wcześniejszych uprzedzeń antysemickich. Twierdzenie, jakoby żydowski rewolucjonista i żydowski kapitalista współpracowali w celu zniszczenia cywilizacji chrześcijańskiej, musiało opierać się na fałszywych przesłankach, jednak właśnie w ten sposób międzywojenna prawica postrzegała kwestię żydowską.

VII

Charakter antysemityzmu i jego zasięg w różnych krajach Europy w dużej mierze zależał od roli, jaką Żydzi pełnili w życiu społecznym, politycznym i kulturalnym, a zwłaszcza od pozycji żydowskich komunistów. Tam, gdzie nie usiłowano przeprowadzać rewolucji, lub gdzie Żydzi nie byli czołowymi rewolucjonistami, mit judeo-komunizmu nie stawał się sztandarowym hasłem prawicy. Tak właśnie działo się w Europie zachodniej, gdzie nie dotarła fala rewolucji i nie istniało zagrożenie sowieckim podbojem. /We Włoszech, choć zdarzały się wypadki rewolucyjnego przejmowania własności ziemskiej i obiektów przemysłowych w latach 1920-1921, niewielu przywódców radykalnej lewicy było narodowości żydowskiej. Włoska prawica od dawna przyjmowała Żydów w swe szeregi i łatwiej napotykało się Żyda-faszystę, niż zwolennika rewolucyjnej lewicy./

Zaś wszędzie, gdzie po I wojnie aktywnie działali żydowscy rewolucjoniści, Żydów kojarzono nierozłącznie z komunizmem: w Niemczech, na Węgrzech, w Polsce, na Ukrainie i później na Litwie.

Omówiliśmy już przykłady Niemiec i Węgier. W Polsce z kolei, utrwalił się obraz Żyda-bolszewika, gdyż w 1919 r., podczas

sowieckiej inwazji, Rosjanie stanowili czteroosobowy rząd tymczasowy i w jego skład weszło dwóch Żydów. W Rumunii na czele partii komunistycznej stała córka rabina, Ana Pauker, a wśród działaczy było wielu Żydów. Na Litwie natomiast, po jej przyłączeniu do Związku Sowieckiego w r. 1940, Sowietci postąpili według schematu stosowanego odtąd w całej Europie wschodniej: zwrócili się do niewielkiej grupki litewskich komunistów /w której Żydzi byli licznie reprezentowani/ o pomoc w umacnianiu hegemonii sowieckiej.

W żadnym kraju Europy wschodniej partia komunistyczna nie zyskała masowego poparcia. /Pewien wyjątek stanowiła Czechosłowacja, gdzie komuniści u szczytu popularności zdobyli 13 procent głosów w wyborach./ Jeśli więc garstka Żydów popierała komunizm, cała partia od razu stawiała się "żydowska". Spośród 3,3 miliona Żydów w Polsce międzywojennej, do partii komunistycznej należało tylko 5 tysięcy, lecz cała partia liczyła 20 tysięcy członków; w ten sposób Żydzi stanowili aż jedną czwartą ogółu komunistów. Na Litwie w 1940 r. jedna trzecia członków partii komunistycznej była pochodzenia żydowskiego, lecz cała partia liczyła 2 tysiące osób. Wśród 150 tysięcy Żydów litewskich było mniej niż 700 komunistów, ale w tamtych czasach wystarczało niewielu Żydów w partii, by komunizm został obwołany domeną żydowską.

W dużej części Europy wschodniej antysemityzm zakorzenił się na długo przed rewolucją bolszewicką. Z pewnością stanowiłby ważny czynnik w polityce okresu międzywojennego, nawet gdyby Żydzi nigdy nie odegrali istotnej roli w ruchu komunistycznym. Narody, które zyskały niepodległość w wyniku rozpadu imperiów Romanowych i Habsburgów, podejrzewały Żydów o sympatie pro-niemieckie, pro-rosyjskie itd. i o brak lojalności wobec narodów oswobodzonych. Na

Węgrzech, w Polsce i w Rumunii, gdzie Żydzi od dawna tworzyli trzon klasy średniej, nowo powstała klasa średnia "miejscowych" poczęła zagrażać ich pozycji. Rozwój nowej klasy hamowały warunki gospodarcze danego regionu, w tym konkurencja żydowska, dlatego opłacało się obwołać Żydów "obcymi". Jednocześnie Żydzi starający się ożywić gospodarkę wiejską, często napotykali niechęć chłopów, którzy obarczali ich winą za własną niedolę. Znienawidzony Żyd-komunista nie był więc jedynym czynnikiem antysemityzmu, występującego w różnych stężeniach, zależnie od warunków.

W Niemczech, gdzie antysemityzm polityczny przed rokiem 1914 wygasł, udział Żydów w powojennych rewolucjach przyczynił się do ponownego rozbudzenia antysemityzmu prawicy. Hitler umocnił swą władzę nad Niemcami i na czele najsilniejszego państwa Europy stanęła klika radykalnych ideologów antysemityzmu. Po dokonaniu inwazji na Związek Sowiecki, ów nowy antysemityzm, głoszony w ramach pseudonaukowej ideologii rasizmu, sterował działaniami hitlerowskiej armii i SS. Działania te wkrótce przerodziły się w kampanię eksterminacji, którą Niemcy prowadzili z pomocą miejscowych kolaborantów w całej Europie wschodniej.

Naziści i ich poplecznicy w ciągu kilku lat wymordowali sześć siódmych populacji Żydów w Europie wschodniej. Jednak po klęsce Hitlera, Żydzi znów wkroczyli na wschodnioeuropejską scenę polityczną. Wraz z podbojem dużej części Europy centralnej i wschodniej przez Armię Czerwoną w latach 1944-45, nastąpił kolejny zwrot w dialektyce nieszczęść.

VIII

Wojnę w Europie wschodniej przetrwało około 700 tysięcy Żydów. Część się ukrywała, inni przeżyli obóz koncentracyjny. Setki tysięcy żydowskich uchodźców uciekło

z okupowanej przez Niemców od 1939 r. Polski do strefy sowieckiej, skąd Rosjanie deportowali ich w głąb Związku Sowieckiego. Tam dołączyli do nich uciekinierzy z Polski wschodniej po wkroczeniu Niemców w r. 1941.

Ci, którzy przeżyli lata wojenne na Syberii, lub w kołchozach Azji środkowej, wracali po wojnie do Polski. Ich osobiste zetknięcie z komunizmem w Związku Sowieckim sprawiło, że pragnęli jak najszybciej opuścić okupowaną przez Sowietów Polskę i wyjechać do Palestyny, lub na Zachód. Jednak reszta Żydów Europy wschodniej i centralnej zawdzięczała życie Armii Czerwonej i witała Rosjan z otwartymi ramionami.

Kiedy ocaleni z pożogi wracali, zastawali często swoje domy zajęte przez obcych. Sklepy, meble, nawet ubrania znalazły nowych właścicieli, którzy przerażeni powrotem żydowskich niedobitków, groźbami i przemocą starali się zapobiec próbom odzyskania przez prawowitych właścicieli zagarniętych dóbr. Ta klasa średnia "nowobogackich" miała swoje powody, by źle życzyć Żydom; odegrała też niemałą rolę w pogromach lat 1945 i 1946 w Europie wschodniej. W najgłośniejszym pogromie, w Kielcach, w lipcu 1945 r., straciło życie 41 Żydów.

Wybuchy nienawiści miały też inne źródło. Na czele władzy sowieckiej w Polsce, na Węgrzech, w Rumunii i Czechosłowacji znalazła się garstka komunistów-weteranów, którzy długie lata spędzili w Związku Sowieckim po zdelegalizowaniu ich partii, gdy Niemcy okupowali ojczyznę. Wielu spośród tych, którzy wrócili wraz z Armią Czerwoną, przeżyło "wielką czystkę": ich przetrwanie było wystarczającym dowodem lojalności wobec Stalina.

Wielu powracających komunistów, określanych mianem "agentów Moskwy", było Żydami z pochodzenia. Na Węgrzech przywódcy partii komunistycznej byli żydowskimi "agentami Moskwy". W Czechosłowacji, sekretarz gene-

ralny partii komunistycznej, Rudolf Slansky, był Żydem. Wśród żydowskich "agentów Moskwy" w powojennej Polsce znaleźli się: Jakub Berman, szef tajnej policji; Hilary Minc, odpowiedzialny za sprawy gospodarcze; Roman Zambrowski /Rubin Nussbaum/, sekretarz KC partii; oraz Jacek Różański /Goldberg/, wyszkolony przez NKWD szef wydziału śledczego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, psychopata, znany z torturowania ofiar. W Rumunii, prawdziwym przywódcą reżimu była Ana Pauker, sekretarz KC, pierwszy zastępca premiera i minister spraw zagranicznych. /Podobno Pauker zadenuncjowała męża, Marcela, działacza Międzynarodówki, pod zarzutem trockizmu. Aresztowano go w Rosji w 1936 r. i zlikwidowano w 1937./ Filarami rumuńskiego reżimu byli: Iosif Chisinevski, Leonte Rautu i Mihail Roller - "agenci Moskwy". "Moskiewscy agenci" byli praktycznie nieobecni w kierownictwie reżimu wschodnioniemieckiego, gdyż liczni uchodźcy żydowscy z niemieckiej partii komunistycznej, którym udało się przetrwać w Związku Sowieckim "wielką czystkę", zostali wydani Gestapo w r. 1939, po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow. Wyjątkiem był Markus Wolf, syn żydowskiego lekarza-komunisty ze Stuttgartu. Lata dojrzewania i młodości spędził w Moskwie i wrócił do Niemiec jako oficer Armii Czerwonej. Z początku działał w aparacie propagandy, później sformował służbę wschodnioniemieckiego szpiegostwa wojskowego, którą kierował do 1987 r.

Prócz Wolfa istniała niewielka, lecz znacząca grupka intelektualistów żydowskich, zwolenników komunizmu, którzy lata wojny spędzili na Zachodzie. Wrócili, by pomóc w tworzeniu w Niemczech reżimu komunistycznego, który miał ich zdaniem wypełnić "kapitalistyczne korzenie narodowego socjalizmu". Najbardziej rzucał się w oczy Gerhard Eisler, działacz-weteran Międzyna-

rodówki, który zniknął ze Stanów Zjednoczonych po otrzymaniu wezwania przed Senacką Komisję do spraw Działalności Antyamerykańskiej. W 1949 r. Eisler wypłynął w Niemczech wschodnich, jako szef nowego Biura Informacji - ministerstwa propagandy reżimu. Jego brat, Hans Eisler opuścił Stany Zjednoczone w ramach "dobrowolnej deportacji" w r. 1948, osiadł w Niemczech Wschodnich i skomponował hymn nowo powstałej NRD.

Obsadzanie Żydów na wysokich stanowiskach w rządzie utrzymywanym przez Sowiety nie było przypadkowe. W świeżo podbitych narodach Europy wschodniej i centralnej Sowietci znajdowali nielicznych popleczników. Dawna podejrzliwość wobec rosyjskiego imperializmu była solidnie ugruntowana; antykomunizm był niemalże religią narodów. Małeńskie, lokalne partie komunistyczne zostały zdziesiątkowane w czasie wojny. Żydowscy "agenci Moskwy", wypróbowani podczas krucjaty stalinowskiej, stanowili nieliczną reprezentację podbitych narodów, w której Sowietci mogli pokładać zaufanie.

Do weteranów komunizmu dołączyli młodzi Żydzi, rozczarowani niepowodzeniem rodziców, którym nie udało się asymilacja w społeczeństwie burżuazyjnym. Nie mieli oni pojęcia o Związku Sowieckim; zwabiła ich ideologia obiecująca przewyciężenie animozji etnicznych raz na zawsze. Ponieważ Żydzi świetnie orientowali się w warunkach lokalnych, a przy tym fanatycznie nienawidzili faszyzmu, często powierzano im stanowiska w służbie bezpieczeństwa. Dzięki posiadanemu wykształceniu, nadawali się także do resortu propagandy i szkolnictwa. Żydzi znający języki obce pracowali w ministerstwach spraw zagranicznych i handlu zagranicznego.

W ten sposób Żydzi, których jeszcze niedawno przesiedlano i mordowano wśród biernej obojętności - lub przy współpracy - sąsiadów, pojawili się znów, tym razem

jako wysocy funkcjonariusze rządu i policji. Władzę zdobyli dzięki Armii Czerwonej; reprezentowali interesy Związku Sowieckiego. Większość mieszkańców Polski, Rumunii, Węgier i Czechosłowacji traktowała ich jako obcy element, na usługach obcej siły, która narzuca obcy system.

W rezultacie nastąpiło odrodzenie antysemityzmu. Miejscowa społeczność ignorowała fakt, iż nowa władza popierana przez Sowietów likwidowała żydowskie instytucje komunalne i religijne, zaś większość Żydów, daleka od udzielania poparcia komunistom, "głosowała nogami" emigrując na Zachód. Powszechna nienawiść skupiła się na żydowskich współpracownikach reżimu, pomijając nie-Żydów u władzy.

Żydzi, którzy związali się z nowym reżimem, szybko spostrzegli, że brak poparcia Sowietów zagraża nie tylko utratą stanowisk, lecz być może życia. Przez przypadek, czy też z zamierzenia, Stalin stworzył klasę ludzi całkowicie od niego zależnych, a więc absolutnie posłusznych. Częściowo dlatego właśnie Stalin, podczas swej antysemickiej kampanii rozpętanej w Związku Sowieckim w 1948 r., nie cofnął poparcia dla swych żydowskich marionetek w Europie wschodniej, przynajmniej jeszcze przez kilka lat. Motywy tej decyzji związane były także z widmem "titoizmu", jakie zawisło nad Kremlem pod koniec lat czterdziestych: komuniści pochodzenia żydowskiego byli najmniej skłonni do sprzymierzania się z miejscową ludnością przeciw hegemonii Sowietów.

IX

Model zastosowany w krajach Europy wschodniej najbardziej wyraźnie objawił się na Węgrzech. Nigdzie indziej udział Żydów w sowietyzacji narodu nie był tak znaczny. Trzon władzy stanowiła garstka "agentów Moskwy", którzy spędzili lata,

a nawet dziesięciolecia w Związku Sowieckim. W okresie międzywojennym węgierska partia komunistyczna była zdelegalizowana i nie cieszyła się popularnością. Miała znikomą liczbę członków, zaś na jej czele stali przeważnie Żydzi. W powojennych Węgrzech kluczowe stanowisko sekretarza generalnego objął ponownie Żyd, Mátyás Rákosi.

Był weteranem komunizmu; w r. 1919 tworzył Węgierską Republikę Rad. Potem, zdradzony przez towarzyszy-komunistów, spędził lata w więzieniu, za czasów władzy Horthy'ego. Związek Sowiecki wykupił go w r. 1940 i lata wojny Rákosi spędził w Moskwie, nabywając umiejętności przetrwania w stalinowskiej Rosji. Sam określał się mianem "najlepszego ucznia Stalina" i w r. 1949 stał u boku "słońca ludzkości" w czasie obchodów siedemdziesiątej rocznicy urodzin dyktatora. Ten właśnie uczeń Stalina był autorem terminu "taktyka salami", określającego sposób, w jaki komuniści, przy poparciu Armii Czerwonej, dzielili inne partie, by nie dzielić się z nimi władzą.

Kolejne trzy czołowe stanowiska w komunistycznej hierarchii także zajmowali Żydzi z pochodzenia. Ernő Gerő /Slinger/, "agent Moskwy" i weteran hiszpańskiej wojny domowej, został ministrem spraw zagranicznych; Mihály Farkas /Wolf/, również "agent Moskwy" otrzymał stanowisko ministra obrony; József Révai był głównym ideologiem partyjnym i ministrem kultury. Gospodarką węgierską kierował Zoltán Vas /Weinberger/, również "agent Moskwy" żydowskiego pochodzenia.

Pdobnie jak we wszystkich innych krajach, znikoma część Żydów węgierskich była komunistami. Żydzi, którzy nie wyrzekli się tradycji swego narodu, ze zrozumiałych względów trzymali się jak najdalej od partii; wielu żywiło obawy, że na nich skupi się nienawiść do reżimu.

"Agenci Moskwy" znaleźli jednak pewną liczbę zwolenników wśród Żydów węgierskich. Byli więźniowie obozów koncentracyjnych lub ci, którzy przeżyli wojnę w Budapeszcie, zawdzięczali Sowietom wybawienie od śmierci z rąk nazistów, lub węgierskich kolaborantów z organizacji "Strzałokrzyżowców". Wbrew opinii większości swojego narodu, uratowani Żydzi widzieli w Sowietach swych wybawicieli, zaś Armia Czerwona była dla nich prawdziwym gwarantem bezpieczeństwa. Prócz wdzięczności za ocalenie, część młodych Żydów odczuwała żądzę zemsty wobec tych Węgrów, którzy zamordowali im bliskich, lub wydali Niemcom. Młodzi mężczyźni i kobiety wstępowali do sowieckiego aparatu bezpieczeństwa, gdzie chętnie ich przyjmowano, gdyż mieli odpowiednie rozpoznanie w sytuacji na Węgrzech i lojalnie służyli sprawie Sowietów. Ocenia się, że po wojnie co najmniej 30 procent wyższych stanowisk w policji zajmowali Żydzi; wielu stało na czele wydziałów. Szefem węgierskiej policji politycznej AVO był Żyd, generał major Gábor Péter /Benő Auspitz/. Z pozycji swoich stanowisk w armii, policji i aparacie bezpieczeństwa, młodzi mściciele mogli dokonywać rozrachunków z byłymi członkami "Strzałokrzyżowców".

Ideologia marksistowska mogła także wydawać się atrakcyjna, zwłaszcza młodym żydowskim idealistom. Uniwersalizm marksizmu, obietnice zniesienia podziałów etnicznych i religijnych, trafiały do przekonania wielu młodych Żydów, którzy pamiętali separatystyczny nacjonalizm lat międzywojennych, powstanie na Węgrzech faszyzmu i głoszony oficjalnie antysemityzm, mordercze "bataliony pracy", do których reżim Horty'ego zapędził wszystkich żydowskich mężczyzn w wieku od lat 16 do 65, wreszcie systematyczne wyniszczanie Żydów przez Niemców, lecz przy współpracy Węgrów.

Inni Żydzi, którzy zdecydowali się pozostać na Węgrzech, pogodzili się z nieuchronną rzeczywistością sowieckiej dominacji i postanowili się jakoś urządzić. Choć przeprowadzona przez komunistyczny reżim nacjonalizacja zniszczyła resztki żydowskiej klasy średniej przemysłowców, niektórzy Żydzi nadal działali w sferze gospodarki, pełniąc funkcje dyrektorów upaństwowionych przedsiębiorstw. Studia uniwersyteckie były teraz przywilejem młodzieży robotniczo-chłopskiej, lecz pozwalano studiować także młodemu Żydom, działaczom partii komunistycznej.

Węgry były niewielkim krajem, z niewielką elitą ludzi wykształconych. Ponieważ zdaniem Sowietów, większość wykształconych nie-Żydów splamiała się współpracą z poprzednim reżimem, Żydzi szybko awansowali. Przez krótki okres po wojnie wydawało się, że Żydzi stanowią klasę uprzywilejowaną. Rzeczywistość zdawała się potwierdzać stereotyp identyfikujący wszystkich Żydów z komunizmem. Krążył dowcip, że jeśli fabryka zatrudni trzech Żydów, jeden zostaje zaraz dyrektorem, drugi księgowym, a trzeci sekretarzem komórki partyjnej. Ludzie skłonni do bezkrytycznego przyjmowania stereotypów, znajdowali teraz wiele dowodów potwierdzających związek Żydów z komunizmem. Niektórzy uwierzyli nawet antysemitickim pogłoskom, że z obozów koncentracyjnych powróciło więcej Żydów, niż wywieziono w 1944 r. Nawrót antysemityzmu znalazł ujście w antyżydowskich zamieszkach, jakie wybuchły dwukrotnie w r. 1946. Fakt, że uczestniczyło w nich wielu komunistów, został zatuszowany przez miejscowego komendanta, zresztą Żyda.

Pod koniec 1947 r. komuniści przestali faworyzować dzieci żydowskich ofiar faszyzmu; Rákosi zakazał przyjmowania Żydów na stanowiska urzędnicze. Po wyeliminowaniu wszystkich konkurencyjnych partii w r. 1948,

nastąpiła kampania represji przeciw Żydom, rozpętana i prowadzona przez Żydów z pochodzenia: W 1949 r. aresztowano w Budapeszcie i wydano z kraju przedstawiciela Wspólnej Amerykańsko-Żydowskiej Organizacji Pomocy. Zakazano działalności syjonistycznej; przywódcy węgierskich syjonistów zostali aresztowani i skazani w procesach pokazowych. Służby bezpieczeństwa powołały komórkę do spraw zwalczania syjonizmu. Na jej czele stanął major János Komlós, który kiedyś studiował w rabinackim seminarium w Budapeszcie.

Podobnie jak w innych krajach Europy wschodniej, przywódcy partii komunistycznej Węgier starali się gorliwie naśladować sowiecką drogę rzekomych sukcesów w rozwoju gospodarczym i rozpoczęli wprowadzanie programu uprzemysłowienia i kolektywizacji rolnictwa. Tak jak w przypadku Sowietów, wzrost przemysłu ciężkiego miał nastąpić kosztem sektora rolniczego i dóbr konsumpcyjnych, czyli poprzez zwiększenie wyzysku robotników i chłopów. W rezultacie obniżyła się stopa życiowa większości Węgrów, wzmożyły się więc odgórne represje, mające zapobiec protestom. Szybko zapełniono więzienia i zakładano obozy pracy w całym kraju, zwłaszcza w ośrodkach górniczych i przemysłowych: Od r. 1952 do końca 1955 policja założyła kartoteki dla ponad 1 miliona Węgrów; 45 procent tej liczby ukarano. W ciągu czterech lat 7 procent pełnoletnich Węgrów otrzymało wyroki skazujące.

Wraz z nasileniem represji, nastąpiła czystka w partii. Większość członków dawnego podziemia komunistycznego, którzy podczas wojny zostali na Węgrzech, padła ofiarą czystki, uznana za potencjalnych zwolenników Tity. Wśród nich znalazł się László Rajk, skazany na podstawie fałszywych zarzutów i stracony w 1949 r. W ciągu kilku lat komunistyczny reżim Rákosiego zabił więcej komunistów, niż antykomunistyczny reżim Horthy'ego.

Kierownicze funkcje w aparacie represji pełnili Żydzi, m.in. Mihály Farkas, minister obrony, zarazem szef służby bezpieczeństwa wewnętrznego, oraz Gábor Péter z AVO. Wielu bezpośrednich podwładnych Pétera było Żydami, wyszkolonymi przez Sowietów w Instytucie im. Dzierżyńskiego. Rozrastający się aparat represji przyjmował nowych ludzi z doświadczeniem w dziedzinie brutalnych metod śledztwa - czyli dawnych Horthystów i członków "Strzałokrzyżowców". W ten sposób Żydzi - ofiary faszyzmu, wraz z eks-faszystami, budowli wspólnie komunizm na Węgrzech.

Kolejny akt dramatu Żydów węgierskich był jeszcze bardziej absurdalny. Pod koniec 1952 r. "najlepszy uczeń Stalina" dowiedział się o szczegółach tzw. procesu lekarzy przygotowywanego w "ojczyźnie socjalizmu", w którym siedmiu spośród dziewięciu oskarżonych stanowić mieli Żydzi. Szykowało się hałaśliwa kampania antysemita. W obawie o własne głowy, Rákosi i inni przywódcy Węgier rozpętali własną krucjatę antysemita. Aresztowano Lajosa Stösklera, czołową postać w społeczności żydowskiej, László Benedeka, dyrektora byłego Szpitala Żydowskiego /choć był lojalnym komunistą/ i wielu Żydów - lekarzy. Podobnie jak na procesie moskiewskim, węgierscy lekarze żydowskiego pochodzenia mieli odpowiadać za rzekome przestępstwa natury medycznej.

Agresywne napaści doprowadziły do samobójstwa braci Szűcs, przywódców żydowskiej centralnej komisji spraw socjalnych. Żydowscy "agenci Moskwy" zabrali się do tworzenia nowych wersji własnych życiorysów, byle tylko uchodzić za bardziej "madziarskich" od samych "Madziarów". Oficjalna biografia Rákosiego głosił, że jest on potomkiem drobnej szlachty węgierskiej. Jednocześnie Rákosi puścił fałszywą plotkę, że główny jego rywal w kierownictwie partii, Imre Nagy jest Żydem.

Teraz już wyraźnie zaznaczyła się polityka odsuwania Żydów od funkcji kierowniczych i usuwania z szeregów partii. Vas, szef centralnego planowania, padł ofiarą czystki; Żydzi w policji i AVO utracili stopnie oficerskie; w styczniu 1953 r. uwięziono samego Gabora Pétera. Szykował się proces pokazowy, o wymowie anty-kosmopolitycznej i anty-syjonistycznej, z Péterem w roli głównego oskarżonego. Śmierć Stalina przerwała przygotowania; nie doszło do antysemitckiego procesu w reżyserii komunistów żydowskich.

Upadek widma "titoizmu" i powstanie mieszkańców Berlina Wschodniego przeciw sowieckiej dominacji, jakie wybuchło w czerwcu 1953 r., zmusiły następców Stalina do refleksji nad polityką sowiecką w Europie wschodniej. Rákosię wezwano do Moskwy, gdzie został skarcony przez Prezydium - choć był tylko wiernym naśladowcą politycznego modelu Rosji, z kultem jednostki włącznie. Beria zwrócił się do Rákosię słowami, w których pobrzmiwało echo książki braci Tharaud sprzed trzydziestu lat, "Quand Israël est roi": "Wiemy - mówił Beria - że na Węgrzech, prócz miejscowych władców, panowali tureccy sułtani, cesarze austriaccy, chani tatarscy i polscy książęta. Lecz o ile nam wiadomo, Węgry nie miały żydowskiego króla. A wygląda na to, że wy towarzyszu, za takiego się uważacie. No cóż, z całą pewnością nie będziemy tego tolerować."

Na stanowisku premiera, Rákosię zastąpił Imre Nagy, nie-Żyd. Ale Sowietci zbyt sobie cenili niewolniczą uległość Rákosię i Gerő: w kwietniu 1955 r. Rákosi znalazł się z powrotem w siodle i usunął Nagy'a z partii. W czasie zmagañ stalinowców z komunistycznymi reformistami, skupionymi wokół Nagy'a Żydzi występowali licznie po obu stronach.

Gdy na Węgrzech groziło już narodowe powstanie, przywódcy sowieccy zgodzili się /niechętnie/ poświęcić żydowskich "agentów Moskwy". W lipcu 1956 r. Sowietci usunęli Rákosiego ze stanowiska i okrytego hańbą powieźli do Moskwy. Jego następcą, Gerő, okazał się tak samo znienawidzony i znacznie mniej przebiegły. Odjechał w ślad za Rákosim w październiku, gdy na ulicach Budapesztu trwała rewolucja. Rosjanie poparli Nagy'a.

Kiedy spontaniczna rewolucja zagroziła obaleniem reżimu komunistycznego, nawet nie związani z komunistami Żydzi węgierscy /zwłaszcza poza obrębem stolicy/ poczęli żywić obawy o własne życie, gdyż opinia społeczna utożsamiała Żydów z komunizmem. W czasie "węgierskiego października" i wkrótce potem, ponad 20 tysięcy spośród 120 tysięcy Żydów zamieszkałych na Węgrzech wyjechało na Zachód. W listopadzie Nagy odważnie próbował wprowadzić system wielopartyjny i wycofać Węgry z Układu Warszawskiego. Spowodowało to interwencję sowiecką i brutalne stłumienie rewolucji węgierskiej.

János Kádár, komunista torturowany przez tajną policję Rákosiego, został wybrany przez Sowietów do odegrania roli ich człowieka w Budapeszcie. Desperacko zabiegając o poparcie społeczne, niektórzy członkowie rządu Kádára zagrali kartę "narodową". Jeden z ministrów, György Márosan, który miał żonę pochodzenia żydowskiego, stale podkreślał w przemówieniach, że nowe przywództwo nie składa się wcale z Żydów. Pozostali na Węgrzech Żydzi jednak skupiali się wokół Kádára mimo obaw, że powszechna nienawiść do "agentów Moskwy" przerodzi się w otwarty antysemityzm. Dopóki Kádár znajdował się u władzy, Żydzi posiadali otwarty dostęp do prestiżowych i odpowiedzialnych stanowisk. Po jego ustąpieniu na rzecz Károlyi Grósz w maju 1988 r., kwestia przyszłości Żydów węgierskich pozostaje otwarta.

Gdzie indziej w obrębie bloku sowieckiego wydarzenia przebiegały podobnie, choć często ich skutki były dla Żydów jeszcze bardziej tragiczne. Konsolidacja władzy komunistycznej pod przywództwem "agentów Moskwy" nieodmiennie pociągała za sobą rozbijanie społeczności żydowskich. Najbardziej brutalnie rozprawiano się zwykle z syjonistami. W miarę wzrostu niezadowolenia mas i groźby otwartych wystąpień przeciw znienawidzonemu systemowi, Sowietci poświęcali "agentów Moskwy" i zastępowali ich łatwiejszymi do strawienia komunistami "rodzimego chowu". Ci z kolei usiłowali opanować nastroje antykomunistyczne podsycając antysemityzm.

W Czechosłowacji, gdzie komuniści zagarnęli władzę w r. 1948, generalnym sekretarzem partii został Rudolf Slansky, weteran komunizmu, Żyd z pochodzenia, "agent Moskwy". Po umocnieniu dominacji komunistycznej rozpoczęto czystkę, skierowaną przeciw komunistom nie-moskiewskim. Następna fala czystek, z r. 1951, objęła Żydów. Wśród jej ofiar znaleźli się: zastępca sekretarza generalnego partii, Josef Frank, oraz wice-ministrowie: spraw zagranicznych, handlu zagranicznego i finansów - wszyscy pochodzenia żydowskiego. Wreszcie, w listopadzie 1951 r. aresztowano Slansky'ego, który jeszcze niedawno składał oficjalny hołd Stalinowi z okazji jego urodzin.

Slansky był głównym oskarżonym w najbardziej haniebnym procesie pokazowym lat powojennych. Proces zorganizowano przy współpracy agentów sowieckiego ministerstwa bezpieczeństwa państwa. Przed sądem stanęło w 1952 r. czternastu czołowych działaczy partii, w tym dwunastu Żydów. W oficjalnym akcie oskarżenia obok nazwisk widniały uwagi: "pochodzenie żydowskie". Zarzuty objęły "syjonizm", "titoizm", "trockizm"

i kolaborację ze "szpiegostwem imperialistycznego Zachodu". Wszystkich oskarżonych skazano; jedenastu z nich na karę śmierci.

Wszystko to zdarzyło się w kraju, gdzie większość Żydów, na wieść o zbliżaniu się komunizmu, wzięła nogi za pas. Do roku 1950 wyemigrowało trzy czwarte czechosłowackich Żydów; zostało ich mniej niż 20 tysięcy, czyli jedna piętnasta jednego procenta mieszkańców. Fakt ten nie przeszkodził jednak w zorganizowaniu procesu i skazaniu Slansky'ego i innych, tak samo jak nie powstrzymał rządu Czechosłowacji od rozpętania gwałtownej kampanii antysyjonistycznej w r. 1968.

W Rumunii, polityka "rumunizacji" odsuwała od władzy "agentów Moskwy", wśród których, obok innych mniejszości, znaleźli się liczni Żydzi. Rozpoczęto od czystki, której ofiarą padła Ana Pauker w 1952 r., następnie kontynuowano proces "rumunizacji" pod rządami Gheorghe Gheorghiu-Deja. Jeszcze za czasów Pauker, w r. 1949 rozpętano ostrą kampanię antysyjonistyczną. Aresztowania syjonistów nie osłabiły w latach pięćdziesiątych. /Żydzi rumuńscy również starali się opuścić kraj. Pod koniec wojny było ich 385 tysięcy, w r. 1949 zostało 256 tysięcy, zaś w r. 1955 - mniej niż 200 tysięcy./

W Niemczech wschodnich niewielu było Żydów i właściwie brak żydowskich "agentów Moskwy". Cały proces przebiegał tam jakby w miniaturze, z pewnymi wariacjami. Na początku 1953 r. Gerhard Eisler został usunięty z Biura Propagandy. Paul Merker, były członek Politbiura, znany z filosemityzmu, został aresztowany i zamierzano wytoczyć mu proces za "kontakty z agentami zachodniego imperializmu". Służba bezpieczeństwa aresztowała Żydów i przetrzymywała ich w więzieniach. Po ogłoszeniu "spisku lekarzy" w "Prawdzie" z 13 stycznia 1953 r. przywódy społeczności żydowskich z Berlina

Wschodniego, Drezna, Erfurtu i Lipska uciekli na Zachód. W ciągu następnych tygodni dołączyły do nich setki Żydów wschodnioniemieckich. Śmierć Stalina oddaliła groźbę od nielicznych Żydów, którzy w Niemczech Wschodnich zostali.

W Polsce schemat był ten sam, jednak rezultaty bardziej dramatyczne. Na czele reżimu stał tam komunista - z urodzenia katolik - Bolesław Bierut, lecz szefem służby bezpieczeństwa był Jakub Berman; komisji planowania przewodniczył Hilary Minc, zaś jednym z głównych ideologów partii był Roman Werfel - wszyscy pochodzenia żydowskiego: Minc odpowiadał za podnoszenie norm pracownikom i pogarszanie stopy życiowej narodu wskutek zobowiązań nakładanych na polską gospodarkę przez Związek Sowietów, podczas gdy Werfel posłusznie realizował wytyczne "żdanowszczyzny" w dziedzinie kultury: Zbyt liczna reprezentacja Żydów w partii, a zwłaszcza w służbie bezpieczeństwa, wzmacniała nienawiść do reżimu.

W 1954 r., zgodnie z rozkazem ambasady sowieckiej, usunięto czołowych przywódców pochodzenia żydowskiego. Po fali antystalinowskich wystąpień, której kulminacyjny moment wypadł w październiku 1956 r., "agentów moskiewskich" u władzy zastąpiono "rodzimą" Gomułką. Bermana i innych "żydowskich agentów Moskwy" obarczono winą za "błędy przeszłości". Żydowskie instytucje w Polsce zlikwidowano w latach 1949-1950: W r. 1953 w kraju zostało mniej niż 40 tysięcy Żydów, których zdziesiątkowano potem w kampanii antysemickiej 1968 roku. Pozłyto się resztek żydowskiej inteligencji komunistycznej, ku satysfakcji młodych kadr, urodzonych i wychowanych w nowej Polsce:

XI

Historia Żydów i komunizmu w Europie centralnej i wschodniej zasługuje na peł-

niejszy opis i bardziej dokładną analizę. Historycy, którzy zajmowali się głównie utopijnymi ideałami rewolucjonistów żydowskich, zapomnieli o podstawowym fakcie: komuniści żydowskiego pochodzenia, podobnie jak wszyscy porwani ideałami komunistów, brali udział w okrutnych zbrodniach - zarówno przeciw Żydom, jak i nie-Żydom, bez różnicy. Ponadto, podejrzana rola Żydów w ruchu komunistycznym, choć rzadko stanowiła główną przyczynę nastrojów anty-żydowskich, mimo wszystko podsycała płomień antysemityzmu. Przepowiednia rabina Moskwy tragicznie się sprawdziła: "Troccy robią rewolucję, rachunki płać Bronsteinowie".

Jerry Z. Muller
przełożyła Barbara Jankowiak

Jerry Z. Muller: Communism, Anti-Semitism and the Jews. "Commentary", sierpień 1988;

JACEK TRZNADEL

LAS KATYŃSKI - LAS BIRNAM...

Wyobraźmy sobie na chwilę, że to Hitler i III Rzesza wygrali ostatnią wojnę. Stany Zjednoczone i Anglia zawarły kompromisowy pokój, Niemcy hitlerowskie rozciągnęły władzę nad satelitarnymi państwami wschodniej Europy, co do których Anglosasi zastrzegli pewne gwarancje: Polską, Czechosłowacją, Rumunią, Bułgarią, Węgrami, Ukrainą, marionetkowymi państwami bałtyckimi, wreszcie podzieloną Rosją: białą i czerwoną. Takie literacko-mitologiczne pomysły są dosyć zawodne i nie chcę rozważać, co mogłoby się dziać w dziedzinie polityki. Chcę tylko przypuścić, co byłoby możliwe w dziedzinie mitologii polityki i w etyce historycznej.

Zbrodnie nazizmu niemieckiego zostałyby, rzecz jasna, w dużej mierze przemilczane i zatarte, ślady Oświęcimia usunięte, Hitler żyłby jeszcze do 1953 roku i dopiero po jego śmierci sukcesorzy rozstrzelaliby Himmlera, Goeringa i Gobbelsa, chociaż NSDAP, wprowadzicie pod zmienioną nazwą, trwałaby dalej. Po pewnym okresie "zimnej wojny" szłoby się na ustępstwa, pisałoby się o niepotrzebnym kulcie Hitlera i jego zbrodniach, ale bez wątplenia także o godnym stuleci przykładzie zlikwidowania niebezpieczeństwa bolszewickiego, do czego w ostatniej fazie przyczyniło się zawarcie odrębnego pokoju z częścią państw wielkiej koalicji. Powstałaby na pewno Komisja do Badania Zbrodni Komunistycznych i Stalinińskich, a potem odbyłby się pokazowy proces zbrodniarzy, gdzieś w Odessie czy Jałcie. Po latach jakiś ośrodek w Wiedniu czy Belgradzie wysłedziłby zbiegłego do Nikaragui lub na Kubę Rajchmana czy Merkułowa. Usiłowane by udowodniać, że wobec zbrodni bolszewizmu błędną zbrodnie nazistowskie, chociaż moralisci mówiliby swoje: że nie ocenia się ofiar ilościowo, i chociaż te komunistyczne przewyższają te nazistowskie, sprawiedliwość musi być wymierzona wszystkim. Symbolem nieludzkości byłyby nie tylko Hiroshima, ale i Drezno z kilkukrotnie wyższą ilością ofiar. Narastałby bunt krajów zwasalizowanych, podnosiłoby się głosy, że poprawne stosunki z Niemcami mogą być nawiązane wtedy dopiero, gdy publicznie przyznają się oni do Oświęcimia i Treblinki. Na co polscy quislingowcy powołaliby komisję do badania białych plam w historii i zasłaniałoby się pustymi półkami i szafami w archiwach Gestapo, SS i NSDAP w Berlinie i Monachium. Straszne, prawda?

Do tych makabrycznych i smutnych refleksji historiozoficznych pobudził mnie wydany niedawno tom: "Katyń. Wybór publicystyki 1943 - 1988 i "Lista katyńska" /Polonia

Book Fund., Londyn 1988/. Trudno przecenić wagę tej książki. Oczywiście, nie jako nowego elementu w udowadnianiu prawdy o Katyniu, ta bowiem była jasna i oczywista już w czerwcu 1943 roku, po pracach w Katyniu polskiej komisji PCK, ale i komisji międzynarodowej, powołanej niestety pod haniebnym protektoratem propagandy III Rzeszy. Co nie znaczy, aby później materiał dowodowy nie pomnażał się jeszcze /stając się jednocześnie refleksją historyczną i moralną nad Rosją sowiecką/, zyskując oddziaływanie na coraz szerszą opinię publiczną, nie tylko polską, ale i międzynarodową. Ta historia przebijania się prawdy o Katyniu - obecna w zbiorze - do opinii powszechnej i międzynarodowej budzić musi jednak przede wszystkim smutne refleksje na temat moralności w polityce i historii. Pod tym względem - historii walki o prawdę - zbiór dostarcza sporego materiału. Materiał ten, jeśli chodzi o Polaków, choć w przeważnej części złożony z wystąpień nieformalnych i nieinstytucjonalnych, stanowi wynik pracy jakby symbolicznej komisji, której prace nad dokładnym ustaleniem okoliczności zbrodni nie ustały aż do dnia dzisiejszego. Sprawa kатыńska, to także jedyny ważny przykład oficjalnych wystąpień władz Polski Suwerennej w sprawie zbrodni sowieckich dokonanych na narodzie polskim. I rzecz niesłychana: to właśnie symboliczne największe przestępstwo, największa masakra korpusu oficerskiego, do jakiej doszło w ogóle podczas drugiej wojny światowej, zresztą nie w toku działań wojennych, zbrodnia całkowicie dowiedziona i udokumentowana - pozostaje jedyną właściwie, do której Związek Sowiecki nie chce się przyznać aż po dzień dzisiejszy.

Zbrodnia kатыńska jest nieporównywalna z niczym, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę akty eksterminacyjne i mordercze doświadczania dokonywane przez Japończyków na

żołnierzach i oficerach amerykańskich w czasie drugiej wojny światowej, oraz eks-terminację jeńców sowieckich przez hitlerowców - nie tylko głodową./x/ Coś podobnego nie zdarzyło się w historii wojen XIX i XX wieku. Agresja sowiecka we wrześniu 1939 roku, nigdy niestety jako agresja przez rząd polski nie ogłoszona, przez rząd sowiecki nie była uznana oficjalnie jako wojna. Toczyły się pojedyncze walki. Wymordowani zostali jednak oficerowie, którzy najczęściej w ogóle udziału w walce przeciw Rosji sowieckiej nie brali, choć walczyli przeciw sojusznikowi Rosji - Niemcom hitlerowskim. Ale historia wojen nie jest właściwym tłem zbrodni katyńskiej. Właściwą jej podstawą jest ludobójczy system rewolucji bolszewickiej.

Bo jest jednak coś, co może być porównane z morderstwem oficerów polskich. I dokonane zostało tą samą ręką, na ten sam rozkaz. To zniszczenie korpusu oficerskiego Armii Czerwonej przez Stalina w latach 1937 i 1938 - począwszy od marszałka Tuchaczewskiego i generałów, a kończąc na komisarzach politycznych armii. Jeden ze świadków polskich w sprawie Katynia przytacza ówczesną opinię i przypuszczenie rosyjskiego aparatużnika niższego szczebla o spodziewanym losie oficerów polskich: spotka ich zagłada, bo taki jest los białych kontrrewolucjonistów, zwłaszcza oficerów. Była to kontynuacja wielkiego terroru pierwszego okresu rewolucji, terroru związanego z kolektywizacją na początku lat trzydziestych i ledwo naciągniętego terroru lat 1937 - 1938. Zamieszczony w tomie londyńskim szkic Józefa Mackiewicza "Klucz do "Parku kultury i odpoczynku"" /1951/, dotyczący odkrycia masowych grobów w miasteczku Winnica, w roku 1943, zawierających prawie dziesięć tysięcy ofiar rozstrzeliwań NKWD, ukazuje podobne metody represyjne i identyczne sposoby zacierania śladów. Biorąc

pod uwagę ten konsekwentny szlak czerwonego terrorku i fakt, że tylu oficerów polskich brało udział w wojnie 1919 - 1920, dziwić się należy brakowi wyobraźni tych, co nie pragnęli za wszelką cenę uniknąć niewoli sowieckiej. Dużą rolę w tym odegrała przedwojenna opinia publiczna w Polsce, zaiste zbyt łaskawa wobec opisów życia w Związku Sowieckim.

Stanisław Cat-Mackiewicz, brat powieściopisarza Józefa, świadka katyńskiego, w broszurze opublikowanej zaraz po ujawnieniu zagłady oficerów, zarzuca polskiemu rządowi w Londynie długie ukrywanie "sprawy zaginionych oficerów", tak, że wieść o morderstwie spadła na nieprzygotowaną opinię brytyjską i światową i ułatwiła - w obliczu toczącej się wojny - eliminację problemu katyńskiego z "porządku dziennego". Polskie artykuły o Katyniu ukazywały się wtedy zresztą w Anglii z białymi plamami wojennej cenzury brytyjskiej. A nie długo potem morderca i grabarz w jednej osobie powraca na miejsce zbrodni i powołuje swoją własną komisję, która na początku roku 1944 "udowadnia" winę niemiecką. Stro na sowiecka usiłowała jeszcze w procesie norymberskim obciążyć sprawą Katynia przegranych hitlerowców, ale absurdy i niekonsekwencje tego oskarżenia nie przekonały nawet idących po linii racji stanu Anglosasów. Katyń nie znalazł się więc ostatecznie wśród zbrodni hitlerowskich.

Po wojnie pojawiły się dalsze publikacje świadków w sprawie katyńskiej, także tych, którzy zdołali uciec przed zbliżającą się Armią Czerwoną, a zwłaszcza obecnych przy grobach katyńskich w roku 1943 - Józefa Mackiewicza i Ferdynanda Goetla. Mackiewicz pisze w jednym ze swoich wspomnień, jak uciekając przed zbliżającą się linią frontu w ostatniej chwili przeszedł przez most Zwierzyniecki w Krakowie, obsadzony już przez oddziały SS, 18 stycznia 1945 roku

/bardzo brak mi w tomie o Katyniu powojennej relacji Mackiewicza "Dymy nad Katyniem"/. Goetel ukrywał się, ścigany listami gończymi, i pod koniec 1945 roku zdołał ująć do Włoch. We Włoszech znalazł się także rosyjski świadek oskarżenia Iwan Kriwoziercow /zdażył jeszcze złożyć w 1946 roku obszerne sprawozdanie polskim władzom wojskowym/. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że zagarnięci przez organa sowieckie, wszyscy oni zniknęliby, nie zostawiając po sobie nawet mokrej plamy.

Polski rząd Sikorskiego i rządy następne nie powołały żadnej komisji do zbadania sprawy Katynia, choć publicyści emigracyjni postulowali wydanie "czarnej księgi" na ten temat. Dopiero w roku 1948 pojawił się w Londynie poważna publikacja, mająca jednak charakter raczej "prywatny": "Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów", z przedmową gen. W. Andersa. Brak autora opracowania, Jerzy Łojek przypisuje je Z. Stahlowi. O ile wiadomo, opracował tę książkę jednak Józef Mackiewicz. To nagonka emigracyjna na wybitnego pisarza spowodowała zapewne decyzję o usunięciu jego nazwiska z karty tytułowej, aby w warunkach posądzeń o kolaborację z hitlerowcami nie obniżyć wagi książki. Brak relacji Józefa Mackiewicza, który zaledwie jest wymieniony w indeksie, stanowi uderzającą lukę w tej książce. W przeddzień niejako ukazania się "Zbrodni katyńskiej" zniknął, przebywający wówczas w Anglii, świadek zbrodni Iwan Kriwoziercow. Okoliczności jego śmierci, jak i ich ukrywanie przez władze brytyjskie, mało pozostawiają wątpliwości, że była to robota agentów sowieckich. Nie pierwsza to ofiara w śledztwie katyńskim i nie ostatnia. Niedługo po wojnie, w Krakowie, zostaje zamordowany prokurator Martini, dla celów rabunkowych, ale z mieszkania jego znikają akta sprawy katyńskiej, które zgromadził. Nie do końca jasny jest także los "depozytu katyńskiego", skrzyń z pamiątkami i doku-

mentami znalezionymi przy ofiarach, jest przypuszczenie, że przynajmniej część ich nie wywieziona przez Niemców z Krakowa znajdowałaby się w "bezpiecznym" miejscu. Tyle zagadek, pewny jest tylko los ofiar i ręka, która ich zgładziła.

Po wojnie przybywały dalsze pośrednie dowody zbrodni katyńskiej, nie sędziom nieistniejącego trybunału już potrzebne, lecz historycznej pamięci. Pomiędzy nimi jeden, tak kapitalny: otóż po zebraniu świadectw od nielicznych ocalałych "kozielszczyków", okazało się, że ciała ekshumowane przez Niemców /początkowe listy nie były alfabetyczne/ leżały w takim porządku, w jakim oficerowie byli wywożeni z Kozielska. Podobnej kolejności nikt wówczas /poza NKWD/ nie był świadom. Gdyby wiedzieli o tym Niemcy, stworzyliby grób katyński dużo wcześniej. Niemal równocześnie ze "Zbrodnią katyńską" została opublikowana w Londynie "Lista katyńska" opracowana przez A. Moszyńskiego, zawierająca także nazwiska oficerów ze Starobielska i Ostaszkowa. Niedługo potem - najprawdopodobniej pod wpływem zmian w kierownictwie amerykańskim i wojny w Korei - przeprowadzone zostały dochodzenia specjalnej komisji kongresu amerykańskiego, zlecone przez prezydenta Trumana. Udowodniły one znów, ponad wszelką wątpliwość, winę sowiecką.

Ostatnio wydany tom "katyński" uruchomił we mnie wiele niewesołych wspomnień. Przypomniła mi się wiosna 1943 roku, kiedy to w "Gońcu" krakowskim czytałem komunikaty o odkryciu grobów katyńskich, oglądałem zamieszczone tam zdjęcia i czytałem nazwiska pierwszej listy katyńskiej. "Powidok" po tych stronicach gazety pozostał mi na całe życie i kiedy dwa lata temu wziąłem do ręki rocznik owego okupacyjnego "Gońca", oglądałem go jako coś znanego. Pisałem o tym już gdzie indziej: jak bardzo ta prasa i servis jej wiadomości przypominają polską prasę komunistyczną z okresu powo-

jennego. Jeśli chodzi o informacje katyńskie, to niewątpliwie polska prasa okupacyjna, wydawana pod nadzorem hitlerowskim, powinna stać się przedmiotem analizy historyka. Można jednak założyć na podstawie doraźnych lektur, że co najmniej 90 procent wiadomości o Katyniu odpowiadała prawdzie /jak wiadomo, Niemcy nie chcieli się wycofać z podanej początkowo liczby kilkunastu tysięcy znalezionych ofiar; tę wersję podtrzymała komisja sowiecka/. W owym roku 1943 my - to znaczy ja, dorastający chłopak, i moja rodzina, żadnych wątpliwości w sprawie Katynia nie mieliśmy. Opowiadania Ojca o tym, co działo się we Lwowie pod okupacją sowiecką, gdzie cudem uniknął aresztowania - zdołał się wymknąć z rąk NKWD - także nie pozostawiało wątpliwości. Wątpliwości niektórych - w tym także i moje - zaczęły się później, w okresie komunistycznej indoktrynacji pod koniec lat czterdziestych.

Warto byłoby sporządzić, dla historycznej jasności, bibliografię publikacji w Polsce z tamtego okresu, w których pojawia się zakłamanie tej sprawy. Nowela Adolfa Rudnickiego "Major Hubert z armii Andersa" na pewno położyła się ciężko na świadomości niektórych indoktrynowanych /czytaliśmy to przecież/, gdyż pisał ją prozaik wzywający niebo i ziemię na prawdziwe świadectwo okropności wojny, a w jego prozie drgało ludzkie prawdziwe uczucie. Z tamtych czasów przypominam sobie moją rozmowę z Ojcem, który nie wiedział, że rozmawia z człowiekiem znajdującym się pod wpływem ciężkich narkotyków komunistycznego "prania mózgu", musiał więc bardzo cierpieć /termin "pranie mózgu" pojawił się zresztą nieco później i stosował się do jeńców amerykańskich w Korei, poddawanych komunistycznej indoktrynacji/. Tę rozmowę z Ojcem przypominam sobie jako jeden z najprzykrzejszych epizodów tej indoktrynacji, jeśli nawet nie

najprzykrzejszy. Scenariusz mojego ówczesnego myślenia dopuszczał - myślałem realistycznie - że zbrodnię tę, rozumianą zresztą jako zbrodnią, popełniło NKWD, co nie miało dla mnie przekreślać nieuchronności zbawiennej i jedynej rewolucji socjalistycznej czy komunistycznej dla świata. Cóż za upadek duchowy przeżyłem... Na tym tle przypuszczenie wyrażone w noweli Adolfa Rudnickiego /co o niej sądzić, pisałem w mojej "Hańbie domowej"/ wydaje mi się wyżyną.

Był to zresztą okres, w którym do głosu doszło nie tylko szczegółowe, ale i cyfrowe wyliczenie zbrodni hitlerowskich. My, którzy jako dzieci, a potem podrostitki, staliśmy w szeregu do rozstrzelania naprzeciw szturmowców niemieckich, a potem widzieliśmy getto i mieszkaliśmy niedaleko dymów Oświęcimia, omdleliśmy duchowo po lekturze Tadeusza Borowskiego i Zofii Nałkowskiej. Moja przyjaciółka ze szkolnej ławy, Maria Kopecka, której ojciec i stryj figurują na liście katyńskiej /z obozu w Starobielsku/ stała się czynnym członkiem ZMP, niepomna tego, co musiała przeżywać jej matka /pisze o tym w swoim wspomnieniu Maria Hernasowa: "Na marginesach "Hańby domowej", "Obecność", niezależne pismo literackie, Wrocław 1988, nr 22/. Wiek szczenięcy potrafi być głupi i ślepy, ale ci co ranią wrażliwość tego wieku i wykorzystali jego naiwność, pozostawili otwarte rany na całe życie, nerwów i sumienia, jak by to powiedział Norwid. Warto jednak przypomnieć, że w tych latach nie mieliśmy dostępu do żadnych, dokładnie: żadnych źródeł informacji, nawet do tych starych roczników gazet okupacyjnych, hitlerowskich, które w tym wypadku nie kłamały. Najczęściej nie pozostał w pamięci żaden materiał dowodowy poza czystymi sprawami emocjonalnymi. Jeśli istniał w książkach wydawanych na Zachodzie, to poza zasięgiem

takich jak my uczniów gimnazjalnych. Było więc tak, jakby zniknęły dowody - szło się tylko na intuicję, a ta zależała od indoktrynacji. Pozostawał jednak zawsze cień wątpliwości i stąd też wątpliwość afirmacji "nowego" z czającym się cieniem zbrodni.

Pozostały ukryte w podświadomości zniszczenia, jako trwała skaza winy. Muszę powiedzieć, że dziwię się wspomnieniom niektórych kolegów pisarzy, tych dużo starszych i tych nieco starszych ode mnie, opisujących tamte czasy, i określających tamtą swoją świadomość w kategoriach świadomości, niewątpliwie, fałszywej, ale także naiwnie euforycznej. Ja zaś mam poczucie, że wisiał nad tym wszystkim, spychany w podświadomość, strach, groza rzeczywistości, destruująca nasze życie także na planie najściślej osobistym i twórczym. Tak jestem skłonny widzieć swoje tamte lata, a udziału sprawy katyńskiej w tkance moralnej naszej psychiki w tamtym czasie nie da się pominąć.

Trzeba jednak wyrazić to przypuszczenie: że może też oślepiliśmy wobec bezlitosnej walki w ogóle, "obyci" ze strzelaniem konkretnym, tuż obok nas, przy sąsiedniej ścianie, do naszego brata czyli przechodnia. To, co opowiem teraz, jest drobiazgiem. Przypomniał mi niedawno Andrzej Biernacki /ta sama klasa licealna matury roku 1949, co ja i Myszka Kopecka/, że w rozmowie z nim podkreślałem znakomitość znanej sceny /znanej dobrze w tamtych czasach/ z powieści radzieckiego pisarza Aleksandra Beka "Szosa Wołokołamska" - o rozstrzelaniu dezertera /dezertera przez autookaleczenie postrzałem/. Autor buduje tam dwie wersje sceny: w pierwszej, po akcie skrucy zostaje dezercja przebaczona i żołnierz będzie dalej walczył z Niemcami, w drugiej, tej "prawdziwej" autor przyznaje się, że zwodził czytelnika: nie ma miejsca na litość, według prawa wojny dezerterski został roz-

strzelany. Uważa się, że powieść ta w okresie, gdy została napisana i opublikowana /tuż po wojnie/ świadczyła o obiektywności, nonkonformizmie i odwadze pisarza, którego zresztą ostatnia powieść, "Ostatnia nominacja", zakazana w ZSRR, ukazała się na Zachodzie w roku śmierci pisarza. A jednak: było w tej scenie coś dwuznacznego. Zwiedziony czytelnik musiał się wstydzić swego uczucia litości. Wchodziła w grę uczuciowa bezwzględność. Była to może gra powieściopisarza, bo przecież można mu było zarzucić, że w ogóle uczucie litości dopuszcza. Tak kiedyś Melania Kierczyńska, w dyskusji nad "Popiołem i diamentem" Andrzejewskiego, krytykowała tych, co czuli litość dla Maćka Chełmickiego. Wyobrażam sobie, co skonsternowało wtedy Andrzeja: że zbyt łatwo godzę się na to zdruzgotanie uczucia litości. Czy tak było? Nie potrafię już tego odtworzyć, myślę jednak, że tego aby pisarz prowadził grę z cenzorem - mimo wszystko - chyba nie potrafiliśmy sobie wyobrazić. A dzisiaj myślę, że jeśli Bek prowadził tu jakąś grę, to poniósł w niej porażkę. większość czytelników została zawstydzona w swym uczuciu litości.

Jeśli jednak o tym piszę - w tym ogromnym marginesie przy omawianiu tomu katyńskiego - to dlatego, że nie uległ jeszcze dostatecznemu zbadaniu cały obszar moralny tak zwanej powieści rewolucyjnej spod znaku socrealizmu i ideologii bolszewickiej, całe to chwalstwo rewolucji i jej twardych metod, te wszystkie sceny niezliczonych filmów radzieckich i nie tylko radzieckich, całe to chwalstwo metod także wielkiej rewolucji francuskiej i Komuny Paryskiej, a także chwalstwo rewolucji hiszpańskiej. Bezmiar zła istniejącego na świecie otwiera w duszy prawie że każdego człowieka także tę szczelinę, przez którą może wpełznąć i wpełza często świadome lub podświadome uwielbienie dla "sprawiedliwego" samosądu jednostki czy tłumu i tylko najodporniejsi

moralnie zdolni są temu się oprzeć. Nie à propos i na pewno anachronicznie korci mnie, aby przypomnieć tę scenę z najbardziej uwielbianego polskiego poematu, którą przyjmowałem w dzieciństwie z mieszanym uczuciem zadowolenia, a której nie mogę dzisiaj czytać bez pewnej zgrozy. Chodzi o czyn Klucznika Gerwazego, gdy po bitwie zabija on uwięzionego majora Płuta, nie bez wyczuwalnego dla mnie aplauzu ze strony chyżo i dobroduszenie biegnącego trzynastozgłoskowca, choć i nie bez protestu księdza Robaka, alias Jacka. Po oświadczeniu Klucznika:

"Klnę się Scyzorykiem,
Że Płut nie wyda! gadać już nie będzie
z nikim!"

powie Robak:

"Chrystus zabrania mścić się nawet i nad
wrogiem!

Oj, Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed
Bogiem.

Jedna jest restrykcja: jeśli popełniono
Nie z zemsty głupiej, ale pro publico

bono

Klucznik głową i ręką kiwał wyciągniłą,
I mrugając powtarzał: "Pro publico

bono!"

A ethos rycerski Polaków? Cóż, Mickiewicz realista...

Wróćmy do refleksji nad tomem londyńskim. Mylą się ci, którzy uważali, że zbrodnia katyńska była tylko jedną z licznych "krwawych plam" na drodze męki tego narodu, epizodem strasznym, lecz zamkniętym. Przypomina się tu także przedrukowany w tomie artykuł Józefa Czapskiego, niegdyśjsza polemika moralna z Grahamem Greene'm, który określił mord katyński jako sprawę "mniejszego znaczenia" na tle 6 milionów Polaków, którzy zginęli z rąk hitlerowców. Tak jakby o męce decydowały cyfry. Do cyfr tych zresztą przyszło mi już kiedyś w druku się ustosunkowywać. Otóż

jeśli wziąć pod uwagę statystyki, okupacja sowiecka kosztowała Polskę około półtora miliona istnień, a represje - biorąc pod uwagę procent zajętego terytorium i jego zaludnienia - nie były mniejsze od niemieckich. Na tym tle Katyń ma wymowę szczególną, ten grób bowiem miał i mieć będzie wymowę symboliczną, taką jaką - w innym wymiarze - miały dla Greków Termopile, a dla Żydów Oświęcim i Treblinka, dla Francuzów Verdun, dla Japończyków Hiroshima, dla Niemców Drezno. Nie są to zresztą rzeczy porównywalne, jeśli chodzi o różne wymiary zła etycznego.

W Katyniu NKWD złamało sacrosanctum statusu więźnia wojennego mordując, jak to słusznie powiedziano, "kwiat rycerstwa" polskiego, ale także kwiat polskiej inteligencji, mordując podstępnie i skrytobójczo. Dzień po dniu, według ustawionej kolejki. Nie ma narodu bez kultu przodków i bez kultu ich grobów. Literatura polska zna topos grobu poległych za ojczyznę i gdyby wyliczyć utwory, w których taki grób się znajduje i groby, którym taką cześć się oddaje, należałoby napisać książkę osobną. Katyń jest miejscem, gdzie na wieki usnęli zamordowani zdradziecko rycerze, których cienie dotąd nie znalazły spokoju i dręczą świadomość narodową, domagając się czci cmentarnej i sprawiedliwości. Nie wiadomo, czy to parady popełniają zbrodnie, czy tylko jednostki. Pewne jest jednak, że zbrodnie popełnione w imieniu jakiegoś narodu muszą dręczyć świadomość tego narodu. Cóż jednak, jeśli tamten naród został po części zabity - przez tych samych zbrodniarzy?

Za rok minie pół wieku od egzekucji katyńskich. Ogromny okres czasu, tyleż co od pochodu Napoleona na Moskwę - do Powstania styczniowego. Jest szczególnością naszej literatury, że grób katyński pozostał w niej stosunkowo nieznaczące ślady

lub ślady rangą artystyczną nie dorastające do wyrażenia głębi narodowej tragedii. Nic na miarę tego wydarzenia. Nic na miarę mitotwórczej grozy etycznej, jaka zapadła w zbiorową duszę tego narodu. Może to i dlatego, że żyjemy w epoce dokumentu i że nie da się łatwo przeliczyć tych nielicznych zdjęć katyńskich, urywków ostatnich zapisów w dziennikach oficerów, a także relacji tych, co stali potem nad brzegiem rozkopanych katyńskich dołów. Ale czy nie wiąże się to także z gestem obronnym narodu, który nie może za cel pierwszy obrać sobie pieśni żałobnej i hymnu pogrzebowego?

A może także dlatego, że przez tak długi czas zbrodniarze korzystali z owoców zbrodni. I to nie tylko w tym sensie, w jakim na przykład korzyść przyniosło komunistom wyeliminowanie kwiatu młodzieży polskiej, zniszczonej w Powstaniu Warszawskim. W sprawie katyńskiej bowiem korzyść odniósł sprawca także z wykrycia zbrodni, którego to wykrycia nie pragnął, obawiał się i którego się nie spodziewał. Ta sprawa prosi się też o monograficzne opisanie. Brak w ogóle szerszej, wieloaspektowej monografii zbrodni katyńskiej, które jest jednym z istotnych faktów nowszej historii Polski. Pod tym względem zresztą uważam, że lepiej zrobiliby wydawcy londyńscy, zamieszczając jako rodzaj wstępu pracę Jerzego Łojka, drukowaną pod pseudonimem Leopolda Jerzewskiego, niż skróconą wersję książki Kwiatkowskiej-Viatteau, wiele dawniejszej i przeznaczonej dla obcego czytelnika. W każdym razie musiałyby się okazać w takiej wieloaspektowej monografii, jak sprawa katyńska, której wykrycie niewątpliwie musiało spowodować popłoch Berlii, a może i Stalina, stając się szczęśliwą dla nich okolicznością, pozwalającą rozegrać zerwanie z rządem londyńskim generała Sikorskiego. Nie było wtedy dla nich nic bardziej krępującego ruchu niż ten generał, który był

gotów iść na ustępstwa, ale nie takie, jakich mogli się spodziewać od posłusznych członków Związku Patriotów Polskich, założniku późniejszego PKWN-u. Ocena Sikorskiego to zresztą jeszcze jedno zakłamanie propagandy i historiografii reżimowej po dziś dzień. Zerwanie stosunków dyplomatycznych z rządem Sikorskiego wcisnęło także atut do ręki /choć atut moralnie przykry/ dla koalicji anglosaskiej, Amerykanów i Brytyjczyków: Polacy nie znają miary i nie znają racji stanu! Katyń był argumentem na drodze do realizacji Jałty. A złamany moralnie Katyniem rząd polski, miotający się pomiędzy uznaniem moralnego protestu armii /II Korpusu/, która była jego jedyną armią, a próbą wywikłania się z nacisku mocarstw, od których zależało przyszłe wsparcie i obrona przed Rosją sowiecką? Przecież to był splót morderczy! Cała słabość polskiej polityki rządu emigracyjnego, ale także delegatury rządu na kraj, wynikała także z tych fatalnych okoliczności. W kraju lęk przed Rosją sowiecką, nakazujący przejmować władzę poprzez wykrwawiające walki z Niemcami, jak część realizacji "Burzy" i Powstanie Warszawskie - miał w sobie także syndrom Katynia.

Po Katyniu nadeszły szybko dwa ciosy; według wszelkiego prawdopodobieństwa powiązane ze sobą i według wszelkiego prawdopodobieństwa kierowane z moskiewskiej centrali: katastrofa samolotu generała Sikorskiego, przeszkadzającego już Sowietom /szefostwo kontrwywiadu brytyjskiego na Gibraltar miał wtedy w swych rękach słynny agent sowiecki w służbie Jej Królewskiej Mości - Kim Philby/, oraz aresztowanie Grota Roweckiego przez Gestapo. Znamy nazwiska polskich agentów: Swierczewski, Kalkstein, Kaczorowska. Pierwszy ginie z wyroku AK, tamtych dwoje otrzymuje po wojnie niewielkie wyroki, jak na udowodnioną winę. Stosunkowo prędko mogli cieszyć się wolnością.

Nie umiem wytłumaczyć sobie tego łagodnego wyroku sądu PRL inaczej, niż pracą oskarżonych jednocześnie dla wywiadu sowieckiego, zainteresowanego eliminacją Grotu. Obaj przywódcy wojskowi, w kraju i na emigracji, znikają w odstępie kilku dosłownie dni. Myślę zresztą dzisiaj, że i dla Brytyjczyków był to podarunek. A wolę nie myśleć, co mogła ta śmierć oszczędzić Sikorskiemu.

Po wojnie Katyń pełnił w kraju rolę w podtrzymywaniu podświadomego strachu zbiorowego; próbowano jednocześnie dokonać przeniesienia winy na Niemców w publikacjach po roku 1950. Ta indoktrynacja przyniosła, jak sądzę, tylko ograniczone i chwilowe rezultaty. Świadczy o tym zniknięcie tematu Katynia z łam publikacji oficjalnych na dziesiątki lat. Temat Katynia powrócił pod presją demokratycznej opinii publicznej i środowisk niezależnych - po cząwszy od przełomu lat osiemdziesiątych /czterdziesta rocznica/. Natomiast "gra Katyniem" przez władzę komunistyczną trwa do chwili obecnej. W sytuacji, gdy nie ma żadnej Komisji do Badania Zbrodni stalinowskich i komunistycznych, gdy nie działają żadne trybunały i sądy mogące przestępców napiętnować w majestacie prawa, rozlega się wołanie: powiedzcie tylko prawdę! W tym właśnie duchu wypowiedziała się w zeszłym roku grupa intelektualistów polskich, a kilka lat temu grupa sprawiedliwych narodu rosyjskiego. Nie sądzę, aby należało ograniczać się do takich apeli. Nie chodzi tylko o prawdę, chodzi o sprawiedliwość. To dozowanie prawdy, przyznawania się do prawdy, staje się atutem propagandowym partii, która jest spadkobiercą nie tylko ONR-u, jak pisał Czesław Miłosz, ale i zbrodni stalinowskich, jest sojusznikiem tej sowieckiej partii, która wywodzi się w prostej linii od katyńskich morderców. Ostatni natomiast apel intelektualistów polskich do trybunału haskiego, o nieprzedawnianie zbrodni stalinowskich, zdaje

się zapowiadać nową fazę świadomości moralnej i prawnej: zbrodniarze nie powinni mieć spokojnego życia i spokojnej starości. Powinni zostać wskazani i napiętnowani ci także, nie znajdujący się w najwyższych rejonach decyzji, gdzie decydował Stalin i jego transmisje: Beria, Merkułow, Rajchman. Dokumenty katyńskie przytaczają dużą ilość nazwisk oficerów funkcyjnych NKWD, może pseudonimów. To nie muszą być jeszcze starcy nad grobem. Pamiętajmy też, że spośród ofiar najmłodszy podchorążowie "katyńscy" dopiero niedawno przekroczyliby wiek emerytalny.

Pisząc o sprawie Katynia wiosną zeszłego roku postawiłem pytanie, czy pozostało coś ze szczątków ofiar w lasu katyńskim, czy też wszelkie ślady zostały zatarte. Pytanie to powraca w świetle zupełnie ostatnich odkryć w wojskowym archiwum lotniczym w Bostonie, dokonanych przez Zdzisława Rurarza. Chodzi o zdjęcia lotnicze cmentarza katyńskiego dokonane przez zwiadowcze samoloty niemieckie pod koniec 1943 i z początkiem 1944 roku. Zdjęcia cmentarza, nad którym objęło już władzę NKWD, ukazują liczne roboty ziemne i przekopywanie całego terenu. Kiedy w styczniu roku 1944 zbierze się sowiecka Komisja Katynia, będzie to już co najmniej trzecie otwarcie grobów. Grobów - czy tylko tego jednego, pozostawionego dla celów Komisji, dla celów komisji spreparowanego? Co się stało w ogóle z grobami, jaki jest stan cmentarza? To jest pytanie, które polska komisja katyńska powinna postawić rządowi sowieckiemu w imieniu polskiej opinii publicznej. Komisja ta powinna mieć prawo do własnych poszukiwań i badań, tak jak współpracują komisje zbrodni hitlerowskich przy wizjach lokalnych na terenie krajów, gdzie popełniono zbrodnie. To nie są sprawy sprzed tysiąca lat, aby mogła nas zadowolić praca historyków.

Sprawa Katynia jest żywa, ale jak się tu już wspomniało, w perspektywie pięćdziesięciu lat jest także jednym z narodowych żałobnych mitów. Od tej strony nie poświęcono mu dostatecznej uwagi i siłą rzeczy nie zajmuje się tym londyński tom dokumentów. Nie za wiele wiemy nawet, kim byli ludzie, których nazwiska figurują na "katyńskiej liście": "kwiat rycerstwa", "kwiat inteligencji"... Na liście znajdują się nazwiska dwu bardzo wybitnych poetów międzywojennego dwudziestolecia: Lecha Piwowara i Władysława Sebyły. O tym ostatnim pisał Czesław Miłosz w "Traktacie poetyckim": "... strzela w tył głowy Sebyle i pochowają go w smoleńskim lesie." "Smoleński las" pełni tutaj rolę symboliczną, Sebyła bowiem znajduje się /podobnie jak Piwowar/ na liście zaginionych więźniów Starobielska. Gdzieś tam znajduje się jego grób. Gdy o tym myślę, zawsze przypominam sobie strofę z jego przejmującego i zaiste proroczego wiersza pod tytułem "Pogrzebny":

W nieznanym zatonięty
przez ciemność pochłonięty,
uniesiony wysoko
broczysz nocną posoką,
płyniesz w nieznane strony,
gdzieś będziesz pogrzebiony,
gdzieś będziesz pochowany,
w ziemi śniegiem usłanej,
w ziemi mocno ubitej,
w nocy niebem przykrytej,
odezłowieczony.

W wydany zaledwie kilka lat temu pamiętniku żony poety, Sabiny Sebyłowej, z lat okupacji, próżno by znaleźć wzmiankę, gdzie i jak zginął Władysław Sebyła, mistrz mowy polskiej. Milczą o tym wydawcy rękopisu nie żyjącej już autorki, milczy autor wstępu Lesław Bartelski. Jest jednak przytoczonych kilka listów poety ze Starobielska. Jeden telegram podpisany przez niego i Józefa Czapskiego przychodzi na początku

kwietnia 1940. A potem już tylko zwrot korespondencji: adresat wyjechał. Powie ktoś, że te listy to już zwycięstwo nad cenzurą... Ale ten kwiecień roku 1943 w dzienniku robi wrażenie luki wyszarpanej z serca. Od połowy kwietnia gazety donosiły codziennie w Warszawie o Katyniu - żadnej o tym wzmianki, żadnej w związku z tym wzmianki o Władysławie, przypuszczenia, przerażenia, choć dziennik pełen jest myśli o nim i wspomnień. Że nie było w tym czasie zapisów dokonanych ręką autorki, po prostu uwierzyć nie mogę...

Zygmunt Nowakowski nazwał grób katyński "castrum doloris". "Castrum" to warownia, jak przystało na miejsce, gdzie przebywają rycerze, ale też miejsce narodowego bólu. Ale może chodziło tu i o coś więcej. O "zamek ducha", choć w bólu pogrążonego, o "okopy ducha", o których mówił Norwid, a więc i o wyzwanie. Aby spełnić obowiązek, jakiego wymagają od nas nasi zmarli, nie pogrzebani przez naród. Ten obowiązek grzebania głęboko był zakorzeniony wśród ludów śródziemnomorskich. Starożytni Grecy dotąd nie opuszczali pola bitwy, póki nie unieśli z niego swoich zabitych, wierzyli bowiem, że niepogrzebani nie znajdą spokoju w krainie cieni. Niepogrzebani w prawdzie żałoby katyńscy rycerze wciąż nie dają spokoju duszy narodu.

Las katyński, jak las Birnam w "Makbecie", nie stoi w miejscu, rośnie, ogromnieje i zbliża się.

grudzień 1988

Jacek Trznadel

/x/ Nieprzeliczona pozostaje jednak ilość ofiar związana z eksterminacją żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej przez NKWD - po ich powrocie z niewoli niemieckiej, już po wojnie.

MEFISTO Z KWIATEM GLICYNII
/Notatki diaboliczne/

1.

Jarosław Iwaszkiewicz debiutował w roku 1915, a więc mając lat 21, następującym wierszem, który później zwykł był przedrukowywać zawsze na początku kolejnych tomów wierszy zebranych czy wybranych:

Lilith

Cichy o marmur sandału zgrzyt,
Kadzidła welon i ambry woń.
Drży w siny płomień świecznika dłoń
Idzie Lilith... idzie Lilith...

O serce moje zgłodniałe, cyt!
To płatków kwietnych opada rój,
To kadzidlany ściele się zwój,
Idzie Lilith... idzie Lilith...

To wschodni śni się duszy mój myt
To płacze tęskny i zwiędły kwiat.
O czarny marmur sandału zgrzyt

Kroki tajemnic i szepty zdrad.
Rodzi się wonny i słodki byt,
Idzie Lilith... idzie Lilith...

Wydaje się hipotezą wysoce prawdopodobną, że przeważającej części tych, którzy się natknęli na ów wiersz zamieszczany na czele kolejnych tomów Iwaszkiewicza, nic nie udało się z niego zrozumieć, bo przecież mocno trzeba się o to starać, a jednocześnie nie rzucają się tu w oczy takie literackie walory tekstu, które skłaniałyby do zadawania sobie w związku z nim jakichś trudów szczególnych.

Kluczowego słowa "Lilith" nie znajdziemy w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, trzeba go szukać w źródłach bardziej wyspecjalizowanych. Mówiąc w skrócie Lilith - wedle

starych żydowskich legend, haggad czy mitów to kobiecy odpowiednik szatana, żeński demon zła. Podawane przez niego wersje różnią się znacznie między sobą, a jest pośród nich i taka, która mówi, że owa Lilith była pierwotną żoną praojca Adama, stworzoną z nim równocześnie i bez tej podrzędności, jaka się zawiera w historii o stworzeniu Ewy z jego żebra - po czym w okolicznościach niejasnych i z powodów, które też nie są oczywiste, została z raju wygnana i dopiero wtedy stworzył Pan Bóg Ewę, a Lilith podzieliła los upadłych aniołów; w każdym razie owe różne wersje zgadzają się co do tego, że Lilith to połączenie "das ewig Weibliche" z ucieleśnieniem zła - i tyle też znaczy w cytowanym wierszu.

Jarosław Iwaszkiewicz kobiet nie znosił, brzydził się nimi, przedstawiał w swoich jakże licznych tekstach zawsze jako postaci negatywne, obrzydliwe. Oczywiście wszyscy - poza zawodowymi krytykami i historykami literatury - wiedzą doskonale, że Iwaszkiewicz był przez całe życie zdeklarowanym homoseksualistą i nie widzimy powodu, aby ten fakt przemilczać. Nie jest on oczywiście sam w sobie kluczem do twórczości Iwaszkiewicza, ale, jak każdy istotny szczegół osobowości, nie pozostawał bez wpływu tak na przebieg biografii pisarza, jak i rozwój jego poglądów, przeto może pewne kwestie w jego utworach objaśnić.

Zacytowany przez nas wiersz pochodzi - przypominamy - z roku 1915. Właśnie w tym roku owa "Lilith" określa i zakreśla horyzenty życiowe młodego /ur. 1894/ zdrowego chłopaka, którego polscy rówieśnicy zajmują się podówczas zgoła czym innym. A chociaż się Iwaszkiewicz rodził i chował na Ukrainie, miał wyjątkowo bliskie stosunki z miastem, z którego wymaszerowała I Kadrowa: jego 4 starsze siostry pobierały nauki w Krakowie właśnie, i jak sam Iwaszkiewicz pisze, na wszystkie wakacje przywo-

ziły na Ukrainę właśnie ową wspaniałą, niezapomnianą atmosferę Krakowa pierwszych lat kilkunastu tego wieku. /1/

Młodziutkiemu Iwaszkiewiczowi wydarzyło się coś takiego: jego stosunek do tego, co kobiece, wyrażony jest w cytowanym debiutanckim wierszu, jego głęboki i zdecydowany homoseksualizm, każący postrzegać kobietę jako istotę niższą i gorszą, połączył się od najwcześniejszej młodości z koniecznością odrzucenia całego zespołu wartości, który słusznie czy niesłusznie jako związany z nienawistną i pogardzaną kobiecością postrzegał, a w tamtym miejscu i czasie, a na dodatek w jego sytuacji osobistej, musiało to oznaczać ten zespół wartości, na którym oparło się wywalczenie niepodległego Państwa Polskiego przez pokolenie rówieśników pisarza.

Jak już wspomnieliśmy, chował się Iwaszkiewicz w domu bardzo kobiecym: ojciec umarł, kiedy Jarosław miał lat 8 i od tej pory jego rodzina składała się z matki i 4 znacznie starszych sióstr /różnica między najmłodszą z nich a przyszłym pisarzem wynosiła lat 8/ i składało się tak, że to one właśnie przywoziły do domu tę atmosferę polskiego Krakowa i w umyśle dojrzewającego chłopca dokonało się połączenie owych spraw polskich z odrażającą, groźną, obcą kobiecością, przed którą chciał się bronić.

Pisując stale i dużo przez lat ponad 60 - i pisując głównie o sobie - sporządził Jarosław Iwaszkiewicz wiele autobiografii, szalenie się między sobą różniących /2/, co mogłoby być tematem oddzielnej, solidnej a zarazem fascynującej książki - łączy owe autobiografie ze sobą ich użytkowy charakter, to znaczy dążenie do takiego przebudowywania obrazu życia i osoby pisarza, by każdorazowo był on dostosowany do pełnionej przez niego roli społecznej, do środowiska, w którym się w danym momencie obracał.

Skoncentrujemy się tu na pierwszej wersji autobiografii pisarza zawartej w powieści "Hilary syn buchaltera" /1923/, zakładając, że jej pierwotność w stosunku do wersji późniejszych jest zarazem gwarancją najwyższego stopnia jej autentyczności. Godne też uwagi, że powieści tej, w przeciwieństwie do wszystkich innych, Iwaszkiewicz nigdy później nie przedrukowywał - została ona wydana powtórnie dopiero w roku 1975, kiedy "Czytelnik" na 80-lecie pisarza przystąpił do zbiorowego wydania jego dzieł wszystkich.

Jarosław Iwaszkiewicz był synem buchaltera. Wszystkie późniejsze wersje autobiografii fakt ten zamazują, czasami bardzo zabawnie i znacząco zarazem - w "Sławie i chwale" na przykład, będącej w dużej mierze powieścią z kluczem, koncypowany autoportret pisarza nosi eleganckie nazwisko "Janusz hr. Myszyński". I właśnie pomiędzy gałkami liczydeł buchaltera i pałkami korony hrabiowskiej zawierał się dramat młodego człowieka, który jesienią 1918 roku przybył do Warszawy z szalonymi aspiracjami i wielkim poczuciem upośledzenia przez los.

W powieści "Hilary syn buchaltera" już na pierwszej stronie pojawia się nazwisko Lucjana de Rubempré, figury dla życia i twórczości Iwaszkiewicza niezwykle znaczącej. Odsyłając po szczegóły do Balzaca przypomnimy tu tylko, że jest to nazwisko jednego z bardziej znaczących, a zarazem bardziej odrażających bohaterów "Komedii ludzkiej" /Lucjana na balzakowską scenę wprowadza tom "Stracone złudzenia"/, młodego człowieka gminnego pochodzenia, przybývającego do Paryża z myślą o zrobieniu kariery na drodze dziennikarsko-literackiej. Lucjan Chardon /bo tak się w istocie ów bohater nazywa, a to nazwisko "de" jest oczywiście zmyślane czy nieprawnie przy-

właszczone/ - jest człowiekiem pozbawionym skrupułów, gotowym dla swojej wymarzonej kariery, dla upragnionego błyszczenia w salonach popełniać wszelkie niegodziwości. Odnotujemy, że Lucjan świetnie zdaje sobie sprawę z nieetyczności swojego postępowania.

Z takimi samymi zamiarami i podobnym wyposażeniem, z jakim przybył 100 lat wcześniej do Paryża Lucjan de Rubempré, przybyli do Warszawy Jarosław Iwaszkiewicz i jego bohater - Hilary, syn buchaltera./3/ Stosunek między pisarzem i jego powieściowym alter ego jest tu wyjątkowo bliski; nie dość, że życie powieściowego bohatera składa się prawie wyłącznie z epizodów z biografii samego pisarza, ale na dodatek narrator powieści co jakiś czas wtrąca uwagę identyfikującą go wprost z bohaterem - "i ja tak samo, Hilary, i ja tak samo". Główny wątek powieści i metoda, przy pomocy której Hilary postanawia zdobyć pozycję w stolicy odwzorowuje metodę zastosowaną przez samego pisarza. /4/

W przeciwieństwie do grupy kolegów z kawiarni "Pod Picadorem", pisma "Pro Arte et Studio", a później "Skamandra", Jarosław Iwaszkiewicz nie zdobył sobie szczególnej popularności ani powodzenia swoimi tekstami literackimi, co rzucało się szczególnie w oczy na tle bylskotliwych karier pozostałych skamandrytów. Któryś z nich rzucił później bonmot: "w Skamandrze było nas czterech i Jarosław Iwaszkiewicz, jak to piąte koło u wozu". W pisanych później wspomnieniach żali się Iwaszkiewicz niejednokrotnie, że na skutek złośliwych plotek rozpowszechnianych przez Lechonia i Słonimskiego był przez lata uważany za osobnika pozbawionego inteligencji i talentu. /5/

W tej sytuacji - iście wzorem balzakowskich bohaterów - postanowił Iwaszkiewicz ufundować swoją karierę na starannie zaplanowanym małżeństwie, żeniąc się w roku 1922 z Anną Lilpopówną, córką i dziedziczką

Lilpopa, jednego z najbogatszych fabrykantów warszawskich. Kiedy kilkanaście lat później Anna Iwaszkiewiczowa dziedziczyła majątek po swoim ojcu - wyceniano go w milionach dolarów. Cena, za którą gotów był sprzedawać się Lucjan de Rubempré, została poważnie przebita.

W powieści o Hilarym znajdujemy szerokie analizy obrzydzenia i niesmaku, jaki czuje do samego siebie jej bohater, decydując się na małżeństwo mające rozwiązać jego bytowe problemy. Nie jest on homoseksualistą, ale musimy pamiętać, że w roku 1923, kiedy książkę wydawano, było to nie do pomyślenia z punktu widzenia cenzury obyczajowej. Natomiast, jak zresztą we wszystkich tekstach Iwaszkiewicza, bohater czuje się nieporównanie bliższy mężczyznom, a kobiety przedstawione są wyłącznie kąśliwie.

Hilary pisze. "W razie powodzenia - książka. Chciał ją zadedykować przepięknej bramie życia przez którą miał wyjść na złocisto tkany świat - jej" /6/ /100/. Powieść "Hilary syn buchaltera" nosi dedykację "Mojej żonie". Jednocześnie ów Hilary "Przemierza dziwnie spokojnym krokiem rozhuśtane bujne w owej porze jak nigdy Aleje Ujazdowskie i śmiał się z owych gruchających par"/101/. "Widzi przed sobą popłatany świat intryg i wszędzie to zabawne mówienie o miłości" /85/. "Śmiały mu się usta gdy patrzył - on z domku buchaltera, na te powozy i te samochody. I ta myśl - muszę jeździć tak samo. Ach, dziwna, zdrożna myśl, a taka uparta. Nie, nie, naprawdę pojedzie; będzie miał pieniądze, sławę i kobiety" /14/. "Chodzi mi właśnie jedynie o popularność - powiedział zdecydowanie Hilary. Cóż nam przyjdzie ze sławy po śmierci" /30/ "Ach, przecie wreszcie pokażę im, kim jestem - i zaciskał zęby. - Przecie będę górą. Zemszczę się za wszystkie poniżenia."

"Rozpalał go zapach. Przypominał wszystkie krzywdy, zaznane od tamtych ludzi. Myślał, że jednak małżeństwo z Wildą byłoby świetną zemstą. Purpura tych wściekłych twarzy i chłód jego ust!"

"I zaraz znowu zamarzę trotuary, stosy futer, dorożka, pornograficzne książki Kawerego - i on, malutki snob Hilary, marzący o bogatej pannie" /87/. "I jeszcze te wypadki polityczne - dodał już tylko, aby coś powiedzieć, gdyż w owej epoce nawet niezwykle ówczesne zdarzenia nie mogły go naprawdę zainteresować" /120/. /Jest rok 1920, którego wydarzenia nie zainteresowały również zanadto samego Jarosława Iwaszkiewicza, o czym będziemy jeszcze mówić/. "Jestem u szczytu marzeń. I lekko mi jak gdyby skrzydła... - Ale szedł do siebie z głową spuszczoną ku ziemi" /129/. "I rusza do ołtarza. Jakiż to zabawny obrządek. Trzeba uklęknąć, a potem przysięgać" /139/. "Ohyda tej wieczerzy /chodzi o wieczerzę weselną - przyp. JW/ gnębi go nieokreślonym jakimś wstrętem /.../ uczucie zasmagania duszy batami na niepo-trzebny, bolący łańchman" /140-141/.

Szczerłość tych wyznań - jak już wspomnieliśmy dedykowanych dziedzicze Lilpopa - robi pewne wrażenie; nie dziwi też fakt, że Iwaszkiewicz nieskłonny był tę powieść przedrukowywać. Z tej młodzieńczej powieści zacytujemy jeszcze jedno zdanie, pochodzące nie od Hilarego, a od samego narratora: "trzeba grać życie, ale trzeba je umieć wyreżyserować" /92/.

Powieść o Hilarym to obnażenie duszy zaiste à la russe; dostrzeżenie pierwiastka rosyjskiego w twórczości Iwaszkiewicza wydaje się warunkiem niezbędnym dla jej rozumienia. Sam pisze on we wspomnieniach, że jedyne jego dziecięce i młodzieńcze wtajemniczenia w polską literaturę i historię, w narodową tradycję i system wartości odbywały się za pośrednictwem przyjeżdżających na wakacje czy ferie sióstr, podczas

gdy życie codzienne, szkoła, całe formowanie się młodego człowieka - odbywały się wewnątrz kultury rosyjskiej, w ostatnich, najbardziej dekadenskich latach jej istnienia.

W "Hilarym" zarysowane zostają podstawowe wyznaczniki stosunku Iwaszkiewicza do życia i świata, powieść ta stanowi rodzaj konturowej mapy przyszłej jego twórczości, którą książki późniejsze dopełniać będą i nieznacznie tylko korygować. Bohater tej książki, człowiek o duszy subtelnej i wrażliwej, jest jednocześnie, na innym jak gdyby piętrze swojej egzystencji, progresywnym parweniusem, skłonny do wszelką cenę dążyć do obranego celu i owa wielka wrażliwość czynieniu tego bynajmniej nie przeszkadza, a może nawet przeciwnie: człowiek tak wrażliwy i swojej wrażliwości świadomy tym łatwiej godzi się na czynione przez siebie zło.

3.

Czyniąc zło cierpi głęboko i cierpienie owo staje się czynionego zła swoistym równoważnikiem, a zarazem i usprawiedliwieniem, aby wreszcie stać się wręcz jego mechanizmem sprawczym, tworząc potworne continuum: cierpienie potwierdza wrażliwość, a pasie się czynionym złem. I nie ma tu mowy, aby się czynionego zła wstydił, można nawet posunąć się do jego sakralizacji; dopowiedzmy, że kwestia ta dotyczy już nie tylko mniej czy bardziej żywiących się szczegółami autobiograficznymi postaci literackich, tworzonych przez Iwaszkiewicza, ale to samo jest on gotów powiedzieć wprost o sobie w książkach o charakterze wspomnień czy wyznań.

Oto w "Ale! Przyjaciół!" opisuje Iwaszkiewicz świństwo, jakie zrobił Arnoldowi Szyfmanowi:

"Mowę moją uzgadniałem w Ministerstwie Kultury /mowę na otwarciu odbudowanego

Teatru Wielkiego w połowie lat 60-tych - przyp. JW/, gdzie skreślono mi z niej wzmiankę o zasługach Szyfmana. Bezmyślnie przyjąłem to skreślenie, co było zaparciem się prawdy, długoletniej przyjaźni i prostego obowiązku.

Neli Rubinsteinowej przypadła w tym wypadku rola biblijnego koguta. W najbliższym antrakcie zapytała mnie wprost:

Dlaczego ty nie powiedziałeś nic o Szyfmanie?

Po czym ja oddaliłem się i gorzko zapłakałem /"Und weinte bitterlich..." - najpiękniejsza fraza w Pasji podług św. Mateusza Jana Sebastiana Bacha/." /7/

Uczynienie czegoś moralnie odrażającego staje się okazją do wzięcia wysokiego C w samouwielbieniu: w porządku etycznym ma owo zło parafować św. Piotr, w porządku estetycznym Jan Sebastian Bach. Na tym poziomie samousprawiedliwienie zamienia się w samouwielbienie.

Na tej drodze Iwaszkiewicz bije na głowę samego Dostojewskiego, u którego przy wszystkich pokrętnościach i odstępstwach od teologicznych standardów zawsze przecież ostateczną instancją są wartości chrześcijaństwa - gdy u Iwaszkiewicza moralne rozkiełznanie nie jest limitowane żadnym, nawet najodleglejszym porządkiem.

Godne specjalnego podkreślenia, że w tekstach Iwaszkiewicza - dokładnie odwrotnie niż u Dostojewskiego - porządek kompozycyjny rozmija się z moralnym. Kiedy bohater "Pasji błędomierskich" topi w rzece swojego małego synka, aby mu nie przeszkadzał w karierze i ewentualnym ożenku z hrabianką, nie jest to wydarzenie w porządku powieści szczególnie ważne, a już na pewno nie stanowi jej dominanty - ale jaskrawiej jeszcze moralne przesłanie Iwaszkiewicza pozwala się dostrzec w spektakularnej polemice z Camusem, jaką jest opowiadanie "Wzlot" /8/, będące formalnie odpowiedzią

Iwaszkiewicza na "Upadek", a w rzeczywistości wyrazem głębokiej niezgody na to wszystko, co francuski pisarz i filozof zawarł w "Dżumie".

Szczególnie charakterystyczne, że ten sposób rozumienia "Wzlotu", połączony z przydaniem mu wielkiej wagi odnajdujemy w sowieckiej monografii poświęconej Iwaszkiewiczowi /9/; jego nasycony wódką po granice - czy może ponad granice - możliwości organizmu bohater, donosiciel i morderca, przedstawiony zostaje jako uosobienie humanitas, wzór moralnej wrażliwości przeciwstawiony bohaterom Alberta Camusa. Jako upadek w noweli Camusa, upadek rujnujący cały świat jego bohatera, zakwalifikowane zostaje jego zaniedbanie, obojętne przejście obok zła, obok ludzkiego nieszczęścia, które być może wydarzyło się było na skutek owej obojętności. Jako moralny wzlot w opowiadaniu Iwaszkiewicza zakwalifikowany zostaje duchowy ekshibicjonizm, pijackie zwierzenia na temat dokonanych zbrodni, nie łączące się ze "szczerym żalem za grzechy i mocny postanowieniem poprawy".

Iwaszkiewicz gromadzi w swoim opowiadaniu dziesiątki szczegółów, które mają za zadanie przedstawić zło nie tylko jako immanentną, ale wręcz jako jedyną cechę świata - i oto jeśli w ten sposób świat postrzegać, każda ludzka refleksja nad nieuchronnie czynionym złem staje się patentem na moralny wzlot; skoro nie można czynić dobra, i nikt go w świecie nie czyni, szczytem możliwości etycznych staje się autorefleksja nad czynionym złem.

Dżuma Alberta Camusa powstała jako podsumowanie czasów pogardy, a zarazem jako odpowiedź na związany z nimi kryzys wartości kultury; pozostając w nurcie toczących się już od pół wieku rozważań nad fundamentalną dla kultury naszej kwestią jak TO wszystko było możliwe, nie sposób oprzeć

się refleksji, iż stworzony przez Jarosława Iwaszkiewicza współcześnie z marszem na Rzym i wydarzeniami monachijskimi Hilary daje - podobnie jak inni jego bohaterowie - pełną gwarancję, że nigdy, w żadnych okolicznościach, pod ciśnieniem żadnych wydarzeń, nie podejmie roli doktora Rieux.

4.

Świat jest dla Hilarego przedmiotem do spożycia. W najmniejszej mierze nie jest on gotów dążyć do budowania czegokolwiek, obca mu jest perspektywa pracy, morderczej może, ale twórczej, obce mu jest poczucie radości, jaką daje budowanie, uprawa - przeciwnie: powstrzeża on na świecie to tylko, co zbudowano przed nim i chce to natychmiast dostać na własność. Więcej: chce zjeść w całości, niegotów zastanawiać się, że - nawet z najbardziej utylitarnych i pragmatycznych względów - warto by było o zdobyte zadbać jakoś, pomyśleć o metodach przedłużenia jego trwania, choćby tylko mając na względzie własną przyszłą konsumpcję.

Hilary to doskonale wrażliwy barbarzyńca, doskonały we wrażliwości swojej i w swoim barbarzyństwie, przeto kiedy świat nie okazuje się gotowy oddać mu się w całości dlatego tylko, że taki wrażliwy i pragnący, z tej wrażliwości swojej postanawia brać go gwałtem i z tego aktu gwałtu rodzą się pogarda i obrzydzenie. Żeniąc się wbrew swoim uczuciom, dla kariery, pozycji i pieniędzy, Hilary dokonuje gwałtu jednocześnie na świecie i na sobie, a efektem tego aktu będzie towarzyszące mu odtąd poczucie zbrukania, tak świata, jak i jego samego.

Hilary był przekonany, że chciał kochać świat, kochać ludzi, a jeżeli się to nie udawało, to nie siebie obarczał za to odpowiedzialnością, nie będąc gotowy uznać, że świat nie został stworzony specjalnie

dla niego, ani pogodzić się z tym, że inni ludzie są nie mniej od niego autonomicznymi jednostkami, mającymi swoje perspektywy, swoje dążenia i cele. Nie pogodził się też Hilary z myślą o istnieniu jakichkolwiek obowiązków jednostki wobec zbiorowości i z tym, aby akceptowanie pewnych norm czy wartości przez zbiorowość stanowiło ich potwierdzenie czy uwiarygodnienie.

Przywołana na pierwszej stronie "Hilarego" postać balzakowskiego karierowicza pochodzi jako się rzekło z tomu "Stracone złudzenia" - bohater Iwaszkiewiczowskiej powieści autobiograficznej traci znacznie więcej, traci po prostu wszystko, i jest tego w pełni świadomy, wie, że pędzić będzie życia w poczuciu beznadziei i brudu.

Jeśli przyjrzeć się niezwykle przecieź obfitej twórczości Iwaszkiewicza, dziesiętkom jego książek pisanych przez lat bez mała 60 po ukazaniu się "Hilarego", mając tę młodzieńczą powieść w pamięci, kolejne teksty ułożą się w dosyć przejrzystym porządku.

Przede wszystkim da się zauważyć, że wspólnym mianownikiem opowiadanych przez pisarza historii jest to, że właściwie zawsze świadczą one zdecydowanie źle o swoich bohaterach, a świat przedstawiony w tych tekstach najprościej określić można jako nieudany /10/. Na historiach tych ciąży nieudacza ich autora, starającego się gromadzeniem wiadomości i opowiadaniem o cudzych porażkach i klęskach pomniejszyć czy otorbić własne, przekonać siebie samego, że inaczej być po prostu nie mogło, że jakiegokolwiek, najskromniejszej nawet miary zwycięstwo znajduje się poza sferą ludzkich możliwości.

Hilary, jak wspomnieliśmy, pragnął zemsty na świecie i ludziach za swoje upokorzenia i jest chyba tak, że zgromadzone przez Iwaszkiewicza historie o świecie i ludziach są właśnie rodzajem takiej zem-

sty, są takim świata portretem, jaki z zemsty tylko można namalować.

5.

Najbardziej lubił Iwaszkiewicz pisać o miłości i niezwykła jest jednostajność i monotonia tekstów, jakie o niej napisał. Ryszard Przybylski poświęcił całą książkę opisowi sposobu łączenia przez Iwaszkiewicza motywów miłości i śmierci, budując skomplikowany system odniesień i znajdując starożytne jeszcze antecedencje /11/. Wydaje się jednak, że do pełnego obrazu miłości i śmierci w tekstach Iwaszkiewicza brakuje analizy zgoła odmiennej, analizy odrzucającej opowiadanych przez pisarza historii zewnętrzną, którą lubił spowijać w wymyślne niejednokrotnie szaty, lokując w najróżniejszych miejscach i czasach - w Pruszkowie czy krainie Papuasów, we współczesności czy średniowieczu. Gdyby to wszystko odrzuciwszy przyjrzeć się tekstom Iwaszkiewicza okiem Proppa, badacza starej rosyjskiej szkoły formalnej, który przebadawszy ponad 10.000 ludowych bajek zdołał sporządzić ich schemat fabularny ograniczający się do trzydziestu paru prostych funkcji - otóż gdyby takich badań nad tekstami Iwaszkiewicza poświęconymi miłości dokonać, okazałoby się niewątpliwie, że miłość przedstawiana przez polskiego pisarza jest zawsze złem, że wszystkie zgromadzone przez niego historie mają dowodzić, że miłość jest w gruncie rzeczy niemożliwa.

I nie jest oczywiście tak, że pisząc te słowa mam na myśli to, iż miłosnym historiom opowiadanych przez Iwaszkiewicza brak hollywoodzkich happyendów, a ich bohaterowie to nie Kopciuszki i księżę z bajki, którzy "żyli potem długo i szczęśliwie": istotne jest co innego - oto opowiadane przez pisarza historie stawiają sobie za cel kompromitację czy zohydzenie miłości,

dowiedzenie, że nie ma jej na świecie.

Nie ma zgody, Mopanku. Mamy wprowadzić już koniec XX wieku, w ciągu którego przyszło nam dowiedzieć się o sobie wielu nieprzyjemnych rzeczy i nie możemy być tak naiwni i niewinni, jak by się nam marzyło, ale jest naszym zyskiem z tego utracenia niewinności wiedza o tym, do czego prowadzi negowanie wartości elementarnych, wiedza, której jeszcze 20 lat temu zabrakło Ryszardowi Przybylskiemu, gdy pisał on swoją monografię o miłości i śmierci w przedwojennych tekstach prozatorskich Iwaszkiewicza wzbijając się na taki poziom abstrakcji, który wprost zmusza do pomijania kwestii elementarnych.

Literatura, a szczególnie wielka literatura, pełna jest historii o miłościach tragicznie przerwanych czy niespełnionych - odbiera sobie życie Izolda, wybierają śmierć Romeo i Julia, strzela sobie w łeb Werter, topi się Ofelia, Maryla porzuca Gustawa, rzuca się pod pociąg Anna Karenina, nie układa się w życiu doktorowi Żiwago, a Marię żegnamy, kiedy odjeżdża do Oświęcimia. A przecież... Spojrzałem w tej chwili przed siebie: na ścianie, w pobliżu biurka, pocztówka z reprodukcją obrazu krajana i rówieśnika Iwaszkiewicza, a zarazem jednego z tych nielicznych, którzy zdołali ujść z życiem, choć przeznaczona im była komora gazowa - Marca Chagalla, człowieka, który na czasy pogardy i zbrodni odpowiedzieć postanowił malowaniem miłości.

Nie w tym rzecz jednak, aby szukać dla tej kwestii odniesień czy wyjaśnień związanych z epoką pieców: zanim ona nastąpiła, zanim katastrofiści zaczęli żywić swoje w tej sprawie obawy, w czasach, gdy późniejszy autor najgłębszego napisanego po polsku w naszych czasach hymnu na cześć miłości, Krzysztof Kamil Baczyński był małym chłopcem, który czytać i pisać jeszcze nie umiał - w przepięknej, romantycznej

i jakby dla miłości stworzonej jesiennej scenerii Heidelbergu zasiadł Jarosław Iwaszkiewicz do napisania "Kochanków z Werony", próby nowego opracowania historii Romea i Julii, pomyślanej w ten sposób, aby się oni wzajemnie ze złości pomordowali./12/

Trzebaż więcej? mamy ochotę zapytać za Tatiana i przyjdzie nam na to naiwne może pytanie romantycznej panny odpowiedzieć spokojnym językiem historyka literatury: "Kochankowie z Werony" to nie akt młodzieńczej przekory czy kontestacji, tak w latach dwudziestych modnej, szczeniacki wybuch awangardowości, z której się później wyrasta, ale wyraz najgłębszych przekonań Iwaszkiewicza obecnych i stale rozwijanych w całej jego twórczości.

W "Sławie i chwale", która w zamierzeniu autora miała być dziełem jego życia i która powtarza oraz sumuje wątki wcześniejszej twórczości natrafiamy na rzucone mimochodem, w jakiejś podrzędnej części zdania, zupełnie dla autora oczywiste przeświadczenie, że akt seksualny jest dla człowieka poniżający./13/

Nie widzimy powodu, aby w tym miejscu wdawać się w polemiczne analizy i cytować w przypisach listę autorów będących odmiennego zdania /tezę podobną do Iwaszkiewicza miał jakoby sformułować Immanuel Kant, ale w każdym razie nie upowszechnił jej drukiem i ceniony jest raczej za formułowanie tez dotyczących zupełnie innej tematyki/, pozwolimy sobie natomiast przypomnieć nasze rozważania nad "Hilarym synem buchaltera" i wyrazić przeświadczenie, że to wszystko, co Iwaszkiewicz pisze o miłości jest uogólnieniem doświadczenia, jakie przypadło w udziale bohaterowi tej właśnie jego młodzieńczej powieści.

Szczególnie charakterystyczne i ciekawe wydaje się dla prowadzenia rozważań na ten właśnie temat dość znane opowiadanie

"Powrót Prozerpiny" /14/, którego system antycznych odniesień, śródziemnomorska sceneria i wyzywająca data 1942 postawiona na końcu każą je odczytywać nie jako opis akcydentalnej jakiejś historii, ale raczej próbę przedstawienia porządku świata, jako przypowieść ów świat - zdaniem autora - objaśniającą.

Opowiadanie napisane jest w formie wspomnienia, autor jest jedną z jego postaci, co wzmacnia wrażenie, iż przekazuje on tu swoje poglądy na miłość. Bo jest to opowiadanie o trudnej miłości nienajmłodszego już kompozytora i ponad trzydziestoletniej mężatki, Kory /15/, matki czworga dzieci. Owa Kora co roku na dwa miesiące porzuca rodzinę, której jednak porzucić na stałe nie chce, i owe dwa miesiące spędza z ukochanym kompozytorem Dickiem. Ta historia opowiadana jest z punktu widzenia autora owego wspomnienia i jego znajomej, dwojga starzejących się "voyer'ów", zgryźliwych i nieszczęśliwych, którzy nigdy miłości nie zaznali i którym obserwowanie miłości cudzej przypomina ich nieudacze, a jedyny promyk nadziei widzą oni w perspektywie nieszczęśliwego zakończenia podglądanego cudzego szczęścia.

Oto autor czy narrator opowiadania tak mówi o miłości do swojej znajomej: "Nie, nie, - odpowiedziałem stanowczo - nic o tym nie wiem. Zresztą w ogóle nie wierzę w ową siłę." /16/ Ona zaś wtóruje mu: "Niech mi pan wierzy, szczęśliwa miłość - to dwa pojęcia wykluczające się nawzajem. Miłość nie może, nie powinna być szczęśliwa. Nawet przez dwa miesiące w roku. To jest niemożliwość!" /17/ Autor zaś z nadzieją odpowiada: "Poczekajmy, proszę pani - powiedziałem opanowując lekkie drżenie w głosie - czasami to tylko pułapka..." /18/

Ponieważ czekanie nie dało spodziewanych efektów, przeciwnie nie baczącym na "voyer'ów" dwojgu ludziom było ze sobą dobrze,

sfrustrowana protagonistka autora przedsięwzięcia ingerencję, namawia Korę do porzucenia męża i dzieci oraz połączenia się na stałe z kochankiem - i nareszcie wszystko się wali: Kora rozwiodłszy się z mężem nie wie, dlaczego wychodzi za mąż za pierwszego napotkanego zupełnie innego faceta, Dick zapija się na śmierć i para "voyer'ów" może odetchnąć z ulgą, a Jarosław Iwaszkiewicz z uśmiechem stawia kropkę pod jeszcze jednym swoim opowiadaniem ilustrującym jego ulubioną tezę, że wszystkie kobiety to kurwy.

Zatrzymujemy się przy tym opowiadaniu w dużej mierze ze względu na próbę wpisania tej banalnej skądinąd historii w mit szczególnie dla naszej kultury ważny, mit Kory i Demeter. Ta kultura kręgu Morza Śródziemnego, którą Jarosław Iwaszkiewicz tak lubił epatować czytelników, powtarzając swoje zachwyty nad sycylijskim niebem i kwitnącymi glicyniami, jest w najgłębszym swoim sensie, nie tylko przecież etymologicznym, związana z uprawą, z trudem stałego, powtarzalnego, rytmicznego budowania, z wpisaniem w rytm przyrody - to właśnie powroty Kory - tworzeniem opartym na nadziei, na wierze w sensowność ludzkiego działania i na radości, jaką daje tworzenie. I do tego ludzkiego tworzenia należy przecież miłość, będąca niezbywalnym jego elementem.

6.

Jest zjawiskiem uderzającym, choć nie opisanym, jak obca Iwaszkiewiczowi jest myśl o człowieku jako twórcy: jeśli się przyjrzeć tak losom jego bohaterów jak narratorskim komentarzom pod tym właśnie kątem, dostrzeże się bez trudu, że zawsze chodzi tu o to, aby pokazać daremność ludzkiego trudu, z satysfakcją odnotować, że znowu komuś coś się nie udało i w dodatku przedstawiając nieudaczą ową jako nieuchronny rezultat każdego ludzkiego działania.

Mit Kory i Demeter w interpretacji Iwaszkiewicza przestaje być historią o wiecznym odradzaniu się życia, wspólną w gruncie rzeczy dla wielu odmiennych zgłębia kultur, które z cyklu przyrody, z corocznego tryumfu wiosny czerpią siłę i nadzieję, tę, która pomaga przetrwać chwile trudne, chwile nadejścia zimy czy zstąpienia do Hadesu; tutaj perspektywa ludzka zostaje zastąpiona swoim własnym zaprzeczeniem: to, co wiosenne, twórcze, zwycięskie - jest zbywane lekceważeniem, traktowane jako przypadkowy dodatek, a prawdziwe znaczenie przydawane jest tylko temu, co ludzie zwykli byli postrzegać jako zło.

Zauważmy, że bohaterami tekstów Iwaszkiewicza stają się bardzo często ludzie będący z profesji artystami. Postaci te nie zostają jednak wprowadzone do utworów pisarza aby umożliwić podjęcie tematu sztuki czy miejsca artysty w świecie, ale - aby problemom tym okazać daleko idące lekceważenie. Dla dramatów Iwaszkiewicza, osnutych wokół postaci wielkich artystów, Chopina, Puszkina czy Balzaca postaci te pełnią rolę przyciągającego publiczność magnesu, nie stanowiąc odskoczni do prowadzenia rozważań o roli i miejscu sztuki; celem Iwaszkiewicza jest ich sproszaiżowanie, odarcie z miłosnej legendy, troskliwie wydobyte dramatycznymi środkami: w "Lecie w Nohant" przez dwa akty oczekujemy na pojawienie się Chopina, na to, co powie - i kiedy się wreszcie w akcie III pojawia, to w brawurowo napisanej scenie, gdzie robi awanturę, że dostał przy obiedzie nie pierś pulardy, ale udko.

W "Maskaradzie" dostajemy Puszkina w nieprześcienianym od wielu dni barłogu, w "Weselu pana Balzaca" główny bohater siedzi w szlafroku na środku sceny mocząc nogi w szafliku - wszystkie te sceny są doskonałymi konceptami komediopisarza, gwarantującymi sztukom sukces i kasę - ale

kiedy je ze sobą zestawimy, trudno nie dostrzec łączącej je przewodniej idei kompromitacji miłości z jednej, a artysty z drugiej strony.

Dziesiątki razy i w dziesiątkach tekstów Iwaszkiewicz na różne sposoby powtarza, że bycie artystą nic nie daje tak artyście samemu, jak i osobom z jego kręgu, nie mówiąc już o postronnych - płacąc tym samym za lekceważenie dla systemu wartości kultury cenę najwyższą - samobójczo pozbawiając się wszelkiej nadziei na sensowność własnego życia i własnego działania.

Jest czymś niezwykle i godnym szczególnej uwagi, że, jak już powiedzieliśmy, nie toczy się tu ze sztuką spór, ale jest ona przedmiotem lekceważenia i postępowania: mianowanie bohatera "Powrotu Prozerpiny", tekstu o ambicjach syntetyzującej przypowieści, zdolnym, twórczym i wziętym kompozytorem okazuje się nie mieć literalnie żadnego znaczenia dla tego wszystkiego, co w tekście tym opowiedziane, ale bo też ten brak znaczenia czegokolwiek jest najgłębszym przekonaniem Iwaszkiewicza, przekonaniem czasami nawet wyrażanym explicite:

"Tylko w młodości odczuwamy słowa jak ciosy. Potem już wiemy, że nie mają one żadnego znaczenia"

- powiada narrator opowiadania-wspomnienia "Cienie" /19/ i znowu jest to zdanie, jakiego nie zapisuje się bezkarnie.

To okazywane sztuce lekceważenie jest wyższą formą, koroną lekceważenia okazywanego przez Iwaszkiewicza światu całemu, światu człowieka, którego sztuka jest najwyższą sublimacją. Bardzo jaskrawy obraz tej postawy pisarza daje się odczytać z napisanych w końcu lat 30-tych "Pasji błędmierskich"; postacią dla świata tej powieści szczególnie ważną i ogniskującą różne jej wątki jest wybitny pisarz polski, laureat Nobla, hr. Zamoyiło, przedstawiony jako człowiek syntetyzujący poniekąd trady-

cyjne wartości europejskiej kultury - i jest to ta postać powieści, którą Iwaszkiewicz przedstawia jako przegrywającą na każdym polu, w każdym porządku.

Hrabia Zamoyiło to człowiek znajdujący się u szczytu sławy, a zarazem u kresu życia - w czasie trwania akcji "Pasji" kończy on i wydaje z sukcesem ostatnie, ogromne, syntetyzujące dzieło swojego życia; postać ta pomyślana jest tak, aby nie było wątpliwości, że nie leży w sferze jej możliwości stworzenie niczego już więcej, a zarazem wszystkie swoje dokonania, pow szechnie postrzegane jako osiągnięcie szczytów ludzkich możliwości sam Zamoyiło ma - z woli Iwaszkiewicza - przedstawiać sobie i czytelnikom jako puste i nic nie znaczące:

"Twórczość własna wydawała mu się zupełnie bez znaczenia, a to, czego chciał nauczyć ludzi - po prostu czymś śmiesznym"/20/

Iwaszkiewicz każde staremu pisarzowi powiedzieć wprost, że jego osobista i artystyczna klęska miała jako swoją przyczynę zainteresowanie, ciepło i uwagę dla spraw świata:

"Zanadto wszystko poświęciłem ziemi, szczegółom, drobiazgom"/21/.

Na pytanie "Gdzież jest, poeto, ocale nie?" odpowiada Iwaszkiewicz z całą mocą, że nie tylko nie ma go w ogóle, ale ostatnim miejscem, w którym można go szukać, są wartości europejskiej kultury i będąca jej sublimacją sztuka, a szczególnie już wtedy, gdyby chciała się ona z ciepłem i troską pochylać nad ludzkim światem, godnym przecież lekceważenia i pogardy./22/

7.

Stosunek Jarosława Iwaszkiewicza do kultury śródziemnomorskiej godzien jest szczegółowego opisanie: niewątpliwie czynnikiem szczególnie istotnym jest tu perspektywa jego pierwszych z tą kulturą spot-

kań, kiedy, z pogranicza kultury zupełnie
odmiennej w swoim systemie wartości przybył
do Europy Zachodniej jesienią 1918 roku.
Swojej obcości w kulturze śródziemnomor-
skiej był zresztą Iwaszkiewicz doskonale
świadomy; na parę lat przed śmiercią pisał:

Trawa Tołstoja

Chleb Dostojewskiego

Wierzby płaczące Czajkowskiego

Zarastają mnie po szyję

Nie wytnie ich szabla Wołodyjowskiego

/.../

I żebyśmy gnali konno naprzód

naprzód naprzód

wszyscy razem

w tęczy dzwonów

Kołom bołom

Azjaci /23/

Kultura śródziemnomorska postrzegana
była przez przybyłego z ukraińskich stepów
młodzieńca jako obca i wroga, oferująca
mu zajęcie miejsca syna buchaltera, na
co zupełnie nie był gotów się zgodzić,
przy czym szczególnie ciekawe, że najgłębszy
protest z jego strony budziło to, co
dla kultury tej elementarne, konstytutywne
- perspektywa pracy. Syn buchaltera odrzuca
właśnie ideę pracy, starania, uprawy jako
ludzkiego obowiązku, gotów wyłącznie do
konsumpcji, do grymaśnego spożywania tego,
co wytworzyli inni. Można ten roszczeniowy
stosunek do kultury opisać pokazując odrzu-
canie przez Hilarego perspektywy zdobywania
upragnionej pozycji twórczym trudem /n.b.
jest to powieść z czasów, kiedy, bezpośred-
nio po odzyskaniu przez Polskę niepodleg-
łości, ówczesnemu młodemu pokoleniu przy-
padła w udziale niezwykła wprost szansa
twórczej autorealizacji - do stworzenia
było całe państwo, i możliwości tak wiel-
kich sukcesów, tak zawrotnych karier nigdy
przedtem w Polsce nie było/ - postawę Iwa-
szkiewiczowskiego bohatera opisywać można

cytujac Witkacowskich "Szewców" albo późniejsze wprawdzie, ale zalecające się swoją klarownością i prostotą żądanie "dawaj czasy"!

W szczególności nie mieści się w pojęciach Milarego uznanie swojej równoprawności z innymi ludźmi; jego kompleksy wyniesione z domku buchaltera każą mu siebie samego postrzegać jako kogoś gorszego od innych, a zarazem żądza posiadania, jego nienasycony apetyt - nie pozwalają mu respektować podobnych pragnień innych ludzi. Owych apetytów swoich nie planuje on zaspokajać przy pomocy pracy, tworzenia, uczestnictwa we wspólnym trudzie, nie może być przeto mowy o szacunku dla pracy innych - perspektywa przedstawiciela kultury łupieżczej jest w naturalny sposób różna od perspektywy człowieka kultury rolniczej.

W "Pasjach błędnierskich" odebrawszy staremu nobliście wszystko, co odebrać mu można było, określiwszy jego artystyczne i życiowe dokonania jako puste, przeciwstawia mu Iwaszkiewicz młodego literata Kanickiego, arrywistę przy którym Lucjan de Rubempré wydaje się franciszkańskim nieomal charakterem, człowieka gwałcącego systematycznie już nie tylko Dziesięcioro Przykazań, od pierwszego do ostatniego /łącznie z utopieniem własnego paroletniego synka w rzece, aby nie przeszkadzał ojcu w ożenku z hrabianką czy korzystaniem z burdelu oferującego usługi dziesięcioletnich dziewczynek/, ale wszelkie możliwe normy kultury - i ten właśnie Kanicki przedstawiony zostaje przez Iwaszkiewicza jako artysta prawdziwy, a jego powstałe ze skondensowanego zła utwory - jako genialne.

Określenie to jest w powieści kwalifikacją nie narratora już, czy którejś z postaci świata przedstawionego, ale autora samego, zawartą w podpisanym inicjałami J.I. przypisie, informującym, że umieszczone w tekście powieści wiersze, których autorstwo Kanickiemu się przypisuje, są

w istocie "zaczerpnięte z genialnej książki poety amerykańskiego Edgara Lee Masters"/24/.

Na temat Kanickiego zostało w powieści nagromadzone tyle kompromitujących szczegółów, nie tylko ze sfery moralnej, ale i od strony estetycznej - a jest to człowiek pracujący w reklamie, gotów do sporządzania dowolnych okropnych kieszów, bo to jego pomysłem jest przerabianie na użytek kultury masowej i przemysłu rozrywkowo-hotelarskiego widowiska pasywnego o średniowiecznej jeszcze proveniencji - przypisanie więc takiemu człowiekowi miana geniusza i ofiarowanie jemu tylko, jako bodaj jedynemu z Iwaszkiewiczowskich bohaterów sukcesu artystycznego jest uderzeniem wymierzonym w podstawy sztuki i podstawy kultury.

W twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, jak mało którego polskiego pisarza, znaleźć można dziesiątki i setki stron jego zachwytów nad pięknosciami krajobrazów znad Morza Śródziemnego /25/ i może wręcz nie było w literaturze polskiej drugiego twórcy, który by tak jak on ukochał Sycylię, tyle razy na nią powracał, tyle czasu na niej spędził. Jeśli się jednak zachwytom owym przyjrzeć, da się bez wielkiego trudu zauważyć, że owa miłość Iwaszkiewicza zwraca się wyłącznie ku przyrodzie, starannie człowiekowi i jego działaniom przeciwstawionej, że glicyniami i cyprysami zachwyca się późny wnuk - Atylii.

8.

Nie można jednocześnie przeoczyć, iż wnuk ten, na skutek skomplikowanych dziejowych procesów pełnił w PRL przez lat bez mała 40 rolę konsula honorowego Śródziemnomorza. Związek Iwaszkiewicza z komunizmem nie jest wcale tak dziwny i nieoczekiwany, jak się to wydaje wielu jego czytelnikom czy krytykom; aby zrozumieć jego

istotę, trzeba zwrócić uwagę, że okres dwudziestolecia międzywojennego zaspokoił wprawdzie w pełni potrzeby finansowo-bytowe pisarza, nie zaspokajając jednak w najmniejszej mierze jego ambicji czy aspiracji duchowych.

W przeciwieństwie do swoich kolegów ze "Skamandra" Iwaszkiewicz nie odniósł w dwudziestolecie sukcesu czytelniczego, nie zdobył popularności ani wysokiej oceny tak w kręgach czytelników jak krytyków literackich /26/, co było jaskrawo widoczne właśnie na tle sukcesów jego kolegów, a i w swojej pracy w przedwojennym MSZ musiał się Iwaszkiewicz zadawać stanowiskami zdecydowanie podrzędnymi, pozostając i w tej konkurencji daleko w tyle np. za Janem Lechoniem.

Wojnę spędził Iwaszkiewicz w swoim podwarszawskim majątku starając się nie angażować w żaden sposób - w pełnej zgodzie z tym, co przed wojną jeszcze pisał o bezsensownej daremności ludzkiej pracy, ludzkich dążeń, ludzkiej walki. W latach późniejszych rozbudowywano - nie bez udziału samego pisarza - mit o jego zaangażowaniach w działalność kulturalnego podziemia, które w istocie miejsca nie miały - a gościna, jakiej udzielał w czasie okupacji, a szczególnie po Powstaniu Warszawskim, pisarz-milioner swoim niektórym kolegom należała do ówczesnych obowiązków ludzi bogatych, obowiązków, które podziemne społeczeństwo potrafiło w tamtych latach zdecydowanie egzekwować, o ile nie były wypełniane dobrowolnie.

9.

Historia była zawsze dla Iwaszkiewicza czymś obcym i wrogim, była tą siłą, która groziła wystawieniem rachunku, rozliczeniem absolutnym, była tą częścią kultury, która najboleśniej kazała mu odczuwać własną małość i obcość; nie czując się na siłach

sprostać jej wysokiemu porządkowi, mierzącemu ludzi większą od nich miarą, buntował się przeciw niej w swoim arraywizmie i za wszelką cenę starał dowodzić sobie i innym, że ustalany przez historię porządek jest w gruncie rzeczy nieważny i godny lekceważenia.

Widać to bardzo wyraźnie w "Czerwonych tarczach", napisanej przed wojną /1934/ powieści dziejącej się w głębokim średniowieczu, gdzie najistotniejszym przesłaniem autora jest pokazanie, że aktywność ludzka nie ma sensu nigdy i nigdzie: udzielny książę bezskutecznie organizujący swoje państwo pokazany jest, po to, abyśmy zobaczyli, że nie warto się trudzić, że ani w tym pożytku, ani przyjemności.

Uderzające, w jakim stopniu znalazło się poza pisarstwem Iwaszkiewicza doświadczenie jego pokolenia tak w historię uwikłanego, pokolenia Marka Swidy i Cezarego Baryki, z którym łączyło Iwaszkiewicza tak wiele młodzieńczych doświadczeń. Unieważnienie owych doświadczeń pokolenia staje się swoistym hobby pisarskim Iwaszkiewicza i nie ma tu znaczenia, czy myślimy o jego twórczości z okresu dwudziestolecia, opowiadaniach pisanych w czasie wojny, czy rzeczach powojennych.

Charakterystyczny jest tu przykład głównego bohatera "Panien z Wilka", Wiktora, o którego udziale w I Wojnie Światowej i wojnie 1920 roku wspomina się w opowiadaniu po to właśnie, aby z całą mocą stwierdzić, że doświadczenie to nie miało dla niego żadnego znaczenia, tak jak nie ma żadnego znaczenia i pokojowa praca w instytucji wystylizowanej dokładnie na podwarszawskie Łaski.

Kiedy Iwaszkiewicz walczy z historią, okazuje jej lekceważenie, to jest to ta sama walka, którą toczy z ludzką pracą i - szerzej - z kulturą. W tej sprawie napisana została "Sława i chwała", powieść-

rzeka obejmująca swoją akcją całą niemal pierwszą połowę XX wieku i demonstracyjnie odmawiająca znaczenia charakterystycznym dla tego tak szczególnego czasu wydarzeniom, mówiąca zarówno o nieważności toczonych wojen /a poza dwoma światowymi i bolszewicką zatracą o wojnę hiszpańską/, jak i pomijający absolutnym milczeniem budowę państwa polskiego, co przy umieszczeniu jej akcji w Polsce było sztuką nie lada.

Jak wspominaliśmy Iwaszkiewicz nie wziął w żaden sposób udziału w trudach charakterystycznych dla ludzi jego pokolenia, ale nie było to powtórzenie sytuacji Mickiewicza czy Słowackiego po Powstaniu Listopadowym, bo przez całe życie starał się uzasadniać swoją odmowę i nie demonstrował nigdy wyrzutów sumienia, a przeciwnie, lekceważenie dla obowiązków, którym sprostać nie potrafił, poszukiwał natomiast dowodów nieważności i nieskuteczności wszelkich ludzkich działań zbiorowych. Niewątpliwie przyszło mu żyć w czasach trudnych i domagających się niejednokrotnie zachowań heroicznych; istotne jest jednak nie to, że Jarosław Iwaszkiewicz sam się na takie zachowania nie zdobył, i nie z tego mu chcemy czynić zarzut - i ważniejsze i straszniejsze jest to, że aby swoją postawę zwaloryzować, potwierdzić i usprawiedliwić starał się pisarz przekonywać czytelników dziesiątków swoich utworów, że człowiek nigdy nie miewa wpływu na otaczającą rzeczywistość, że historia dzieje się ponad jego głową i to do tego stopnia, że zdołał w swoich tekstach starannie zatrzeć ślady zwycięskiej walki, jaką za jego życia stoczyła Europa z hitleryzmem.

Charakterystyczne, że w poświęconej Iwaszkiewiczowi monografii, zachłystującej się od zachwytów i mającej charakter wręcz hagiograficzny, Andrzej Gronczewski powiada, że Jarosław Iwaszkiewicz patrzy na ludzi tak jak Tadeusz Borowski /27/ - i

Jakkolwiek to przerażające, wypada mu jednak przyznać rację.

Choć akcja wielu utworów pisarza toczy się w okresie II Wojny Światowej, nie natknijemy się na ani jedną scenę, przedstawiającą sensowną walkę ze złem, scenę pozwalającą żywić jakąkolwiek nadzieję. I jeśli opisującemu Oświęcim Borowskiemu czyniono zarzuty z pominięcia tego wszystkiego, co mogłoby o człowieku świadczyć dobrze, tym bardziej trzeba je odnieść do Iwaszkiewicza, który podczas toczącej się wojny nie dostrzegał najmniejszych nawet przejawów ludzkiego heroizmu, a rozsmakowywał w opisach potworności, łącznie ze stworzeniem swoistego odpowiednika Pawlika Morozowa, chłopca z poznańskiego, który wstąpiwszy do Hitlerjugend donosił na najbliższych, aż własny dziadek musiał go wreszcie zabić /28/.

Dla kultury śródziemnomorskiej historia jest porządkiem najwyższym, dla pisarza tej kultury jest największą nagrodą, jeśli nie wszystek umrze, a imię jego będzie szeroko powtarzane, póki na Kapitol będzie wstępował kapłan z milczącą dziewicą, póki kultura ta będzie trwać. Azjata takich wartości nie zna, nawet jeśli to Azjata stosunkowo cywilizowany i wyrafinowany, nawet jeżeli kocha piękno i gotów jest za nie płacić - bo interesuje go to tylko, co może dostać i spożyć od razu.

10.

Wrogi porządkowi historii wkroczył Iwaszkiewicz w rzeczywistość powojenną z wielkimi nadziejami i zupełnie czystą hipoteką, co zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu komunistycznych rządów w Polsce było szczególnie cenne, kiedy z punktu widzenia władzy podejrzane były wszystkie ludzkie zaangażowania, wszelkie formy ludzkiej aktywności, kiedy nawet bycie najbardziej przekonanym komunistą nie było w stanie zapewnić człowiekowi choćby elementarnego bezpieczeństwa.

Estetyzujący a jednocześnie zupełnie ni-jaki Iwaszkiewicz, nie podejmujący w swojej twórczości żadnych tematów, które by mogły okazać się dla władzy niebezpieczne, które by mogły budzić jakieś spory, niepokoić "niewłaściwym ujęciem", okazał się dla komunistów niezwykle cennym nabytkiem. Jego szczególnym walorem była umiejętność tworzenia prozy epickiej, a zarazem nie opisującej świata, nie przedstawiającej go, a tym samym najdoskonalej zabezpieczonej przed możliwością przedstawiania go w sposób niezgodny z komunistyczną doktryną.

Żywiona przez Iwaszkiewicza pogarda dla ludzkich spraw i starań, poszukiwanie dowodów, że wszelkie działanie jest bez sensu, a wartości, w które ludzie wierzą - fałszywe - wszystko to powodowało, iż świat nie mógł być przez Iwaszkiewicza opisywany, bowiem opis jest rodzajem aktu pokory, uznania ważności faktów wobec opisującego zewnętrznych i suwerennych. Iwaszkiewicz był natomiast zapatrzony w siebie i na ważność niczego ani nikogo innego nie chciał się zgodzić.

11.

Jego pozornie epickie opowiadania to w istocie historie zmyślane dla ilustrowania kilku tych samych tez, zawartych już w "Hilarym", tez, mających zdyskredytować wartości, którym się Hilary sprzeniewierzył i tym samym poprawić jego samopoczucie. Fałszywe tezy Iwaszkiewicza nie dałyby się przedstawiać przy pomocy innych niż fałszywe opisy i dlatego pisarz może tylko opisy markować, posługując się zawsze wyrwanymi ze swojego kontekstu podrobionymi kawałkami czy fragmentami, w obawie, że opis prawdziwy, przedstawiający świat i ludzi obaliłby jego tezy, wskazując zło tkwiące w postępowaniu Hilarego jako sprawę wyboru, a nie immanencję ludzkiego bytu.

Czasami zniecierpliwienie światem i leżąca u najgłębszych podstaw twórczości Iwaszkiewicza odmowa jego opisywania przybierają formy karykaturalne: oto w opowiadaniu "Stracona noc" pisze Iwaszkiewicz w ten sposób: "W samochodzie coś się popsuło, szofer Konstanty, młody i rośli mężczyzna, wysiadł i pukał młotkiem w maskę" /29/. Nie oczekujemy od Iwaszkiewicza technicznego opisu zepsucia samochodu, jakiegś eposu przepychania zatłkanej dyszy paliwowej gaźnika, chociaż Homer, gdyby żył dzisiaj, sprostałby zapewne i temu zadaniu - istotne, że mamy tu do czynienia z pewną ostentacją ze strony pisarza: przecież każdy pracodawca szofera Konstantego, żeby był on nie wiem jak "młody i rośli", widząc, że ten zabiera się do naprawy samochodu waląc młotkiem w maskę, nie miałby najmniejszych wątpliwości, że Konstantego trzeba natychmiast oddalić.

I nie ma również najmniejszych wątpliwości, że oddalić należy taki opis. Opisy Iwaszkiewicza mają bowiem jako cel swój istotny, najgłębszy - nie przybliżenie, opowiedzenie czytelnikowi o czymś, pokazanie mu jakiegoś kawałka świata, ale demonstrację lekceważenia ze strony autora. Zacytujmy kilka zdań otwierających ową "Straconą noc" a zarazem poprzedzających bezpośrednio moment, kiedy rośli Konstanty przystępuje do "naprawy" samochodu:

"Wacław Kisielecki powracał do Polski samochodem z Włoch. Jeszcze miał w pamięci ostatnie etapy podróży: przejazd przez Passo San Bernardo, pomiędzy Florencją i Równiną, nie ukończoną szosą, w dzikim pejzażu apenińskich pustkowi; została mu w głowie niezapomniana oberża przerobiona z młyna, wysoko pod górą, którą postanowił uwiecznić w jednej ze swoich sensacyjnych powieści; zielone pola buraczane jej okolic, rozciągające się tam, gdzie niegdyś pływały dzielne triremy Augusta; brzoskwie-

niowe i platanowe gaiki okolic Padwy, wdzięczne łączki na brzegach Padu, koło Ferrary, przeciągające się w słońcu pola weneckie obrzeżone grzbietem Alp niby znie-ruchomiąłą falą Adriatyku. Olśniony włoski-mi blaskami nie zauważył młodych wdzięków Austrii i żyznych równin na Morawach. I nagle, wśród nadchodzącej nocy, gdzieś za Będzinem, opuściły go ostatnie ślady cywilizacji i ocknął się w zupełnej głuszy. Niebo bieleło zachmurzone i niskie, pochy-lone nad czarną ziemią. W samochodzie..."/30/ etc.

Ten zajmujący ponad pół strony opis niczego przecież nie opisuje - jest wyli-czanką składającą się z pięknie brzmiących egzotycznych nazw, nie pozostającą w żadnym związku z dalszym ciągiem opowiadania, ze zdarzeniami, które się składają na jego treść - funkcją tych paru zdań jest powia-domienie czytelnika, że w dalszym ciągu będzie do niego mówił ktoś z lepszego, hierarchicznie wyższego świata, ktoś poru-szający się swobodnie pomiędzy Florencją, Rawenną, Passo San Bernardo, Padem, Padwą, Ferrarą i Alpami, ktoś, dla kogo czymś naturalnym są nawet triremy, a za Będzinem kończą się "ostatnie ślady cywilizacji", ktoś, kto na ludzkie sprawy patrzy z tak wysoka, że może się ośmielić mówić o napra-wianiu samochodu przy pomocy uderzania go młotkiem w maskę.

Kultura śródziemnomorska - tak jak zos-taje przez Iwaszkiewicza przedstawiona - to umiejętność posługiwania się zespołem pięknie brzmiących wyrazów o znaczeniu dla czytelnika niejasnym, bo też nie o jasność tu chodzi; przecież kiedy mówimy Passo San Bernardo zamiast przełęcz św. Bernarda, to nie po to, aby mówić o owej przełęczy, ale sygnalizować naszą biegłość we włoszczyźnie, jeśli buraki rosną w miej-scu, po którym niegdyś pływały "triremy Augusta", to nie po to, aby coś czytelnik-

kowi opowiedzieć o okolicach Rawenny, ale by dać mu odczuć braki w klasycznym wykształceniu. I trudno nie zauważyć, że jest to sposób postrzegania kultury śródziemnomorskiej typowy dla tych, którzy znajdują się poza nią; kulturę jako posługiwanie się niezrozumiałymi dla normalnego człowieka wyrazami postrzega i witkacowskich szewc - i Azjata.

Ale nie jest przecież tak, że cytowane zdania nie pełnią w tekście Iwaszkiewicza istotnej funkcji; "Stracona noc" to opowiadanie o tym, że z kobiety zawsze wylezie dziwka; jeśli tezę taką formułować po prostu, bez obsłonek, można się obawiać, że będzie ona potraktowana ze wzruszeniem ramion, gdy jest czymś zgoła innym wygłoszenie jej z wysokości "Passo San Bernardo" i "triemów Augusta". Powołanie się na tradycję Śródziemnomorza ma na celu zastąpienie argumentu - autorytetem, zastąpienie opisu - wielką syntezą.

12.

Jakież to wspańskie pole do spotkania z komunistami! Jak jednolitofrontowe działanie przeciw opisowi, niosącemu z sobą niebezpieczeństwo ujawnienia przykrej, kompromitującej prawdy! Lepiej ją przecież zastąpić wielkimi słowami, szantażem autorytetów. Aby zrealizować w pełni marzenie Hilarego o zemście, o wzięciu zadośćuczynienia za kompleksy wyniesione z domku buchaltera czy szewskiej sutereny, trzeba dokonać szantażu totalnego. I nie wystarczy do tego nagan - trzeba trzymać w drugiej ręce - kwiat glicynii.

Bla pisarza przez lat 20 nie mogącego odnieść istotnego sukcesu, wiecznie przegrywającego z konkurentami w świecie, którym rządzą ludzkie miary, ot, po prostu liczy się to, czy pisarz potrafi wyrazić myśli czy uczucia, tęsknoty czy nadzieje, obawy czy radości innych ludzi - a jeżeli

zasiłuchany w siebie tylko, innymi pogardzający, nie im ofiarować nie umie, musi pozostawać na marginesie - otóż dla pisarza takiego obalenie zwykłego ludzkiego porządku, zastąpienie go systemem ukazów, wprowadzenie w miejsce hierarchii wyznaczanej przez społeczny rzecznik - rang nadawanych przez satrapów - dla takiego ambitnego, starzejącego się człowieka odebranie polskiemu społeczeństwu podmiotowości staje się życiową szansą.

Wszakże to jeszcze Hilary, ponad 20 lat wcześniej mówił: "Chcecie po prostu, abym kłamał. Mam wrażenie, że jako poeta potrafię doskonale kłamać; co gorsza: sam wierzyć we własne kłamstwa. Upozować się: dobrze, moi kochani, będę wam kadził, jak tego chcecie. Vates - wieszczowie potrafią ugiąć się przed władzą; byli zawsze czymś w rodzaju błaznów na dworach możnych tego świata. Dziś świat ma innych możnowładców"./31/ Jeżeli cena małżeństwa dla pieśniędzy wydawała się niekiedy Hilaremu wysoka i bolesna, daremnie szukać śladów jakiegось dyskomfortu Iwaszkiewicza, który by wynikał z jego decyzji oddania się na służbę komunistom.

Więcej: cytowana deklaracja Hilarego zawisła w próżni: takiego błazna nikt na służbę nie chciał przyjąć i oto dopiero z nadejściem komunistów poczęło się wypełniać jego wieszczenie: tryumf zła był zarazem tryumfem jego profety. Nigdy przedtem przypowieści Iwaszkiewicza o bezsensowności ludzkiego działania, o tym, że wszystko ostatecznie zamienia się w zło, nie miały takiego związku z rzeczywistością, jak w pierwszym, stalinowskim dziesięcioleciu PRL.

I to był jego największy życiowy tryumf. W czasie wojny, obojętny wobec wszystkiego, co uważano podówczas za obowiązek powszechny, odmawiający udziału w walce z dżumą, pisał dalej opowiadani o tym, że miłość

nie istnieje, a działanie nie ma sensu. Szczególnie charakterystyczna jest tu "Bitwa na równinie Sedgemoor" z roku 1942, której fabułę, dotyczącą dziejów Anglii w XVII stuleciu znalazł w zesłańcowskich "Dziejach Anglii" Macaulay'a: rzecz sprawdza się do pokazania, jak poświęcenie młodej dziewczyny, która podczas toczącej się wojny uważa za swój moralny obowiązek wzięcie w niej udziału na miarę swoich możliwości, owocuje ofiarą tyleż tragiczną, co daremną. Zaiste amatorski to kasek, wyjąć z dziejów Anglii opowieść zwracającą się przeciwko "sense of duty".

I rzeczywiście - te lata, kiedy Prezes Związku Literatów, Poseł na Sejm, Przewodniczący Komitetu Obronców Pokoju, Laureat Nagród Państwowych I stopnia /1952 i 1954/ i Kawaler Orderów z wyżyn tych stanowisk myśli o losie tych, którzy w przeciwieństwie do niego uważali, że ich obowiązkiem jest przeciwstawić się dżumie, a teraz siedzą we wspólnych z hitlerowcami celach Mokotowa, Wroniek czy Rawicza, albo, jak polegli poeci, jak Baczyński czy Gajcy, skazani są na zapomnienie, bo czytelnicy nie mają prawa wyboru między ich wierszami a twórczością Prezesa - słowem te lata są okresem jego największego życiowego tryumfu.

Nie było wówczas w Polsce pisarza, którego ówczesne władze mogłyby obdarzać większym zaufaniem, częściej wysyłać za granicę, wiedząc, że nie zawiedzie, że będzie zawsze reprezentował ich interesy. Ich poglądy na świat i ludzi pozostawały w doskonałej harmonii z poglądami Jarosława Iwaszkiewicza. I to ukochanie przyrody! Wszak Bolesław Bierut tak lubił, wychodząc do belwederskich ogrodów, spracowanymi przy podpisywaniu wyroków śmierci rękami głaskać niewinne sarenki - a sarenka wiadomo, rzecz horacjańska.

miało to miejsce, gdy Bierut chciał pozbawić "Mazurka Dąbrowskiego" godności hymnu narodowego.

Jarosław Iwaszkiewicz układając swój panegiryk był doskonale świadom tych faktów. Nie może tu być mowy o jakimś nieporozumieniu czy niedoinformowaniu, którym bywa tłumaczone angażowanie się w stalinizm przez ludzi bardzo młodych, owych janczarów czy hunwejbiniów systemu. Ten tekst został napisany spokojnie i chłodno przez człowieka świetnie poinformowanego, stale wyjeżdżającego zagranicę, nieobciążonego żadnymi związkami z lewicą, które mogłyby go skłaniać ku idealizacji systemu komunistycznego i jego przedstawicieli.

Kiedy więc powiada Iwaszkiewicz, że taka sama jest jego miłość do Polski i tych prostych ludzi, jak miłość Bolesława Bieruta - móż przechodzi po krzyżu. Bo może to i prawda rzeczywiście. Polska, ojczyzna pojmowana jako wielki zbiorowy obowiązek, nie obchodziła go przecież w sposób porównywalny z najradykałniejszymi komunistami. Oto fragment wspomnień pisarza dotyczących roku 1920. W lipcu, jako preceptor synów ks. Woronieckiego, wyjechał Iwaszkiewicz z nimi nad morze. "Aż pewnego wieczoru, dość późno, bo leżeliśmy już w łóżkach, para wynajętych w Pucku koni przyniosła przed naszą chatę starego księcia. Księżę zawiadomił mnie /podkr. JW/, że absolutnie niemożliwe jest, abyśmy - ja i mój najstarszy pupil, 18-letni Adam Woroniecki - mogli bawić nad morzem w momencie, kiedy cała młodzież idzie na ochotnika do wojska, i że musimy natychmiast wracać do Warszawy i zaciągnąć się pod broń. Nazajutrz opuściliśmy we dwójkę Wielką Wieś po dziesięciu dniach pobytu i znowu z trudnościami i przygodami /nocowaliśmy w Tczewie/ dojechaliśmy do Warszawy. Adama księżna umieściła w jednym z ułańskich pułków - ja jednak uważałem, że jeszcze parę dni można poczekać, i zamiast do Remebertowa,

dokąd skierowała mnie obeznana ze sprawami wojskowymi Woroniecka, wziąłem bilet do Zakopanego. Bawił tam już Miecio"/34/... Zwróćmy uwagę: o tym, że Ojczyzny trzeba bronić, musiał Jarosława Iwaszkiewicza zawiadomić jego pracodawca, a i to nie dało efektu 735/.

Więc kiedy człowiek publicznie przyznający się do takiego stosunku do Ojczyzny porównuje swoje dla niej uczucia do tych, jakie żywi agent obcego mocarstwa wyznaczony na jej pacyfikatora, masowo podpisujący wyroki śmierci na bojowników o jej niepodległość, kiedy agentowi owemu składa się z dobrej woli deklarację pomocy - to trudno takie słowa zbyć lekceważeniem czy mówić o archetypach.

Z pewnych tożsamości w zakresie stosunku do świata i ludzi, jakie między nim a Jarosławem Iwaszkiewiczem zachodziły, musiał sobie zdawać sprawę i adresat "Listu do Prezydenta", tak pisarza forytujący: łączyło ich ^{nowatorskie} nowatorszostwo, zachłanne zamiłowanie do zbytku, lekceważenie poglądów otaczającej zbiorowości, upodobanie do powoływania się na wartości, które się jednocześnie całym swoim życiem postponuje i - "last not least" - poczucie nieprawności zjemowania swojego wysokiego stanowiska. Tacy ludzie rzeczywiście powinni sobie wzajem pomagać i mogą na siebie liczyć.

Od Jarosława Iwaszkiewicza nie wymagano przeto, nawet w okresie największego nasilenia stalinizmu, uprawiania narzucanej podówczas powszechnie poetyki socrealistycznej - broń Boże! - powierzono mu natomiast znacznie delikatniejsze zadanie: estetyzacji totalitaryzmu. "W gruncie rzeczy była to sprawa smaku. Tak smaku" - a tow. Bierut najwidoczniej zdawał sobie sprawę, że "estetyka może być pomocna w życiu nie należy zaniedbywać nauki o pięknie". Wiedział, że "samogonny Mefisto w leninowskiej kurtce" nie przywiedzie mu tyłu dusz, co Mefisto z kwiatem glicynii w rękę.

Podejmując tę rolę Jarosław Iwaszkiewicz nie dokonywał nawet aktu zdrady, bo w istocie wartości kultury śródziemnomorskiej, w których podrabiane podobizny przysrajają fasadę rozkiełznanego azjatyckiego totalitaryzmu, zawsze były mu głęboko obce i nienawistne. Jakże jasno sformułował to w napisanej w roku 1936 noweli "Zygfryd"! Jej główny bohater jest młodym żonglerem cyrkowym, mistrzem żonglerki, a przy tym człowiekiem zupełnie ciemnym, ledwie umiejącym pisać i czytać. W jakimś prowincjonalnym mieście natyka się na starego, bogatego i samotnego szambelana i między tymi dwoma różnymi ludźmi nawiązuje się rodzaj przyjaźni. Stary szambelan odkrywa przed młodym cyrkowcem świat kultury, ten chłonie go z zachłannością i radością, stary człowiek też jest szczęśliwy, bo życie jego ponownie nabrało sensu, ale oto żongler podczas występu spada spod kopuły cyrku zabijając się na miejscu, a stary szambelan na ten widok umiera na atak serca. Narrator jednoznacznie formułuje pogląd, że przyczyną tragedii była kultura właśnie.

Skąd taka wielka do kultury u Iwaszkiewicza nienawiść, skąd przekonanie, iż nie ma ona nic do zaoferowania człowiekowi, że wszystko na darmo, a w związku z tym barbarzyństwo od kultury lepsze? Wydaje się, że jeszcze z buchalterowiczowskiej perspektywy przybyłego do Europy z ukraińskich stepów młodzieńca o duszy szerokiej była kultura z całym swoim systemem wartości - zagrożeniem i ograniczeniem, tym układem odniesienia, w którym Hilary czuł się mały i nieszczęśliwy, w którym nie dostrzegał dla siebie miejsca.

Kto wiecznie dążąc trudzi się

Zbawić możemy tego

i dlatego Hilary nie widzi dla siebie w tej kulturze zbawienia, bo przecież wcale nie chce się trudzić - on chce dostawać już,

zaraz, dużo. Dla niego radość jest w posiadaniu, a nie w dążeniu i chyba rzeczywiście jest tak, że człowiekowi ze stepów, w ten sposób myślącemu, kultura ta ma do zaofiarowania tyle, ile zdoła z niej zrabować.

Ale też rabunek taki może barbarzyńcę unieszczęśliwić: obcowanie z kulturą, nawet obcowanie tego rodzaju, jakim jest rabunek, gwałt, oszustwo, przypomina nieustannie o jego w niej miejscu, czy braku miejsca.

I nie ma na to sposobu. Jarosław Iwaszkiewicz toczył przez lata dramatyczną walkę z książką, którą nie raz nazwano summa naszej kultury - z "Faustem". Jej pogłosy znaleźć można rozrzucone w najrozmaitszych jego tekstach, przy czym szczególnie interesujące, że ten człowiek, mający od wczesnej młodości poczucie zaprzędania duszy diabłu, widzi jedyny swój ratunek nie w owym dążeniu i trudzie, ale, przeciwnie, w unieważnieniu, odwróceniu na opak tego, co Goethe napisał.

Kiedy więc Iwaszkiewicz "Fausta" cytuje, pozbawia go zakończenia, chce usunąć z niego tryumf dobra nad złem, chce wymazać perspektywę zbawienia, chce, od czasów swojej "Lilith" przecież, aby "Ewigweibliche" ciągnęło nas w dół. I wie, że tak być nie może. Nie znalazłszy w sobie miłości, stara się przez całe lata dowodzić, że ona w ogóle nie istnieje, postrzegając wygwieżdżone niego nad sobą, ale w sobie nie czując moralnego prawa, stara się dowodzić, że nie istnieje moralność; wiedząc, że jego długoletnia walka z ludzką nadzieją musi wypłacić mu się zapomnieniem. Jedyne dla siebie pocieszenie, uspokojenie, ową "serenité" odnajduje - stojąc już nad grobem - w nazywaniu świata nicością, bo nie chce się zgodzić, aby ktokolwiek dostał więcej od niego. Biedny stary lis wobec wiecznie zielonego winogrona literatury.

Jan Walc

1/ Wszystkie dane dotyczące biografii Iwaszkiewicza zaczerpnąłem - jeśli nie zaznaczone inaczej - z publikowanych przez niego tekstów autobiograficznych i wspomnień.

2/ W początkowym okresie twórczości są to autobiografie strictly literackie - "Zenobia. Palmura", "Hilary syn buchaltera" czy "Księżyc wschodzi". Później motywy autobiograficzne obecne są stale w różnorodnej publicystyce i felietonach pisarza /"Gniazdo łabędzi", "Książka o Sycylii", "Spotkania z Szymanowskim", "Podróże do Włoch", "Podróże do Polski" etc/, ale pojawiają się też w tekstach literackich, jak np. w "Sławie i chwale", z kolei w okresie wojny pisze Iwaszkiewicz "Książkę moich wspomnień", a pod koniec życia "Aleję Przyjaciół".

Por. interesujące - choć zupełnie niezgodne z interpretacjami zawartymi w niniejszym tekście - studium M. Czermińskiej "Bohater autobiograficzny jako sobowtór. O wczesnej prozie Jarosława Iwaszkiewicza" /w:/ O twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, red. A. Brodzka, Kraków 1982, str. 129-148.

3/ Tak oto swój przyjazd do Warszawy w roku 1918 opisuje Iwaszkiewicz w "Książce moich wspomnień": "Stałem na bruku Warszawy - wraz z tym kufrem książek - mając głębokie przekonanie, że zacznę tutaj dość łatwe życie literackie. O karierze po prawdzie nie marzyłem jak Lucien de Rubempré, ale mimo wszystko pewien byłem swojego rzemiosła i wydawało mi się, że wykonywanie jego nie nastreczy większych trudności." Por. wyd. cyt., str. 156.

R. Przybylski /"Eros i Tanatos. Proza Jarosława Iwaszkiewicza 1916-1938", Warszawa 1970, str. 68 n./ analizuje wzajemny stosunek Lucjana, Hilarego i Jarosława aby dojść do wniosku, że tylko Lucjan godzien jest potępienia, bowiem dysponował możliwością

wyboru; zdaniem badacza w balzakowskim Paryżu można było uprawiać zawód literata nie prestytując się, zaś w międzywojennej Warszawie było to niemożliwe.

4/ Czerwińska /op.cit./ wywodzi, że mamy tu do czynienia z rozdwojeniem, ego alter - i w ten sposób wszystko co autobiograficzne a zle, nie obciąża Iwaszkiewicza, a jego sobowtóra. Gdyby przy takiej interpretacji pozostać trzeba cały niniejszy szkic czytać jako poświęcony owemu sobowtórowi, odgrywającemu tak doniosłą rolę w całej twórczości pisarza.

5/ por. Jarosław Iwaszkiewicz, Książka moich wspomnień, Warszawa 1975, str. 170 i 177.

6/ Jarosław Iwaszkiewicz, "Hilary syn buchaltera", Warszawa 1975. Wszystkie cytaty wedle tego wydania. Liczby w nawiasach oznaczają numery stron.

7/ Jarosław Iwaszkiewicz, Aleja przyjaciół, Warszawa 1984, str. 113.

8/ Opowiadanie datowane 1957, drukowane w licznych zbiorach i oddzielnie jako lektura szkolna.

9/ por. H. Werwes, Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa 1979, str. 210-216.

10/ "W opowiadaniach Iwaszkiewicza wszelka działalność ludzka wywołuje skutki opłakane, okazuje się niepotrzebnie poczętą, staje się niebezpiecznym zakłóceniem naturalnego toku życia." - pisał w recenzji z "Nowel włoskich" Adam Ważyk. Por. "O działaniu daremnym", Kuźnica 1947, nr 3.

11/ por. R. Przybylski, Eros i Tanatos. Proza Jarosława Iwaszkiewicza 1916-1938, Warszawa 1970.

12/ Dramat "Kochankowie z Werony" napisał Iwaszkiewicz w roku 1928. Informacje, że pisał go w Heidelbergu zaczerpnięta jest z "Książki moich wspomnień".

13/ por. J. Iwaszkiewicz, "Sława i chwała", Warszawa 1978, t. II, str. 279.

14/ Opowiadanie z napisanego podczas okupacji tomu "Nowele włoskie", Warszawa 1947. Żaden z zamieszczonych w tym tomie tekstów nie odnosi się do realiów okupowanej Polski.

15/ Kora to greckie imię bogini, którą Rzymianie nazywali Prozerpiną.

16/ "Powrót Prozerpiny", wyd. cyt. str. 170.

17/ ibidem, str. 178.

18/ ibidem, str. 183.

19/ por. J. Iwaszkiewicz, Opowiadania, Warszawa 1980, t. V. str. 283.

20/ Jarosław Iwaszkiewicz, "Pasje błędmierskie", Warszawa 1976, str. 62.

21/ ibidem, str. 107.

22/ Maria Dąbrowska zapisała w swoim dzienniku pod datą 20.XI 1946: "Z wielkiego dzieła sztuki musi wynikać jakieś wzmocnienie i polepszenie wewnętrzne, nawet gdy dzieło jest tragiczne lub traktuje o rzeczach trywialnych i cynicznych. Po przeczytaniu Iwaszkiewicza jest się zawsze gorzszym i skłonny do rozkładu psychicznego". Por. M. Dąbrowska, Dzienniki, Warszawa 1988, t. 3, str. 44.

23/ Wiersz "Azjaci" z tomu "Mapa Pogody", 1977.

24/ por. Jarosław Iwaszkiewicz, "Pasje błędmierskie", Warszawa 1976, str. 123. N.b. bez tego przypisu nigdy bym samodzielnie nie doszedł do przekonania, iż wiersze te wykazują znamiona geniuszu.

25/ Jak Iwaszkiewicz Sycylię, tak Capri ukochał nieco od niego starszy piewca Białomorskiego Kanału - Maksym Gorki.

26/ Nie jest to moja oryginalna opinia, ale sąd samego pisarza, który podzielał. Por. Jarosław Iwaszkiewicz, Książka moich wspomnień, Warszawa 1975, passim, Aleja Przyjaciół, wyd. cyt., passim.

27/ por. Andrzej Gronczewski, Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa 1972, str. 207.

28/ por. "Młyn nad Lutynią", opowiadanie datowane styczeń 1946.

29/ Opowiadanie z tomu "Nowele włoskie", wyd. cyt., str. 205. N.b. cały ten - pisany podczas okupacji - tom opowiadań jest szczególnie jaskrawym przejawem opisywanej postawy odwrócenia się od rzeczywistego świata.

30/ ibidem, str. 205.

31/ "Hilary syn buchaltera", wyd. cyt. str. 50.

32/ Wiersz "List do Prezydenta Bieruta" z roku 1952; w tym roku obchodzono 60-lecie urodzin Bieruta, wydano nawet specjalną antologię "Wiersze o Bolesławie Bierucie", którą cytowany tekst Iwaszkiewicza otwiera.

33/ Oczywiście wiersza tego nikt z badaczy twórczości Iwaszkiewicza nie cytuje ani nie analizuje - wyjątek stanowi tekst Tomasza Burka "Mądrość daremna" /w: O twórczości Jarosława Iwaszkiewicza. Materiały z sesji IBL PAN z roku 1979, red. A. Brodzka, kraków 1983, str. 37-38 i 40/, tyle że z tego wszystkiego dowiadujemy się, że Bierut w tym wierszu to "archetypiczne przedstawienie Kogoś Wiedzącego".

34/ Jarosław Iwaszkiewicz, "Książka moich wspomnień", Warszawa 1975, str. 187.

35/ Odnotujemy wszakże, iż Iwaszkiewicz po powrocie z Zakopanego zgłosił się do wojska, ale w walkach nie zdołał już wziąć udziału.

ŚWIADECTWA

MAŁA ŚMIERĆ NA DŁONI

Kazimierz Orłoś rozmawia z Radkiem Sikorskim o Afganistanie

Radosław /Radek/ Sikorski urodził się w 1963 roku w Bydgoszczy. Maturę zdawał na wiosnę 1981 roku. W czasie wydarzeń bydgoskich był przewodniczącym Szkolnego Komitetu Strajkowego. W tym okresie współpracował z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym i biuletynem "Solidarności" bydgoskiej "Wolne związki". Po maturze wyjechał do Anglii - tu zastał go stan wojenny. W pierwszym roku pobytu pracował i uczył się doskonalić język. W roku 1982 otrzymał azyl polityczny, a w 1983 rozpoczął studia w Oxfordzie, na wydziale Nauk Politycznych i Filozoficznych /PPE/. Po ukończeniu studiów wyjechał do Pakistanu jako korespondent "Sunday Telegraph" i "Spectatora". Wziął udział w dwóch wyprawach Mudżahedinów do Afganistanu. W roku 1987 po raz trzeci był w Afganistanie - tym razem podróżował z konwojem ciężarówek do oazy Saugin i dalej z oddziałem znanego dowódcy partyzantów Ismaila Chana do Heratu przy granicy z Iranem. Pobyt trwał trzy miesiące. Przed wyprawą Radek Sikorski nauczył się perskiego, aby móc porozumiewać się z partyzantami - Tadżykami. Po powrocie do Anglii opublikował szereg artykułów i reportaży, polemizował z opiniami prosowieckich dzien-

nikarzy. Jest autorem zdjęć publikowanych w prasie zachodniej - jedno z tych zdjęć wyróżnione zostało główną nagrodą World Press Photo Fundation w kategorii zdjęć reporterskich. Napisał książkę pt. "Dust of the saints - a journey to Herat at a time of war" /"Prochy świętych - o podróży do Heratu w czas wojny"/, która niedługo ukaże się w Anglii. Korespondent zagraniczny nowojorskiego magazynu "National Review". Mieszka w Londynie.

K.O.

Kazimierz Orłóś: Kiedy i dlaczego zainteresował się pan Afganistanem? Co zwróciło pana uwagę na ten kraj i na wojnę Afgańczyków z Armią Czerwoną?

Radek Sikorski: Z początku, po inwazji w 1979 roku, wydawało mi się, jak wielu ludziom tu na Zachodzie, że ta wojna nie potrwa długo. Przywykliśmy do stereotypu "niezwyciężonej Armii Czerwonej". To znów miał być walec, który "przejedzie i wszystko wyrówna". Otóż po 2-3 latach - już w Anglii - zorientowałem się, że tym razem nie pójdzie im tak gładko, że chyba przeliczyli się. Zaimponował mi niezłomny upór Afgańczyków. Walczyli zdobyczą bronią i ciągle czytaliśmy doniesienia o walkach. Ludzie, którzy potrafili tak bronić kraju zasługiwali na najwyższy szacunek. Oni pierwsi od końca drugiej wojny światowej potrafili skutecznie bić się z "niezwyciężoną armią".

K.O.: Kiedy pojechał pan po raz pierwszy do Pakistanu? Jaki przebieg miała pierwsza wyprawa do Afganistanu?

R.S.: W lecie 1986 roku. Pojechaliśmy we dwóch, z kolegą Anglikiem. W Londynie jest organizacja popierająca walkę Afgańczyków Afganistan Support Committee - przez nich nawiązaliśmy pierwsze kontakty w Pakistanie. W Peszawarze spotkaliśmy kamerzystę brytyjskiego polskiego pochodzenia,

Andrzeja Skrzypkowiaka, który rok później zginął w Afganistanie. On nam bardzo pomógł - dzięki niemu nawiązaliśmy nowe kontakty, dotarliśmy do partyzantów. Przyjęli nas jako godnych zaufania przyjaciół i po rozmowach w Peszawarze, zgodzili na nasz udział w wyprawie do Afganistanu. Przez granicę pakistańsko-afgańską przeszliśmy w lipcu 1986 roku. Partyzanci wzięli nas na krótką, ale bardzo trudną wyprawę - prawdopodobnie poddano nas próbie. Afganistan jest krajem wielkich gór, przy których Tatry wydają się małe, toczą się walki, występują ogromne różnice temperatur, odczuwa się brak wody i jedzenia, trafiają się pola minowe - wszystko to musieliśmy brać pod uwagę. Sami chcieliśmy poznać siebie. Oddział, z którym poszliśmy, szedł w kierunku Kabulu, do Jekolalek - mieli zaatakować posterunek na drodze Kabul - Dżalalabad, dokładnie w tym samym miejscu, w którym Afganowie zaatakowali i zniszczyli brytyjski korpus ekspedycyjny w 1842 roku. Po 26 godzinach marszu, w górach, na wysokości 3,5 do 4 tys. metrów, dotarliśmy do głębokiego kanionu, na dnie którego płynęła rzeka Kabul i wiała się droga. Niezwykle miejsce. Pionowe ściany - ok. 1000 metrów w dół - na dnie było ciemno. Trochę wyżej, na półkach skalnych, posterunki sowieckie. My byliśmy nad nimi. Atak miał nastąpić dokładnie na pół godziny przed zapadnięciem zmierzchu, aby później, pod osłoną nocy, wycofać się. Ten plan nie został dokładnie wykonany - niespodziewanie nadleciały helikoptery sowieckie. To było jeszcze przed dostawami stingerów - byliśmy bezbronni: one mogły zmieść nas z półek skalnych. Na szczęście nie zostaliśmy zauważeni - po zatoczeniu koła helikoptery odleciały, ale chyba przyspieszyło to atak. Wpłynęło także na pewną nerwowość i chaotyczność działania. Ku memu zdumieniu helikoptery nie wróciły - a więc brak dobrej łączności, to był prosty wniosek. Partyzanci strzelali

z bezodrzutowych haubic produkcji chińskiej /jak "bazooki"/ i rakietnic egipskich, przypominających pancerfausty. Z dołu strzelano do nas z moździerzy, starając się o to, aby pociski wybuchały nad nami. Ale rozrzut odłamków był poziomy - tłukły o skały. Strzelanina trwała około godziny. Po naszej stronie nie było strat. Tam zginęło kilku żołnierzy radzieckich z konwoju, który jechał drogą. Zapaliły się dwa transportery opancerzone i dwie ciężarówki. Partyzanci trafili także w posterunek - widać było wybuchy na bunkrach. Potem wycofaliśmy się. Znów było pięć godzin marszu - pamiętam, że bardzo chciało mi się pić, ale wody nie było. To charakterystyczne pragnienie zawsze towarzyszyło mi później po walce i przeżytym strachu. Po drodze partyzanci zabili kozła - po raz pierwszy mieliśmy dużo jedzenia. Baza w Jekolalek położona była w górach. To były chatki, tunele drążone w skałach i pieczary. Spało się na hamakach i siennikach na zewnątrz. Rano zaczęły się naloty helikopterów i samolotów. Trzeby było chować się w tunelach.

K.O.: Jakie było uzbrojenie Rosjan, a jakie partyzantów?

R.S.: Trudno sobie wyobrazić sowieckie helikoptery MI-24 w akcji - to są całe fortece latające. Każdy helikopter ma 120 rakiet, działko szybkostrzelne, karabiny maszynowe i bomby. Idealna maszyna do zabijania. Pancerz jest tak gruby, że zestrzelenie - przed dostawami stingerów - było bardzo trudne. Ale obok tych supernowoczesnych maszyn widziałem czołgi T-34 z 44 roku. Partyzanci mieli zdobyczne pepesze z czasów drugiej wojny. W taką broń, ze starych magazynów, Rosjanie uzbroili oddziały komunistycznej armii rządowej. Podobnie miny: małe kostki plastikowe, trudne do zauważenia i wielkie miny w pudłach drewnianych z kolcami i drutem, o który trzeba było potknąć się, aby spowodować wybuch.

K.O.: Słyszałem opinię, że bez pomocy Zachodu, bez dostaw broni amerykańskiej, partyzanci nie wytrzymają kilku miesięcy. R.S.: To nonsens. Typowa opinia zachodnich lewicujących dziennikarzy, którzy Afgańców uważają za islamską "dzicz", a Rosjan - mimo wszystko - za przedstawicieli narodu o wyższej kulturze i cywilizacji. Dlatego przewaga komunistów musiała być oczywista i bezdyskusyjna. W pierwszym okresie wojny oni rzeczywiście mieli ogromną przewagę - czołgi, rakiety, lotnictwo - nowoczesna armia walczyła z ludźmi uzbrojonymi w koktajle Mołotowa i flinty. I co z tego?

K.O.: Jacy są Afgańczycy? Co może pan powiedzieć o Mudżahedinach?

R.S.: Bardzo odważni, serdeczni dla przyjaciół, gościnni. Trzeba jednak dostrzegać różnice. W czasie pierwszej wyprawy byliśmy wśród Pusztunów. Podczas trzeciej - spotkałem Tadżyków. Są inni - opanowani, spokojni. Pusztuni mają błysk w oku. Są impulsywni.

K.O.: Jak wyglądał powrót do Pakistanu?

R.S.: Na granicy jest 9 posterunków. Formalnie każde przejście przez granicę jest nielegalne, ale Pakistańczycy przymykają oko. My musieliśmy przebrać się za Afganów - nałożyć afgańskie stroje. Trzeba było ciągle chować się - wtedy dziennikarzy w ogóle nie wpuszczano do Afganistanu.

K.O.: Przejdźmy do drugiej wyprawy. Kiedy nastąpiła?

R.S.: Po krótkim pobycie w Peszawarze, w sierpniu 86 roku. Była znacznie dłuższa - trwała miesiąc. Poszedłem z innym oddziałem partyzantów do prowincji Nangrahar na południe od Dżalalabadu. Dowódca bazy, do której trafiłem, nazywał się Hadżi Kadir. To był bardzo dobry dowódca. Stanowiska partyzantów były położone w górach, na wysokości 3 tys. metrów. Dolinę zajmowały wojska sowieckie i rządowe. Widzieliśmy ich - oni nas. Wzajemne ostrzeliwanie się

trwało całymi dniami. Brałem także udział w oblężeniu posterunku wojsk rządowych, położonego w tej dolinie. Oblężenie trwało tydzień. Bardzo trudna, ostra walka. Rosjanie skierowali na odsiecz kolumnę czołgów i wtedy, dzięki naszym Rosjanom, udało się tę kolumnę zatrzymać.

K.O.: Jakim "naszym" Rosjanom?

R.S.: W obozie Hadżi Kadira poznałem trzech Rosjan, którzy uciekli z Armii Czerwonej. Walczyli po stronie partyzantów. Zdobyli sobie pełne zaufanie, ponieważ przeszli na islam. W walce byli nieocenieni. Np. posługując się radiostacją podsłuchiwali rozmowy pilotów sowieckich z lotniskiem - wiedzieli kiedy i gdzie lecą. Ostrzegali partyzantów. To oni zmontowali wyrzutnię chińską BM-12 i nauczyli partyzantów jak jej używać. Dzięki małej "katiuszce" - sześciolufowej, o przekroju luf 105 mm i zasięgu 6 km - udało się powstrzymać kolumnę czołgów.

K.O.: Jakie były motywy ich przejścia na stronę partyzantów?

R.S.: Każdy zrobił to z innego powodu. Władim, moskwiczanie, chciał wydostać się ze Związku Sowieckiego za wszelką cenę. Miał krewnych w Bostonie, chciał do nich jechać. Jeszcze w Moskwie celowo spowodował sprzeczkę z oficerem, który powiedział mu: "za to pojedziesz do Afganistanu". I rzeczywiście Władim znalazł się w Afganistanie. Już po tygodniu uciekł do partyzantów. Siergiej z Permu na Uralu - prosty chłopak, kierowca, był w oddziale, w którym szczególnie okrutni wobec młodych żołnierzy byli starsi, z dłuższym stażem, tzw. "stariki". Opowiadał przerażające historie o znęcaniu się, gwałtach homoseksualnych, zabijaniu z byle powodu, itd. Kiedy ukradziono części z jego ciężarówki - uciekł, ponieważ "starik", dowódca drużyny, zagroził, że go zabije, jeśli nie ukradnie takich samych części z innej ciężarówki.

Władysław z Wołgogradu pomagał Mudżahedinom wcześniej - kiedy służył w Armii Czerwonej. Przyłapano go na wynoszeniu broni i wsadzono do więzienia. KGB chciało koniecznie dowiedzieć się, komu dawał broń. Był torturowany. Mówił, że do celi wlewano wodę z chlorem. Sięgała do kostek. Przez miesiąc siedział w tej celi. Dostał zapalenia oczu, gardła i nosa. Zapamiętałem nazwisko człowieka, który go przesłuchiwał: major Makarow. Władysław powiedział, że wskaże ludzi, którym dawał broń w wiosce niedaleko bazy, ale tylko w nocy, ponieważ oni przychodzą nocą. Zdołał przekonać majora Makarowa. Poszli. I wtedy, korzystając z okazji uciekł. Mówił, że KGB-iści, którzy szli z nim i majorem Makarowem, strzelali w górę, nad jego głową. Nie chcieli zabić. Wszyscy trzej mieli ogromne szczęście. Bazy sowieckie w Afganistanie są opasane polami minowymi nie tylko w obawie przed partyzantami, ale także po to, aby uniemożliwić ucieczki żołnierzom. Poza tym Afgańczycy potrafią już dziś rozróżniać dobrych Rosjan od złych. Wielu Mudżahedinów mówiło mi o tym. Widzą ludzi, a nie tylko wrogów - komunistów. Na początku wojny wszystkich zabijali.

K.O.: A Rosjanie - żołnierze Czerwonej Armii - czy wiedzą jaka to wojna?

R.S.: Ci trzej nie mieli złudzeń. Władysław mówił mi, że nie mógł znieść świadomości, że współuczestniczy w okrucieństwach wyrządzanych Afgańczykom. Od partyzantów słyszałem o wypadkach podrzucania broni, wyrzucania pełnych magazynków, itd. O różnych ludzkich reakcjach na nieludzką wojnę.

K.O.: Wspominał pan, że trzej Rosjanie z bazy Hadżi Kadira przeszli na islam. Czy przypadkiem nie zmuszono ich do tego?

R.S.: Nie. Władysław, który był jakby przywódcą Rosjan, zaproponował "chłopaki, przechodzimy na islam". Mówił mi, że przekonał kolegów. Rozumiał, że tylko dzięki temu zdobędą pełne zaufanie partyzantów,

ale nie traktowali tego serio. Zresztą Afgańczycy nie są fanatykami religijnymi.

K.O.: Przejdźmy do trzeciej wyprawy. Rok 1987. Podróż do Heratu.

R.S.: Tak. Herat interesował mnie, jako jedno ze świętych miast islamskich. Są tam bezcenne zabytki kultury islamskiej - meczety, grobowce. Wiedziałem, że od początku wojny dotarło tam tylko dwóch lub trzech dziennikarzy, ponieważ trzeba było przejść przez cały Afganistan od granicy z Pakistanem aż po granicę perską. 600 mil przez góry i pustynię. Bardzo trudna i daleka wyprawa. Poza tym wiedziałem, że Herat jest systematycznie niszczone podczas walk, że bez przerwy trwają naloty na okoliczne wsie, w mieście niszczone są bezcenne zabytki. Udało mi się zabrać z konwojem, który wioził broń, m.in. stinger-y. Herat i cały rejon na południu Afganistanu, jest w rękach tej samej partii Dżamiat, której oddział zabrał mnie na wyprawę do Jekolalek w 1986 roku. Oni znali moje reportaże, dlatego byłem bardzo życzliwie przyjęty przez Mudżahedinów. Konwój wyruszył w czerwcu 1987 roku. Podczas sześciotygodniowej drogi do Heratu przeżyłem ciężkie chwile. Pamiętam np. atak helikopterów sowieckich na bezludną wioskę, w której zatrzymaliśmy się przy źródelku. O świcie, nagle, zaatakowały nas 4 helikoptery. Leciały bardzo nisko, na wysokości 50 m - nie ma wtedy żadnej możliwości ucieczki ani obrony. Osiem lub dziewięć razy atakowały nas zataczając koła, a my, wtuleni w kąty chaty, mieliśmy nadzieję, że przeżyjemy. Trudno opisać, co się w takich momentach czuje - człowiek chciałby zniknąć. Do dziś pamiętam dygot nóg, to jak helikoptery ciągle nadlatywały, strzelając z rakiet tak gęsto i szybko, jak z karabinów maszynowych. Ale każda rakietka może zniszczyć ciężarówkę. Czułem na plecach drżenie ścian lepianki, huk wybuchających pocisków i ryk

silników. Jedna z rakiet uderzyła w nasz domek - na szczęście 20 cm za ścianą wewnętrzną, wybuchła w sąsiednim pokoju i tylko ta ściana działowa uratowała nas. Cały impet, podmuch, odłamki, wzięła na siebie. Zawaliła się, ale myśmy ocalili. Uciekliśmy spod łopaty.

(Oglądamy odłamek wyjęty ze ściany pokoju, w którym wybuchła rakietą. Jest płaski, o poszarpanych brzegach, srebrzysty. Mała śmierć leży na mojej dłoni.)

K.O.: Co było, kiedy helikoptery odleciały?

R.S.: Partyzanci zapytali: czy teraz chcesz Kałasznikowa? Po tym nalocie zacząłem nosić broń. Straciliśmy dwie ciężarówki. To paradoksalne: na ciężarówkach wieźliśmy stingery.

K.O.: Dlaczego Mudżahedini dali się zaskoczyć? Dlaczego nie użyli rakiet?

R.S.: Mułła, który dowodził tym oddziałem był wyjątkowo nieudolnym dowódcą. Czekaliśmy na odpowiedni moment dla przejścia przez drogę pilnowaną przez oddziały rządowe, ale chyba zbyt długo. Był wśród Mudżahedinów człowiek, który potrafił złożyć i użyć stingera. Niestety, nie wykorzystano go. Tak jak w każdej wojnie - jedni ludzie sprawdzają się, inni zawodzą. Po miesiącu dotarliśmy do Sargeh w górach - u podnóża Hindukuszu - do oddziałów Ismaila Chana. To wspaniały dowódca i wspaniały człowiek. Z jego oddziałem na koniach pojechałem dalej w stronę Heratu. Ten oddział był doskonale zorganizowany i uzbrojony. Mieli w pogotowiu stale dwa stingery i posługiwali się radiostacją. Jechali na koniach szybko zmieniając miejsca. Docierali tam, gdzie pojazdy sowieckie nigdy nie mogłyby dojechać. Byli nieuchwytni. Tu, na Zachodzie, Mudżahedinów uważa się często za prymitywnych fanatyków - lekkomyślnych i źle uzbrojonych. Powtarza się podobny, nieprawdziwy stereotyp, jak o Polakach: "z

szablami na czołgi". W rzeczywistości, z militarnego punktu widzenia, taktyka tego oddziału była doskonała. To wtedy poznałem Tadżyków. Ismail Chan był Tadżykiem - bardzo spokojny, bardzo zrównoważony, mądry człowiek. Obok Masuda z doliny Panszir, Ismail Chan jest drugim, tak samo znanym, cieszącym się ogromnym autorytetem, przywódcą Mudżahedinów. Przez trzy tygodnie mogłem go obserwować z bliska, widziałem jak pracuje i dowodzi. On nie tylko jest wojownikiem, ale i cywilnym przywódcą. Cały południowy i zachodni Afganistan jest kontrolowany przez jego oddziały. Na postojach, tam gdzie kwaterowaliśmy, codziennie przychodzili ludzie z różnych wiosek, często z bardzo odległych. Zgłaszali się do oddziałów, mówili gdzie są posterunki sowieckie, prosili o radę, o rozstrzygnięcie sporu. Słyszałem jak Ismail Chan powtarzał: "Budujcie szkoły. Ja dam pieniądze i nauczycieli". To był stały motyw - on myślał o następnych pokoleniach, które będą prowadzić walkę. Chciał mieć ludzi wykształconych. Spodziewał się dwudziestoletniej wojny.

K.O.: Może pamięta pan jakieś szczególne wydarzenie?

R.S.: Dowódca garnizonu w Heracie, sowiecki generał Andriuszkin, napisał do Ismaila Chana list. Ten list dotarł przez posłańca - takie wypadki zdarzały się, czasem. W liście generał napisał mniej więcej tak: "Po cóż ty, Ismail, walczysz z nami? Ot, był taki bandyta Ibrachim Bej, Uzbek. W latach dwudziestych też wojował ze Związkiem Radzieckim, ale pobiliśmy go i umarł w zapomnieniu. Tak samo ty zginiesz i zapomną o tobie". "Nie chciałem odpisywać Andriuszkinowi - mówił do mnie Ismail Chan - ale posłańcowi powiedziałem: twój Andriuszkin jest kłamcą. Powtórz mu to i powiedz, że Ibrachim Bej walczył z wami 70 lat temu, a jeszcze go pamiętacie. Ja chcę, żebyście mnie zapamiętali na 200 lat."

K.O.: Jak teraz żyją Afgańczycy? Czy można mówić o społeczeństwie afgańskim? Jak funkcjonuje autentyczny system rządzenia krajem - ten, który ludność akceptuje?

R.S.: Jeszcze raz powtórzę: wielu polityków i lewicowych dziennikarzy na Zachodzie przejęło od komunistów pogląd, że jest to społeczeństwo typu feudalnego, prymitywna "dzicz" itp. Sądzą oni, że z drugiej strony Armia Radziecka reprezentuje "siły postępowe", które chcą ten prymitywny naród ucywilizować - niosą postęp, budują szkoły, drogi, itd. Cała ta frazeologia ma źródła w marksizmie i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Przez wiele tygodni w czasie drogi do Heratu i później, podczas powrotu, obserwowałem życie Afgańczyków z bliska, widziałem jak Ismail Chan przyjeżdżał do różnych wiosek, jak zbierała się rada wioski, decyzje zapadały po wysłuchaniu wielu opinii. On nie wydawał rozkazów, on miał autorytet i potrafił przekonać ludzi. Było to w najwyższym stopniu demokratyczne. Owszem, wezwania do oporu i walki mają podłoże religijne - przywódcy i mułlowie powołują się na Koran i na tradycje muzułmańskie, ale jednocześnie głoszone są hasła modernizacji kraju. 90% ludności to analfabeci - tych ludzi trzeba przekonać, a nie zmuszać. Otóż druga strona, komuniści, posługują się terrorem. Tak wygląda w praktyce walka ideologii.

K.O.: Kiedy doszliście do Heratu? Jakie wrażenie wywarło na panu miast i okolice?

R.S.: W pierwszych dniach sierpnia stanęliśmy pod murami tego starożytnego miasta. Na wschód od Heratu rozciągała się dolina jeszcze zamieszkała i tam codziennie ginęli ludzie od sowieckich bomb. Ale na Zachód, w promieniu stu mil kwadratów, nie było już nikogo. Kilkadziesiąt wiosek zniszczono, pola i sady spalono napalmem, ludzie uciekli do Iranu. Ziemia, dawniej żyzna, przypominała pustynię, po-

nieważ zniszczono także starożytne systemy nawadniania pól. Po tej stronie zamieszka-
liśmy w ziemiankach i zburzonych chatach.
Rosjanie bombardowali nas codziennie, ale
z niewielkim skutkiem.

K.O.: Czy był pan świadkiem bombardowa-
nia ludności cywilnej?

R.S.: Tak. Jestem przekonany, że Rosja-
nie robili to z premedytacją. Właśnie po
tamtej wschodniej stronie Heratu, bombar-
dowano codziennie zamieszkałe wioski. Ci
ludzie nie mogli uciec, ponieważ odcięci
byli od granicy drogą kontrolowaną przez
Rosjan. 11 sierpnia 87 roku byłem świadkiem
bombardowania wioski Kuszki-Serwan. Zginę-
ło 70 osób: 4 mężczyzn, reszta same kobiety
i dzieci. To tam zrobiłem zdjęcie, które
później było publikowane w prasie zachod-
niej.

(Oglądamy biało-czarną fotografię, na
której kobieta z dwojgiem dzieci zasty-
gli w bezruchu na dnie piwniczki pod
afgańską chatą. Tam schronili się przed
bombardowaniem i tam zasypani zostali
ziemią i gruzem. Po kilku godzinach
odkopano ich nieżywych. Patrząc na gest
wyciągniętej ręki martwej kobiety -
może usiłowała objąć dzieci? Na pochylo-
ne głowy chłopców)

K.O.: Napisał pan książkę pt. "Dust of
the saints" - co można by przetłumaczyć
"Prochy świętych". Co może pan powiedzieć
o Heracie? Dlaczego "Prochy świętych"?

R.S.: Tak nazywają miasto jego mieszkań-
cy. Tam są setki świętych miejsc: meczetów,
grobowców. Pył z tych miejsc unosił się
w powietrzu - dlatego "święte" było całe
miasto. Widziałem zburzone meczety, inne na
w pół zburzone - stare mozaiki na popęka-
nych ścianach. w samym Heracie był wtedy
garnizon wojsk rządowych i Rosjanie. Walki
toczyły się na przedmieściach, wśród zbu-
rzonych domów - podobnie jak w powstańczej
Warszawie. Często ziemia i gruzy przecho-

dziły z rąk do rąk. Byłem świadkiem tych walk, później zdecydowałem się na powrót. Wracałem sam.

K.O.: W ubiegłym roku miał pan 24 lata. Wyobrażam sobie, że samotną podróż do granicy pakistańskiej, przez cały Afganistan, można by przyrównać do próby samobójstwa. Nie mógł pan poczekać na któryś z oddziałów? Czy dostał pan broń?

R.S.: Nie mogłem czekać bez końca. Trudno powiedzieć, kiedy zapadnie decyzja powrotu lub zmiany rejonu walk. Miałem zdjęcia i reportaże - chciałem wracać do Europy. Broni nie miałem. Dostałem coś w rodzaju glejtu - listu polecającego od Ismaila Chana. Wprawdzie mieszkańcy wiosek, przez które miałem iść, byli na ogół analfabetami, ale to imię budziło szacunek. Poza tym trzymałem się trasy, którą jechałem z konwojem, a potem z powrotem z oddziałem Ismaila. W wielu wioskach pamiętano mnie. Mimo to przed wejściem do każdej przeżywałem lęk: poznają - nie poznają? Najczęściej prosiłem o żywność i pożyczanie osła, aby przenieść do następnej wioski mój sprzęt fotograficzny i torbę. W tamtej, następnej wiosce, pożyczalem nowego osła i tak posuwałem się naprzód. Przyjmowano mnie na ogół gościnnie, często serdecznie, a przecież za wydanie mnie w ręce sowieckie każdy z tych biedaków dostałby fortunę. Czasem tylko kłótnia o to, kto ma pożyczyć osła, trwała dłużej niż przejazd z wioski do wioski. Po dwóch tygodniach dotarłem do Sanginu u podnóża gór i stamtąd, znów z konwojem ciężarówek, do Pakistanu. Z ciężarówkami podróżowałem dłużej niż piechotą.

K.O.: Powiedział pan, że za wydanie w ręce sowieckiego każdy z tych wieśniaków dostałby za pana fortunę. Jak wygląda sprawa kolaboracji? Mimo wszystko tysiące Afgańczyków walczy w oddziałach rządowych.

R.S.: Afgańczycy są niezwykle solidarni. 1/3 ludności "głosowała nogami" - to są uchodźcy. Ci co zostali żyją w takich miastach jak Kabul, gdzie po prostu trwa okupacja, są obce wojska. Inni Afgańczycy walczą. Wiele razy słyszałem jak wygląda pobór do wojska rządowego: w zapadłej wiosce ładuje pięć helikopterów, wywlekają wszystkich mężczyzn z domów i zabierają. Spotkałem ludzi, którzy po pięć razy uciekali z armii rządowej do partyzantów. Oczywiście są komuniści afgańscy związani z reżimem, są szpiegzy i donosiciele - w każdej społeczności znajdują się tacy, ale bałbym się porównać np. między społeczeństwem afgańskim a polskim.

K.O.: Jaki jest pejzaż? Jakie kolory?

R.S.: Pustynia i wielkie góry. Kraj kontrastów: bardzo gorąco w dzień i zimno w nocy. Nie pamiętam deszczu. Pierwsza muzułmańska modlitwa jest przed świtem - dlatego w Afganistanie wstaje się bardzo wcześnie. Wiele razy oglądałem o świcie różowe światło jutrzeńki. Pustynie mają kolor żółtawo bruntatny. Góry bywają czerwone - pewno tam, gdzie dużo miedzi w skałach. Czasem wydają się niebieskie. Pamiętam ogromny maszyn Hindukuszu, który sięga Himalajów. Niebo w czasie upałów jest blade.

K.O.: Czy podziela pan optymizm tych, którzy sądzą, że wojna w Afganistanie zakończy się niedługo zwycięstwem Mudżahedinów?

R.S.: Jestem optymistą. Oczywiście wojna może jeszcze potrwać rok, dwa, nawet trzy lata, ale uważam, że z czysto wojskowego punktu widzenia Rosjanie stoją na straconej pozycji. Pomijam koszty tej wojny trwającej 9 lat, pomijam polityczne przyczyny ich klęski - powszechny opór, świadomość Afgańczyków, że komuniści są śmiertelnym wrogiem w dosłownym znaczeniu tych słów. Ale przecież już obecnie partyzanci kontrolują około 90% powierzchni kraju. W rękach

komunistycznych jest Kabul i kilka dużych miast. Takie jak Dżalalabad i Kandahar są od miesięcy obleżone. Rosjanie musieliby potroić wydatki na wojnę i rzucić 300-tyśięczny korpus - czy to możliwe? Będą zapewne uporczywie bronić Kabulu i strefy buforowej na północy, przy granicy afgańsko-sowieckiej. Już teraz budują tam umocnienia. Ale Kabul jest połączony z granicą tylko jedną drogą i długim tunelem pod masywem górskim. Jeśli partyzanci tę drogę skutecznie przetną - powstaną ogromne trudności z utrzymaniem miasta.

K.O.: Był pan w Afganistanie trzykrotnie. Zobaczył pan spustoszony kraj, martwe wioski i miasta, trupy dzieci i kobiet, widział pan obozy uchodźców w Pakistanie i myślę, że doskonale rozumie pan, jakie znaczenie dla przyszłości świata ma ta wojna. I jakim kosztem Afgańczycy ją prowadzą. Istotnie oni pierwsi, od końca II wojny światowej, potrafili skutecznie powstrzymać pochód komunizmu. Dla nas, dla mieszkańców wschodniej Europy, ma to szczególne znaczenie - uzasadnia nadzieję, że w przyszłości Rosjanie 10 razy zastanowią się nim zdecydując na kolejną interwencję. Ale jednocześnie tu, na Zachodzie, nie dostrzega się jakby wagi problemu. Odnoszę wrażenie, że Zachód nie poczuwa się do solidarności z Afgańczykami. Przeciwnie - banki zachodnie zaczęły ostatnio udzielać dużych kredytów Związkowi Radzieckiemu, co może pośrednio tylko przedłużyć tę wojnę. Jeśli porównamy zainteresowanie i potępienie z jakim spotkała się wojna wietnamska z potępieniem i zainteresowaniem wojną w Afganistanie - zorientujemy się, że jest to stosunek zapewne jak 1:100. A przecież z żadnego kraju w XX wieku nie uciekło 5 milionów ludzi. Ponad milion Afgańczyków zostało zabitych. Broń jakiej Rosjanie używali jest groźniejsza i skuteczniejsza od tej, jakiej używali Niemcy podczas drugiej wojny. Niedawno Związek Radziecki ogłosił, że

powstrzymuje wycofywanie korpusu ekspedycyjnego. Czy wszystkie te fakty nie są w stanie poruszyć Zachodu?

R.S.: W czasie wojny wietnamskiej, o ile pamiętam liczby, w Sajgonie można było spotkać ok. 2000 korespondentów zachodnich. Amerykanie wozili ich helikopterami, pokazując wszystko, co można było obejrzeć. Do roku 87 Rosjanie w ogóle nie wpuszczali do Afganistanu korespondentów poza kilkoma o wyraźnych prosowieckich poglądach. Dotarcie na teren Afganistanu z partyzantami połączone jest z trudnościami, o których mówiłem. To wszystko na pewno ograniczało dopływ informacji. Ale jednocześnie część dziennikarzy zachodnich, a także intelektualistów o poglądach lewicowych, traktuje Afganistan jako wojnę prawicowych elementów popieranych przez Amerykanów z "postępowymi" siłami rządowymi i "postępowym" Związkiem Radzieckim. Mówiliśmy już o tym. Osiągnięto szczyty hipokryzji. Kiedy w latach siedemdziesiątych oburzano się i pisano o nalotach amerykańskich na wioski wietnamskie - dziś o nalotach sowieckich nie pisze się wcale lub mówi, że mimo wszystko są konieczne, aby kiedyś Afganistan stał się cywilizowanym krajem. Myślę, że korzenie takich poglądów i opinii sięgają jeszcze wojny domowej w Hiszpanii. W umysłach lewicującej inteligencji Zachodu zostało zakodowane, że zawsze racja będzie po stronie komunizmu i zawsze komunizm będzie synonimem postępu. Tymczasem było i jest odwrotnie; dziś komunizm reprezentuje archaiczną dziewiętnastowieczną doktrynę, zniewala narody, rujnuje gospodarkę, itd. Tych historycznych faktów zmienić się nie da. Być może lewicująca inteligencja Zachodu zrozumiała to, ale trudno jej się pogodzić z faktami. Afganistan jest jednym z tych faktów, dlatego ta wojna nie poruszyła wyobraźni i nie obudziła entuzjazmu zachodnich intelektualistów. Wydaje mi się, że

uznali ją za nudną. Afgańczycy walczą tylko o to, aby być gospodarzami we własnym kraju. Oczywiście ci, którzy mają złudzenia i popierają ZSRR, niewiele wiedzą o komunizmie. Nie znają realnego socjalizmu. Takich jak ja, którzy jadą do Afganistanu i opisują, co tam widzieli, uważają za antyradzieckich fanatyków. Wie pan - szkoda po prostu słów. Jestem przekonany, że Afgańczycy zwyciężą i to będzie jedyny argument, który przemówi do wyobraźni Zachodu. Wzbudzi szacunek i uznanie zarówno tych, a jest ich przecież niemało, którzy sprzyjają Afgańczykom i doceniają znaczenie ich oporu - jak i tych, którzy sprzyjają komunistom. Tak zawsze chyba było: tylko ci, którzy zwyciężają, mają rację.

Londyn, 19 listopada 1988 r.

NAGRODY KULTURALNE „SOLIDARNOŚCI” ZA ROK 1988

Komitet Kultury Niezależnej przyznał Nagrody Kulturalne „Solidarności” za rok 1988. Otrzymali je:

1. Redakcja periodyku „Almanach Humanistyczny” /Warszawa/.

2. Redakcja Biblioteki Kwartalnika Politycznego „Krytyka” /Warszawa/ - za wydanie polskiego przekładu książki Karla Raimunda Poppera „Społeczeństwo otwarte i jego wrogość”. NOWA, Warszawa.

3. Marian Brandys /Warszawa/ - za książkę „Generał Arbuz”. Iskry, Warszawa.

4. Kazimierz Dziewanowski /Warszawa/ - za książkę „Złom żelazny, śmiech pokoleń”. Libella, Paryż. Pokolenie, Warszawa.

5. Michał Grynberg /Warszawa/ - za opracowanie książki „Pamiętniki z getta warszawskiego. Fragmenty i rejestry”. PWN, Warszawa.

6. Andrzej Jagodziński /Warszawa/ - za książkę „Banici. Rozmowy z czeskimi pisarzami emigracyjnymi”. Oficyna Literacka, Kraków.

7. Jerzy Jarocki /Kraków/ - za inscenizację sztuki Sławomira Mrożka „Portret” w Teatrze Starym w Krakowie.

8. Marcel Łoziński /Warszawa/ - za film „Świadkowie”. VideoNOWA, Warszawa.

9. Halina Mikołajska /Warszawa/ - za monodram „Śmierć Cwietajewej” oparty na eseju Anny Bojarskiej.

10. Wojciech Młynarski i Jerzy Derfel /Warszawa/ - za recital „Róbmę swoje”, wersja 1988.

11. Grzegorz Moryciński /Warszawa/ - za wystawę malarstwa w Teatrze Powszechnym w Warszawie.

12. Kazimierz Orłoś /Warszawa/ - za książkę "Cudowna melina. Historia 'Cudownej meliny'". NOWA, Warszawa.

13. Jacek Petrycki /Warszawa/ - za film "A może o tym nie wolno mówić?". VideoNOWA, Warszawa.

14. Redakcja studenckiego miesięcznika mówionego "Przegłos" /Kraków/.

15. Andrzej Roman z zespołem /Warszawa/ - za książkę "Komedianci. Rzecz o bojkocie". Spotkania, Paryż.

16. Jerzy Ryba /Wrocław/ - za prowadzenie galerii sztuki "Na Ostrowie" we Wrocławiu.

17. Marian Terlecki /Gdańsk/ - za dokumentację video ze strajków gdańskich.

18. Mieczysław Tomaszewski /Kraków/ - za twórcze inicjatywy edytorskie i muzykologiczne.

19. Mirosław Wujas z zespołem /Kraków/ - za prowadzenie Przeglądu Kabaretów Amatorskich "PAKA".

20. Barbara Zbrożyna /Warszawa/ - za twórczość rzeźbiarską i rysunkową.

RECENZJE

E.B.

STĄD I STAMTĄD

Unikaj patosu. Nie ufaj klasycyzmowi; nie naśladowuj romantyków; nie szukaj efektów ekspresjonistycznych. Stroń od poezji kolektywistycznej, która przemawia do tłumu w imieniu tłumu - nie różnicując postaw, doświadczeń, biografii. Zrezygnuj z mowy górującej nad odbiorcą. Wystrzegaj się nadmiaru pojęć ogólnych, wyrażań z kręgu wysokiej abstrakcji. Pamiętaj, iż w poezji niesłychanie rzadko wartością staje się sąd jednoznaczny.

Mów normalnie. Naucz się być realistą. Przemawiaj do czytelnika wyłącznie we własnym imieniu, na własny rachunek, sytuując się na tym samym co i on poziomie, w tej samej rzeczywistości i teraźniejszości. Szanuj język konkretny; odsłaniaj wieloznaczność słowa; przedstawiaj antynomie postaw; wartością pożądaną w poezji bywa z reguły zawieszenie idei między skrajnymi biegunami doświadczeń jednostkowych.

Tak by można - najlapidarniej - powtórzyć główne założenia programu Stanisława Barańczaka, założenia znane z jego prac wcześniejszych i eksponowane w tomie recenzji poetyckich pt. "Przed i po". Krytyk dąży do jasności wykładu, pragnie utrwalić własny system norm w świadomości ogółu zainteresowanych sztuką słowa. Wychowanek

polskiej szkoły strukturalnej wie, iż u podstaw każdego wyrazistego systemu powinny się znajdować opozycje binarne, a zatem obszar wartości deprecjonowanych musi określać się wobec obszaru wartości chronionych. Na każdy błąd należy odpowiadać przeciwbędem, dla każdej trucizny znaleźć skuteczną odtrutkę. Recenzje w "Przed i po" nie tylko ilustrują tezy Barańczaka, ale także sprawdzają "wytrzymałość" norm, nadają im elastyczność. Rzecz by można, iż działalność recenzencka to g i m n a s t y k a s y s t e m u.

Barańczak nie należy do krytków proponujących często nowe nazwy dla nowych zjawisk w życiu poetyckim współczesności. Jak w "Nieufnych i zadufanych" /1971/, tak i w "Przed i po" posługuje się nomenklaturą historycznoliteracką - zwłaszcza w odniesieniu do szkół czy mód poezjowania. Jego "klasycyzm", "romantyzm" i "ekspresjonizm" to "izmy" zdegradowane, ograniczone do paru zaledwie chwytów.

Tak więc "klasycyzm" jest dla Barańczaka przechowalnią sztucznego patosu, azylem pustki myślowej. Dzisiejszy "klasyk" zadowala się powierzchowną archaizacją języka oraz tradycyjnymi miarami wiersza; ochoczo ulega "złudzeniu, że brak prawdziwie istotnej problematyki można zrekompensować nadętym i uroczystym tonem" /s. 47/. Przykłady? Wystarczy jeden, nad wyraz pouczający: dorobek Bohdana Drozdowskiego. Niekiedy również talenty znaczniejsze pogrążają się w anachronizmach klasyczności. Przytrafiło się to - powiada krytyk - w latach siedemdziesiątych Stanisławowi Grochowiakowi. Przykro było patrzeć, jak poezja Grochowiaka "stopniowo zastygała w monumentalnym patosie, tłumiała klasycystyczną dyscypliną żywsze odruchy myśli i wyobraźni" /s. 53/. Gdy Barańczak kogoś podziwia, a podziwiany twórca bywa - jak na przykład Zbigniew Herbert czy Artur Międzyrzecki - zaliczany

przez innych krytyków "do obozu współczesnych klasycystów" /s. 107/, autor "Przed i po" wykazuje wielką a uporczywą pomysłowość analizy, która już to całkowicie rozbraja mit "klasyka" /Herbert/, już to dowodzi, iż jest to "klasyczność" peryferyjna i przewyciężana /Międzyrzecki/.

Na klasycyzm - zdaniem Barańczaka - chorują zwykle osobowości ugodowe; nonkonformiści naszych czasów zapadają na romantyzm. Dawniej, gdy Barańczak, student filologii polskiej UAM w Poznaniu, pisał swój pierwszy manifest, który ukazał się w jego debiutanckiej książce "Nieufni i zadufani" - odrzucenie klasycyzmu było równoznaczne z wyborem postawy romantyka - zgodnie z polskim, ograny scenariuszem. Początkujący wówczas poeta i krytyk przeciwstawiał romantyzm "dialektyczny" romantyzmowi tandetnym. W obiegu krytycznoliterackim przyjęła się przeciwstawia "nieufności" i "zadufania" /ba, trafiła nawet do wierszy: np. pisał wierszem o nieufności ks. Jan Twardowski/; nie przyjęły się natomiast Barańczakowe nazwy odmian romantyzmu. Pojawił się Nowy Romantyzm, bezwartościowy acz hałaśliwy, zdecydowanie antynowofalowy. Nikt już nad tą głąwą terminologiczną nie mógł zapanować. Po latach, w "Przed i po", Barańczak nie powraca do swych dawnych ustaleń. W jego najnowszych tekstach "romantyzm" to tyle co "epigonizm romantyczny", ani lepszy, ani gorszy od epigonizmu klasycystycznego.

Po grudniu wojennym 1981 roku, stwierdza krytyk, w polskiej poezji ulotnej doszło do wskrzeszenia Romantycznego Wizjonera /s. 93/. Przełom romantyczny stał się nadto udziałem niektórych wczorajszych klasyków, np. Jarosława Marka Rymkiewicza. Podczas gdy patos klasyków jest kamienny i hieratyczny, patos romantyków stanu wojennego graniczy z histerią.

O patrz! Ojczyzna twoja kona
- woła Rymkiewicz /s. 132/. Rozpacz płaczkicmentarnej, folklor katastrofy, beznadziejności. Poeci naśladowujący wieszczów usiłują wzniosłością stylu przesłonić nędzę myśli. Deklamacja zastępuje informację. Czytelnik dowiaduje się, iż w Polsce każdy zryw narodowy nieuchronnie kończy się przegraną. Utrwala się wizja "bezwyjściowej ciągłości polskiego losu" /s. 135/. Barańczak protestuje; solidaryzuje się z nim w pełni. Czytelnik ubezwłasnowolniony rozpaczą "romantyków" - staje się Polakiem ubezwłasnowolnionym. Jeżeli uwierzy w przesłanie, uwierzy w daremność oporu. "Poezja romantycznego wizjonera, wydobywając na plan pierwszy cykliczność historii, zarazem nadaje najbardziej nawet absurdalnym jej procesom pewien nadrzędny sens" /s. 95/. Absurd staje się normą, a ofiarom absurdu cóż pozostaje? Apatia lub cynizm.

Wreszcie ekspresjonizm. W ujęciu Barańczaka ekspresjonizm jest dziś tylko techniką, hipnotyzowaniem odbiorcy, uzależnianiem go od woli autora. Powiada krytyk, iż jak dawniej, tak i w utworach najnowszych efekty ekspresjonistyczne aktywizują ostre, "hałaśliwe" jakości estetyczne /s. 53/. Służą "szokowaniu czytelnika wulgaryzmem językowym lub makabrycznym obrazem" /s. 43/, sprowadzają się do wzniecania ekstaz zbytecznych, już to do "brutalizowania wyobraźni czytelnika niepotrzebną makabrą" /s. 159/, już to epatowania bezużyteczną brzydotą. Ekspresjonista chce być atrakcyjny. Pragnie pisać zajmująco. Ale z reguły nadużywa krzykliwych barw i, wbrew sobie, wpada w nudę, w "monotonię patetycznych inwokacji" /s. 44/ lub w jednostajność grozy. Straszy, a nikt się nie boi. Zdaniem Barańczaka ekspresjonizm zatruł wiele interesujących nurtów w twórczości poetyckiej Stanisława Czycza; równieź Krzysztof Karasek przegrywa tam, gdzie ulega "podszeptom

demonta ekspresjonizmu" /s. 59/; przed tym samym demonem powinien się bronić także Tomasz Jastrun.

Gdybyśmy w "Przed i po" dostrzegli tylko krytykę trzech stylów epigońskich, byłby to wystarczający powód uznania dla przenikliwości Barańczaka: od wielu lat nikt tak celnie nie przedstawił form tradycji zdegradowanej w poezji naszych czasów. A przecież diagnoza historycznoliteracka odbywa się tu jakby mimochodem, stanowi produkt uboczny działalności recenzenckiej /graniczającej z publicystyką/. Wartością chronioną nie jest dla Barańczaka nowość, innowacyjność, awangardowość dzieła, ani suwerenność wobec dziedzictwa sztuki poetyckiej. Wartością podstawową jest dla niego odbiór czasu współczesnego. W jego obronie znęca się nad epigonami, w jego imieniu prowadzi rozrachunek.

Jest to książka o godności odbiorcy. Barańczak przeciwstawia się kolektywistycznemu widzeniu czytelnika /s. 137/. Nie godzi się na twórczość, która traktuje publiczność jak niezróżnicowaną masę /s. 97/, albo jak bezrozumną gawiedź /s. 63/, którą można jedynie z wysoka pouczać. Ekspresjonizm, romantyzm, klasycyzm to trzy formy "kolektywizacji" publiczności. Czytelnik, współ z krytykiem, powinien odtrącić owe "izmy". Powinien protestować: "że tyranizowany jestem /.../ patosem poszczególnych słów, metafor, obrazów, że ktoś, nie pytając o zdanie, zalicza mnie wraz z sobą do jakiegoś "my", że sam sytuuje się nie na równym ze mną poziomie, ale na jakiejś górującej nad owym zgromadzeniem ambonie czy trybunie" /s. 133/.

Wyzwoleniem może być tylko normalność. słowo "normalność jest w "Przed i po" jedną z nazw niemal programowych, znakiem wartości, o którą należy zabiegać ustawicznie. Zwłaszcza dziś. Píše Barańczak, iż "spotęgowana dawka absurdu wytwarza zwiększone

zapotrzebowanie na odtrutkę normalności" /s. 91/. Oznacza to normalność mowy, normalność kontaktu z odbiorcą, normalność wiedzy o świecie - komunikowanej za pośrednictwem tekstu poetyckiego. Normalność czyli realizm. Dla Barańczaka pojęcie realizmu wydaje się nie obciążone ani nadmiarem komplikacji teoretycznych, ani pamięcią dewiacji /np. socrealistycznych/. Krytyk pragnie odnowić "dziewiczy" sens tego pojęcia. Realizm więc to "otwarcie się na rzeczywistość" /s. 105/, wiedza o realności /s. 46/, osadzenie tekstu poetyckiego w teraźniejszości i "tutejszości" /s. 85/. Wiąż z realnością życia stanowi dla Barańczaka pierwszą powinność twórcy, podstawowe zadanie psychologiczne i warsztatowe. Gdy na początku recenzji /o tomiku Jana Polkowskiego/ czytamy, iż wierszy młodego twórcy nie da się "odłączyć od rzeczywistości, w której są osadzone" /s. 82/, możemy być pewni, iż recenzja rozwinie się pochwalnie. Wiele wcześniejszych manifestów realizmu poetyckiego zmierzało w stronę epizacji liryki. Barańczak ceni mowę konkretną, ale broni liryczności liryki. Postulowany przez niego realizm można by tedy nazwać r e a l i z m e m a u t o b i o g r a f i c z n y m. Celem jest otwarcie się na rzeczywistość znaną poecie z bezpośredniego doświadczenia, na świat, jak pisał Miron Białoszewski, "sprawdzony sobą". Barańczak pozostał wierny swej miłości literackiej - Białoszewskiemu właśnie, który potrafił ocalić suwerenność "ja" poety i "ja" czytelnika.

"Poeta naprawdę wartościowy pisze w gruncie rzeczy całe życie o jedynej sprawie, na której się rzeczywiście zna: o sobie" /s. 145/. To piękne zdanie rodzi pewne kolizje w systemie ocen Barańczaka. Wierność normom realizmu autobiograficznego powinna by oznaczać także szacunek wobec poetyk onirycznych, imaginatywnych, ekspozycyjnych,

nujących intymność marzeń czy wizji. Na własnych snach poeta zna się tak samo jak na własnej jawie. Lecz sen w poezji prowadzi ku nadrealizmowi, podczas gdy Barańczak zabiega o realizm bez dodatków, bez owego "nad". Krytyk nie znajduje z tej kolizji wyjścia. Gotów jest wybaczyć poecie inklinacje nadrealistyczne, pod warunkiem wszak, iż obrazy nadrealne nie dominują /np. u Jana Prokopa, s. 40/, nie przeszkadzają raportom z jawy, a jedynie są chwytami wspomagającymi prezentację świata w kategoriach realizmu /np. u Karaska, s. 57/. Najbardziej cieszy go poezja, w której, jak choćby u Julii Hartwig /s. 14/, dochodzi do rozstania z poetyką "senną"... A przecież w takich rozstaniach ginie jakaś część "ja" twórcy.

Otwarcie na konkret ma swoje granice. Nie jest dobrze, gdy, twierdzi Barańczak, jest to rzeczywistość widziana ulotkowo, w sposób nadto już uproszczony. Jeżeli dzieje się tak, jak w "wojennych" tekstach Ryszarda Krynickiego, jeżeli wiersz przypomina napis na murze i "przekształca się w jednoznaczny argument, obnażony i bezpośredni apel" /s. 140/, krytyk, z bólem serca, mówi takiemu realizmowi "nie". Domaga się dialogu racji, spojrzenia dookoła, go, dwoistego. Zachwyca go w dziełach Zbigniewa Herberta "nieporównywalna z niczym, spokojna siła", która "bierze się właśnie z sytuacji zawieszenia pomiędzy skrajnymi biegunami doświadczenia" /s. 125/.

Podobne zawieszenie "pomiędzy" buduje dramaturgię wewnętrzną tomu "Przed i po". Pierwsza część tomu zawiera recenzje napisane przed stanem wojennym, a także przed wyjazdem autora do Stanów Zjednoczonych; część druga opowiada o tym, co w polskiej poezji krajowej zdarzyło się "po". Zawieszenie w czasie jest zarazem zawieszeniem między dwiema przestrzeniami geopolitycznymi, jest widzeniem poezji s t a d i

s t a m t ą d, z kraju i z obczyzny. Na tym tle dziwi nieco frontalny atak Barańczaka na, jak nazywa on pogardliwie, emocje "turystyczno-krajoznawcze" poetów /s. 76/. prawda, przedmiotem krytyki stały się niewydarzone zapisy wrażeń podróźniczych. Ale niechęć do takich zapisów zdaje się ogarniać całość liryki "nietutejszej", nie o Polsce mówiącej lecz o piramidach czy krzywej wieży w Pizie. Gdyby Barańczak recenzował "Rozkurz" Białoszewskiego, pewno by skorygował swe sądy, znalazłby bowiem w tej książce całą piramidę "zapotów" - poświęconych piramidom właśnie! Gdyby pamiętał o obrazach katedr gotyckich u Przybosa, o "Monie Lizie" i "Barbarzyńcy w ogrodzie" Herberta, nie napisałby, że to tylko romantycy XIX wieku mieli prawo do spotkań ze światem "tamtejszym".

Granica między poezją zrodzoną "przed" grudniem 1981 roku, a poezją tworzoną "po", jest w istocie granicą folkloru wojennego. W ewolucjach poetyk niewiele się zmieniło. Jeszcze w sobie tę granicę nosimy, jeszcze wyczuwamy. wkrótce zniknie. Stanie się tak, jak w wierszu Brunona Jasieńskiego: Zeskoczymy po stopniach i zatrzasną się drzwiczki.

Wszystko zmiesza się razem - to co przed i co po...

E.B.

Stanisław Barańczak: "Przed i po. Szkice o poezji krajowej przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych". Londyn 1988, "ANEKS", s. 172.

PAMIĘTNIKARZE Z GETTA WARSZAWSKIEGO

Po całej serii wydanych w latach 80-tych pamiętników i wspomnień z getta warszawskiego /m.in. Emanuela Ringelbluma, Mary Berg, Ireny Birnbaum, Haliny Birenbaum, Adiny Blady-Szwajger, a ostatnio Stefana Chaskielewicza i Noemi Szac-Wajnkranc/ ukazał się, opracowany przez Michała Grynberga, wybór pamiętników /28 spośród 65/ z getta warszawskiego, znajdujących się w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Tom zawiera fragmenty wybranych wspomnień, rejestry pozostałych i noty o autorach, a także 49 ilustracji i plan getta warszawskiego. Większość wspomnień i pamiętników pisana była w czasie wojny /lub tuż po niej/, później znalazły się w ŻIH. Nie zawsze wiadomo, jaką drogą tam trafiły, odnaleziono je przypadkowo, ktoś, znajdując kartki zapisane po żydowsku - odniósł je do działającej wtedy Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej, częścią odnaleziono wraz z Archiwum Ringelbluma. Losy autorów tych wspomnień są w większości nieznane, a często emigracyjne. Tylko troje spośród 63 autorów - Żydów żyje obecnie w Polsce.

Fragmenty wspomnień ułożone są zgodnie z chronologią wydarzeń w getcie. Czytamy więc o "normalnym" życiu dzielnicy żydowskiej w Warszawie /"Największa groza może spowszednieć..." - z pamiętnika Stefana Ernesta/, o jej urzędach i instytucjach, o Judenracie, policji, pomocy społecznej, Komitetach Blokowych, o codziennym życiu ulicy, nawet - o humorze getta. Autorzy - w zależności od swojego temperamentu i skłonności do obserwacji - opisują życie w getcie sprawozdawczo lub bardziej refleksyjnie. Krytycznie piszą o policji żydow-

skiej i w ogóle o Żydach współpracujących z Niemcami, ambiwalentnie oceniają postępowanie i samobójczą śmierć inżyniera Adama Czerniakowa.

Potem czytamy o akcji wysiedleńczej z lipca-września 1942 roku: blokady i selekcje, numerki "na życie", meldekarty i Ausweisy, mające chronić przed wywózką "na wschód", pierwsze kryjówki i schrony, Umschlagplatz. Każdy pożegnał wielu: "Najłatwiej było w naszych warunkach, wierzyć mi, - samemu umierać, - daleko trudniej - przeżywać innych". /Z pamiętnika Stefana Ernesta/.

Następnie czytamy o powstaniu w getcie, o fałszywych papierach i ukrywaniu się po stronie aryjskiej. Dominowało wtedy poczucie osamotnienia: "... nie rozumiałam, dlaczego w owym czasie, gdy w getcie i Treblince rozgrywała się wstrząsająca tragedia mordowanych ludzi, dlaczego nie przychodził z zewnątrz ratunek, a przynajmniej dlaczego nikt nie protestował. Żaden głos oburzenia nie przedarł się przez fale eteru do nasłuchującego getta warszawskiego, ani z Londynu, ani z Waszyngtonu, ani z Watykanu." /Z pamiętnika nieznanej autorki/. Doświadczenia ze szmalcownikami napały lękiem i żalem: "Nie czułam /że jestem/ w swoim rodzinnym mieście. Zdawało mi się, że jestem w nieznanym mi mieście niemieckim i że należy się bać kamieni, po których stąkam, powietrza i nieba." /Z pamiętnika Franciszki Grünberg/.

Później czytamy o ukrywających się w gruzach i bunkrach Warszawy po upadku jej Powstania, z przypadkowymi ludźmi, bez wody i pożywienia - aż do wyzwolenia: "Dziwne uczucie mnie opanowało. Przecież powinnam być szczęśliwa, skakać do góry z radości. Cały czas męczyliśmy się po to, by dożyć tej chwili, żeby nam powiedziano, że nie ma Niemców, że wolno nam żyć. Dlaczego się wcale nie cieszę. Czuję tylko, że serce we

mnie zmarło." /Z pamiętnika Ireny Grocher./

Jak napisać recenzję z takiej książki, książki, która jest po prostu zapisem losów kilkudziesięciu osób wplątanych w wir historii? "Najtrudniej pisać o tym, co najważniejsze /.../, o zdarzeniach, przeżyciach, losach ludzi. W tym miejscu recenzent łamie pióro" - napisał Leon Bober w Kulturze Niezależnej nr 46. Książka taka staje się więc pretekstem do pisania na tematy ogólniejsze lub do rozpatrywania pewnych aspektów trudnego i wielowątkowego problemu Zagłady. Leon Bober zastanawiał się nad rozkwitem pamiętnikarstwa w getcie, nad swoistym poczuciem misji tych, którzy wiedzieli, że zginą i chcieli przekazać światu własną prawdę i własne świadectwo tego, co widzieli.

Mnie, zawsze gdy czytam wspomnienia z getta, zastanawia - co było dalej? Co jest dalej? Czy ci ludzie mogli być później kiedykolwiek szczęśliwi? Wszystkie znane mi wspomnienia z czasu wojny /poza książkami Henryka Grynberga/ kończą się zbyt szybko. A przecież - jak można sądzić i jak wiadomo z licznych badań na ten temat - cierpienia ludzi, którzy ocalili nie skończyły się wraz z końcem wojny.

Spróbujmy odtworzyć taką sytuację: po wyzwoleniu Żydzi, którzy przeżyli - w obozach, w ukryciu, na aryjskich papierach - powracają i, z właściwą człowiekowi upartą nadzieją, poszukują ocalałych członków swoich rodzin. Wracają do swoich domów i czekają czy ktoś żywy tam nie powróci. Pomijam tu fakt, że często nie mieli już oni "swoich" domów - zostały one zasiedlone przez nowych lokatorów, że często "poginęły" oddane na przechowanie cenne rzeczy, że nieznane są liczby dokonanych już po wojnie na Żydach morderstw rabunkowych. Daremne oczekiwanie na ocalałych członków rodziny - śmierć ostatniej nadziei - była

dodatkowym ciosem dla tych, którzy ptzetrwali hitleryzm. Wielu, chyba większość z nich, postanowiła wyjechać, uciec jak najdalej z tego wielkiego cmentarza, z miejsca śmierci narodu - i zacząć nowe życie od nowa. Najczęściej wyjeżdżali do obozów dipisów w Europie Zachodniej. Spotykali tam podobnych sobie - tak samo smutnych, rozżalonych, przygnębionych, samotnych. "Jestem samotny i nie mam nic, ty jesteś samotna, straciłaś wszystkich i wszystko - pobierzmy się więc" - mówiono i po krótkiej znajomości /średnio od tygodnia do trzech miesięcy/ zawierano małżeństwo. Związki te, nazwane przez amerykańskich badaczy problemów tych, którzy ocaleli, "małżeństwami rozpaczy" - ignorowały różnice przedwojennej pozycji społecznej, wieku, wykształcenia, stylu życia i tego wszystkiego, co zwykle bierze się pod uwagę przy podejmowaniu decyzji o ślubie. Ich siłą spajającą była moc traumatycznego doświadczenia przeszłości, dojmujące uczucie osamotnienia, chęć jak najszybszego założenia rodziny, która zastąpi tamtą utraconą.

Uwiarygodnienie własnego życia, potwierdzenie własnej wartości miało się dokonać przez przekazanie życia, przez posiadanie dzieci. Pierwsze dziecko rodziło się często jeszcze w obozie dipisów i przeważnie było nazywane imieniem któregoś ze zmarłych bliskich /często imieniem dziecka z poprzedniego małżeństwa matki lub ojca/, miało stać się jego symbolicznym wcieleniem. Miało stać się symbolicznym wcieleniem całej utraconej rodziny i jedyną nadzieją na spokojne, szczęśliwe życie. Miało stać się punktem oparcia dla swoich udręczonych rodziców, źródłem ich satysfakcji i dumy, miało zrealizować wszystkie ich niespełnione, uniemożliwione marzenia. Jednocześnie zaś dziecko było źródłem nieustannego niepokoju - rodzice starali się

zawczasu ustrzec je przed całym, grożącym mu złem tego świata, przed wszystkimi możliwymi niepowodzeniami i nieszczęściami, przed - naturalnymi dla innych - przykrościami i rozczarowaniami. Wydawało się, że po wszystkich cierpieniach, które były udziałem rodziców, jest niemożliwe, żeby ich dzieci miały nie być całkowicie, bez zastrzeżeń szczęśliwe. Dzieci - jak oczekiwano - będą równie idealne jak ich symboliczni poprzednicy - życie ich będzie jednym pasmem satysfakcji i sukcesów. Każde ich, drobne nawet niepowodzenie traktowane było przez rodziców jak klęska, jak osobista tragedia.

Dzieciom trudno było dostosować się do narzuconej im tożsamości ich "nieskazitelnych poprzedników", wyidealizowanych prototypów. Często trudno im było zrozumieć wymagania i oczekiwania rodziców, buntowały się przeciw ich nadopiekuńczości, nadmiernym wymaganiom i ambiwalentnym oczekiwaniom. Irytowało ich zachowanie rodziców - wyczuwalne, nieustanne myślenie o przeszłości, ich apatyczność, depresyjność, chwiejne poczucie własnej wartości, dręczące ich poczucie winy /"Skoro tylu innych, lepszych ode mnie, zginęło - dlaczego ja żyję?"/. Dzieci, potrzebujące wsparcia i pomocy psychicznej od rodziców, same często musiały stać się dla nich podporą życiową i służyć im pomocą w trudnych kontaktach z krzywdzącym i zagrażającym światem.

Jak wynika z prowadzonych w świecie badań, traumatyczny wpływ doświadczeń wojennych odciska swe piętno nie tylko na ocalałych rodzicach, ale także na ich dzieciach. Dlatego też warto, moim zdaniem, oprócz zbierania i wydawania relacji z czasów wojny, zastanawiać się i pisać o tym, co było - co jest - dalej. Szczególnie warto to robić w Polsce, gdzie - jak w niewielu miejscach na świecie - zostało nam dane /niestety!/ bogate pole do obserwacji. Tutaj, gdzie doświadczenia wojenne nadal

są węzłowym punktem biografii wszystkich niemal rodzin, gdzie dzieci od małego słuchają opowiadań rodziców i dziadków o wojnie, gdzie tak wiele nieświadomych często zachowań, lęków i obsesji ma swoje źródło w dramatycznych przeżyciach okupacji - tu właśnie trzeba zdać sobie z tego sprawę i przyjrzeć się psychologicznym konsekwencjom doświadczenia wojennego. Temat ten, moim zdaniem intrygujący i ważny, nie został podjęty przez badaczy życia społecznego w naszym kraju. Nie zaistniał on także w literaturze - poza książkami Henryka Grynberga problem psychicznych konsekwencji wojny i przenoszenia ich na drugie pokolenie - właściwie nie istnieje /w "Początku" Andrzeja Szczypiorskiego jest ledwie zarysowany/.

Żyje wśród nas jeszcze paru "kronikarzy z getta warszawskiego". Ich doświadczenia - przyznajmy to wreszcie - były o wiele tragiczniejsze od doświadczeń Polaków. Warto, moim zdaniem rozmawiać z nimi i z ich dziećmi. Czy jednak doświadczenie getta, owo doświadczenie całkowitego zaniku międzyludzkiej solidarności, które niosą całe życie, które ciąży nie tylko na nich, ale i na ich dzieciach - jest w ogóle możliwe do przekazania? Czy można zrozumieć tragiczny wymiar codzienności, która nastąpiła potem? Czy znajdzie się dość życzliwych słuchaczy, którzy - ponad narodowym szowinizmem - zechcą dowiedzieć się czegoś o ludzkim doświadczeniu końca świata?

Pytając o to, "co było potem", trzeba nieustannie uzmysławiać sobie, trzeba próbować zrozumieć, czym było doświadczenie Holocaustu - w jego społecznym, narodowym, religijnym, a także - ludzkim wymiarze. Dlatego tak potrzebne jest obiektywne poznawanie tamtego czasu, dlatego tak cenną

książką są "Pamiętniki z getta warszawskiego".

Barbara Engelking

"Pamiętniki z getta warszawskiego. Fragmenty i regesty". Opr. Michał Grynberg. Warszawa 1988, PWN, s. 452, 900 zł.

●

MICHAŁ BESKIDZKI

EDYTORSKI "SZKOPUŁ PODUSZCZONY..."

Norman Davies, historyk brytyjski zajmujący się dziejami Polski, autor poświęconych im głośnych książek "Serce Europy" i "Igrzyska bogów" napisał również książkę o wojnie polsko-sowieckiej 1920 pt. "Biały orzeł - czerwona gwiazda". Praca ta miała dwie edycje angielskie /pierwsza w 1972/ a ostatnio publikowało ją podziemne wydawnictwo Przedświt w tłumaczeniu Uruszułi Karpińskiej.

Dla obywateli PRL-u wojna 1920 r. była /i jest/ bodaj najbardziej zmitologizowanym i tajemniczym epizodem stosunków polsko-rosyjskich. Stanowisko oficjalne najpełniej wyrażał tytuł stosownego rozdziału "Historii WKP/b/", ewangelii stalinizmu, brzmiący: "Najazd jaśnie panów polskich na kraj radziecki". Niezależnie od tej naukowej wykładni reżim w Polsce stosował w praktyce zasadę totalnego milczenia o owej drażliwej sprawie. Usunięto wszystkie pomniki, pamiątki itp., z bibliotek wycofano książki, starannie unikano najmniejszych aluzji. Kombatanci tamtych walk, jeśli żyli i cieszyli się wolnością, woleli nie przyznawać się do swoich wspomnień. Naturalnym skutkiem takiego postępowania był mit 1920

r., mit heroicznej walki "nas", reprezentantów dobra i prawdy z diabelskimi siłami barbarzyństwa. A także mit pierwszej od trzech stuleci wygranej wojny. Wojny, dodajmy, współbrzmiającej z polskimi stereotypami Kresów, kawaleryjskich szarż i zmagañ szlachetnych rycerzy z hajdamacką dziczą.

W rezultacie wśród roczników, które dojrzały w ludowej ojczyźnie, mało kto wiedział coś konkretnego o tych mitycznych wydarzeniach prócz faktów, że doszliśmy do Kijowa oraz że przegналиśmy bolszewików spod Warszawy. W szczególności nikt prawie nie wiedział kto tę wojnę zaczął /"no, przecież nie my..."/, kiedy, i o co w niej chodziło. Zaś co do znajomości szczegółów... Pamiętam zdumienie i pomieszanie w jakie wprowadził mnie ojciec kolegi, b. oficer kawalerii i autentyczny jaśnie pan polski, gdy na moje nabożne prośby o jakieś wspomnienia z wojny 1920 r. odpowiedział, że nie cierpi tych wspomnień, wojna była ohydna, a na dowód opisał scenę gorliwego zgłaszania się ochotników do likwidacji jeńców sowieckich. Zresztą sam Piłsudski wyrażał się o tej wojnie bez pietyzmu, nazywając ją bijatyką.

Książka wybitnego historyka, jakim jest Davies, cudzoziemca nie związanego narodowo z żadną ze stron konfliktu, obiektywnego i cierpliwego tropiciela prawdy o polskich dziejach, może więc mieć ogromne znaczenie dla naszej świadomości historycznej. Tym bardziej, że jest to praca ze wszech miar zasługująca na uznanie. Autor oparł ją na obfitym polskim, rosyjskim i angielskim materiale źródłowym, uwzględnił literaturę przedmiotu i dokumenty archiwalne, wspomnienia, korespondencję, ówczesną prasę. Obszernie a zarazem przejrzysto opowiada historię wojny, przesuując jej początek na luty 1919, tj. na pierwsze potyczki pomiędzy siłami polskimi i bolszewickimi, które z dwóch stron usiłowały zawładnąć

obszarami Kresów opuszczanymi przez wojska niemieckie. Opisuje trwające następnie na tym terenie chaotyczne lecz obustronnie okrutne walki, w wyniku których Polacy osiągnęli jesienią linię od Dźwiny, wzdłuż Berezyny przez Polesie do Zbrucza. Późna jesień i zima przyniosły uciszenie walk i próby negocjacji pokojowych, podejmowanych głównie przez Rosjan, mających wówczas fatalną sytuację na frontach wojny domowej. Negocjacje te były sabotowane przez Piłsudskiego, który nie wierzył w szczerość pokojowych intencji sowieckich i był przekonany, że chodzi tu jedynie o zyskanie na czasie. Davies bardzo obiektywnie referuje stanowiska i motywy Polaków i Rosjan, uwzględnia brak zdecydowania i wewnętrznej konsolidacji polityki bolszewików, obszernie przedstawia sytuację obu krajów i potencjał ich sił. Rozpoczęcie przez Piłsudskiego ofensywy na Ukrainę 25 IV 1920 traktuje jako kampanię przewencyjną. Dużo uwagi poświęca szczegółowej analizie przebiegu działań wojennych. Fascynuje go zarówno strategiczna intuicja Piłsudskiego i determinacja Polaków, wykazane w bitwie o Warszawę, jak egzotyka i brawura Armii Konnej Budionnego oraz Korpusu Kawalerii Gaja, który dotarł aż w okolice Torunia. Równolegle do rozwoju sytuacji na polu walki przedstawia działania dyplomatyczne, bardzo krytycznie charakteryzując postawę Francji i Anglii, ich hipokryzję, ignorancję w sprawach Polski i niechęć do udzielenia jej pomocy. Szczególnie dostało się Lloydowi George'owi. Na koniec Davies omawia Traktat Ryski, oceniając go jako obustronną przegraną /bolszewikom nie udało się wznieść rewolucji na Zachodzie, Piłsudskiemu - stworzyć federacji Polski, Litwy i Ukrainy/.

Oczywiście w pracy Daviesa polski czytelnik znajdzie drobne błędy lub nieścisłości. Np. nieprawdziwą informację o szarżach kawalerii na czołgi w 1939 r. /s.184/.

zaliczanie Daszyńskiego, Piłsudskiego, Lenina i Tuchaczewskiego do arystokracji, informację o odebraniu przez bolszewików pałacu Branickim w Białymstoku /ta linia Branickich wygasła przed 150 laty, a pałac był własnością rządową/. Dyskusyjne może być też wielokrotnie powtarzana opinia o całkowicie negatywnej roli kresowego ziemiaństwa, pomijająca udział tego środowiska w pielęgnowaniu europejskiej kultury i polskiej świadomości narodowej. Te potknięcia lub dowolności autora nie umniejszają jednak wartości omawianej książki.

Umniejsza ją natomiast skandaliczne, powtarzam: skandaliczne tłumaczenie. Tłumaczka być może zna z grubsza język angielski, natomiast na pewno nie ma pojęcia o języku polskim. W rezultacie niemal cały tekst brzmi jak następuje:

"Żołnierz /.../ rzadko mógł znaleźć schronienie w /.../ kojącym towarzystwie swojego pułku" /s. 24/.

"Polska posiadała 110 tys. służących żołnierzy" /s. 26/.

"Nieżyjące od 1831 r. wojsko polskie odrodziło się" /s. 27/.

"Mundury carskie /czerwonoarmiejców, przyp. M.B./ z obszernymi insygniami" /s. 29/.

"Niemożliwe było zorganizować ćwiczenia i odegrać skutecznie swoją rolę" /s. 29/.

"... nie dali szansy strzelania do pojedynczego celu, co jest wart tego ataku" /s. 32/.

"Był poduszczony przez osobliwy technicznie szkopuł" /s. 112/.

"Trocki rzucał napomknięcia" /s. 123/.

I tak dalej, nieomal zdanie po zdaniu. Wydawnictwo Przedświt jest placówką ogromnie zasłużoną i poważną, tym bardziej więc zdumiewa przyjęcie tak horrendalnego tłumaczenia. Redakcja nie pofatygowała się nawet, by poprawić tak rażące błędy językowe jak konsekwentne nazywanie huzarów huzarzami albo równie konsekwentne przekre-

canie nazw geograficznych, np. pisanie Bienankon zamiast Bienakonie, Możyrz zamiast Mozyrz, Spaa zamiast Spa. Niektóre kwestie są w ogóle niezrozumiałe, nie wiadomo z winy autora czy tłumacza. Np. "W miastach przeważała populacja żydowska, od czasu gdy był tu teren wydzielony przez Porozumienie Żydowskie zawarte z carskim imperium" /s. 22/. Czy autorowi chodzi o przesiedlanie Żydów z Rosji w końcu XIX w.?

Wątpliwe wydaje mi się też opatrywanie tekstu przypisami /sygnowanymi jako "przyp. tłum."/, których nachalna tendencyjność przypomina dawne tradycje "ustawiania ideologicznego". Np.:

"Trudno tu ominąć refleksję, że prawe skrzydło endeckie już wtedy tak łatwo porozumiewało się z komunistami. Ostatnim spektakularnym przykładem jest B. Piasecki i jego Pax na usługach reżimu w PRL" /s. 102/.

"Podobnej etykiety dorobiła się Solidarność" /s. 110/.

"Znamienne jest, że te opinie zachodnie wygłaszano dopiero p o zwycięstwie polskim, natomiast p r z e d nikt nie miał wątpliwości co do zwycięstwa sowieckiego" /s. 140/.

"Ten czas cudów i majaków jednak przez 123 lata zaborów pozwolił zachować tożsamość Polakom. W walce z sowietyzacją dusz i umysłów jest on niezwykle skuteczną bronią" /s. 190/.

Wolałbym, żeby zamiast produkować tego typu komentarze /jest ich znacznie więcej/ uzupełniono indeks biograficzny, choćby podając brakujące daty zgonów oraz ich okoliczności. Czasem wystarczyło zajrzeć do "Polskiego Słownika Biograficznego".

Podstawową zaletą książki Daviesa jest jej obiektywizm. Szkoda, że wydawca uznał za konieczne stawianie w niej kropek nad i.

Michał Beskidzki

Norman Davies: "Biały orzeł - czerwona gwiazda", przeł. Urszula Karpińska, Warszawa 1988, Przedświt.

FELIETONY

JACEK BOCHENSKI

CZASY SA PRZYKRE...

... i tyle w życiu goryczy, że powiem na początek coś przyjemnego.

Kiedy zbieraliśmy się dawniej w podobnym gronie, na zjazdach związkowych czy innych literackich naradach, mówiliśmy zazwyczaj o braku wolności słowa. Cenzura była główną złączyką pisarzy. Mieliśmy poczucie, że cenzura decyduje o losie literatury polskiej, o jej możliwościach, treściach, formach, poziomie, i że przede wszystkim trzeba się temu sprzeciwić. Otóż po raz pierwszy odnoszę wrażenie, że jest już trochę inaczej.

Cenzura, oczywiście, istnieje nadal. Dyskryminacja wydawnicza autorów niemiłych władzy utrzymuje się pod różnymi postaciami i w różnym zakresie. To wszystko prawda. I niejedno można by jeszcze dodać. Na pewno nie ma pełnej wolności słowa. Ale od dawna utrwalała się w praktyce faktyczna możliwość publikacji dzięki komplementarnemu układowi dwóch obiegów wydawniczych, a co więcej, w ślad za tą alternatywną możliwością publikacji w jednym z dwu obiegów, nastąpił przełom w głównym, cenzurowanym obiegu.

Kto z nas nie przeciera oczu, czytając gazety, oglądając telewizję, no i śledząc rynek wydawniczy, a na nim zakazane przedtem książki? Przypomnijmy sobie dla satysfakcji bodaj kilka, poczynając od niewinnej

"Miazgi" Jerzego Andrzejewskiego. Wymieńmy jakie kiedyś niebezpieczne "Zostało z uczt bogów" Igora Newerlego. I jeszcze groźniejszą "Małą apokalipsę" Tadeusza Konwickiego, drukowaną dziesięć lat temu w "Zapisie". A w końcu na przykład "Wieżę" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, o którym to pisarzu można było dwadzieścia lat temu dowiedzieć się z "Życia Literackiego", że jest to antypolski dywersant na usługach amerykańskiego imperializmu oraz agent syjonisty Szymona Wiesentala, współpracownika neohitlerowców.

Niedopuszczalne książki wszystkich wymienionych autorów przeszły z obiegu podziemnego do nadziemnego i ukazały się w koncesjonowanych wydawnictwach, niekoniecznie zresztą państwowych. No i dobrze. O to między innymi chodziło nam przez lata. I to się właśnie spełnia.

Ktoś powie: krótkie momenty liberalizacji w komunizmie już bywały i przecież nie wiadomo, czy znów nie przeżywamy tylko takiego momentu. Zapewne, można się o to niepokoić, choć są poważne znaki, że rozpoczął się proces inny i głębszy, do czego jeszcze wrócę. Ale jakkolwiek by było, mam dziś poczucie, że spotkaliśmy się po latach, wyniszczeni, pozbawieni naszej organizacji związkowej, rozbici, zbiedzeni, i że jednak po raz pierwszy nie musimy mówić przede wszystkim o wolności słowa i cenzurze. Jakby tymczasem ta fundamentalna sprawa została z grubsza załatwiona.

Któż ją załatwił?

Proszę państwa, doceniając wszelkie czynniki historyczne, pierestrojkę i tak dalej, myślę, że w ogromnej mierze załatwiłście tę sprawę wy, że jest to wasza zbiorowa zasługa, skutek waszych wysiłków, waszej postawy i wytrwałości. Jest to wielkie zwycięstwo każdego z was. A jeśli w przykrych czasach można coś takiego skonstatować, to się tym cieszymy.

Mniej radośnie wygląda, niestety, społeczna sytuacja pisarza i nasza realna komunikacja z czytelnikiem. Otóż możliwość publikacji, o której dopiero co mówiłem, jest właśnie w znacznym stopniu możliwością tylko, jest potencjalna, odwoływalna, bez sankcji i gwarancji prawnej, ograniczona trudnościami materialnymi i technicznymi, w jednym z obiegów wręcz nielegalna, a w obu realizowana na małą skalę.

Ogólny skutek tego stanu rzeczy ująłbym tak: książka /zresztą nie tylko przez żyjących i nie tylko przez polskich autorów pisana/ ma w Polsce mniej czytelników, niż mogłaby mieć. I to o wiele mniej czytelników. Grozi to katastrofą kulturalną na przyszłość wobec widocznej dehumanizacji życia i pogłębiającego się kryzysu duchowego w społeczeństwie. Mizeria kulturalna nie jest dla narodów błahszą sprawą, niż mizeria gospodarcza, ekologiczna i zdrowotna.

I dlatego sądzę, że dziś ta niedostateczna obecność książki w Polsce zaczyna być głównym problemem czy wyzwaniem społecznym, przed jakim - ze względu na pole zawodowo przez nas uprawiane - stoimy. Bo oczywiście jako ludzi, obywateli czy Polaków nie przestają nas dotyczyć inne palące problemy i wyzwania, które tu pomijam. Ale wydaje się, że musimy coś zrobić, żeby w kraju było więcej książek, żeby były dostępnejsze i żeby o nich więcej wiedziano.

Dlaczego "więcej wiedziano"? Nie tylko dlatego, że książki, o których się wie, częściej się czyta. Również dlatego, że bez tej wiedzy, bez informacji, krytyki i wymiany opinii o literaturze marnieje kultura literacka i w końcu psuje się sama literatura.

Jest coś takiego trochę nieokreślonego, jak "życie literackie". Przynajmniej w Polsce mieliśmy taką tradycję. Życie literackie skupiało się wokół pewnych ognisk

kulturalnych, stowarzyszeń artystycznych, wydawnictw, redakcji, wreszcie kawiarni i salonów. Obecnie tych dawnych instytucji albo nie ma, albo są z małymi wyjątkami tak wyalienowane, że nie pełnią funkcji ożywczej w kulturze. Życie literackie w Polsce niemal zamarło. Krytyka jest uboga i rachityczna. Nawet "salony", o których się niekiedy mówi z przekąsem, naprawdę nie istnieją.

Jeśli uda się nam odrodzić jakieś zrzeszenie, w którym się znowu zorganizujemy, a przypuszczam, że to się wkrótce uda, zrobiony zostanie pewien krok do odrodzenia życia literackiego. Pod warunkiem, że potrafimy także stworzyć albo związać z sobą jakieś wydawnictwo, w którym będziemy mogli wydawać książki, i że będziemy mieli do dyspozycji chociaż jedno czasopismo, nie kwartalne czy miesięczne, ale tygodniowe, gdzie będziemy mogli szybko reagować na bieżące wydarzenia i kształtować opinie. To powinien być, moim zdaniem, nasz wstępny program-minimum. Rzecz prosta, pełny rozwój życia literackiego wymaga szerszej bazy i znacznie większego zróżnicowania. Ale bądźmy na początek skromni i ostrożni.

Próbuje wybiec myślą w przyszłość i wyobrazić sobie warunki, w jakich zapewne się znajdziemy. A więc gospodarka rynkowa. Nie wiemy, czy panująca dotychczas gospodarka doktrynalno-biurokratyczna da się w ogóle przerobić na rynkową i co z tej przeróbki w praktyce wyniknie. Ale chyba nie ma innego wyjścia, nikt go w każdym razie nie potrafi realnie wskazać i z grubsza biorąc wszyscy się godzą, że tego kierunku trzeba próbować. Toteż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jakaś tam gospodarka rynkowa będzie. Co to oznacza dla kultury, a literatury i książki konkretnie?

Każdy, kto choć trochę zna świat zachodni, gdzie gospodarka rynkowa działa świet-

nie, wie, że w kulturze jest ona niestety koszmarem porównywalnym z plagą cenzury i monopolem państwowego po naszej stronie, chociaż o całkowicie odmiennym charakterze. Byłoby dobrze, gdybyśmy o tym już teraz pomyśleli, bo jesteśmy w sytuacji o tyle szczęśliwszej od naszych zachodnich kolegów, że mamy jeszcze dużo czasu, zanim komercjalizm zacznie nam rzeczywiście doku-
czać. W tej chwili na przykład książkę można jeszcze stosunkowo łatwo sprzedać, ponieważ na rynku panuje głód książki, oczywiście nie każdej. Ale kultura wymaga zawsze mecenatu i subwencji, przyzwyczailiśmy się też oczekiwać jej od państwa. No i znamy również skutki tego państwowego mecenatu. Może więc nastawmy się w miarę możliwości na własną gospodarność, zastanówmy się, jak by literatura mogła sama na siebie zarobić, może też poszukajmy zawczasu jakichś innych, niepaństwowych mecenatów, przy czym w mojej propozycji istotna jest liczba mnoga, którą podkreślam.

Jeśli zechcemy utworzyć nowe stowarzyszenie literatów polskich czy cokolwiek w tym rodzaju, wyłoni się naturalnie kwestia, jak odnieść się do faktu, że przecież mieliśmy swój związek, który nam rozwiązano, a jego majątek, lokal, bibliotekę, domy pracy twórczej zabrano. Czy to się nam chociaż w części nie należy? Czy nie powinno być zwrócone?

Ale można sobie też zadać inne pytanie. Czy to co nam zabrano było całkiem nasze, skoro jednak zostało nam przedtem dane w prezencie lub, jak widać, tylko wypożyczone przez władzę? A władza była kiedyś łaskawa, bo się po nas czegoś miłego spodziewała. Odpowiedzieć na to można z absolutną słuszością, że żaden majątek, jakim dysponuje władza, nie jest jej własnością, lecz własnością społeczeństwa.

Państwo mnie okłaskują, czy jednak mają państwo pewność, że otrzymaliśmy ten pre-

zent od społeczeństwa? I że społeczeństwo go akceptowało? Skoro żyjemy w ustroju, gdzie społeczeństwo nie ma wpływu na poczynania władzy i o niczym nie decyduje?

Sprawa jest subtelna i nie umiem jej rozstrzygnąć, mogę tylko powiedzieć, że czułbym się lepiej, gdyby materialne podstawy naszego przyszłego stowarzyszenia były wolne od pewnej dwuznaczności, która legła u początków egzystencji związku literatów w PRL i która z różnych stron była nam czasem wytykana, a wyniki przyniosła fatalne.

Cokolwiek tutaj mówię, odnosi się do obecnego stanu rzeczy, który wydaje się nietrwały. Jeśli mówię o państwie, to o takim, jakie mamy. Ale może ono się zmienić. Może jeszcze będziemy mieli inne. Gdyby przestało być państwem rządzącej partii, a przekształciło się w państwo wolnego społeczeństwa, wówczas w zupełnie nowym świetle stanęłaby i kwestia mecenatu państwowego, i kwestia naszego udziału w społecznym majątku. W paradoksalny sposób, socjalistyczna zasada opiekuńczej funkcji państwa w kulturze, mogłaby zostać z pożytkiem zastosowana pod warunkiem, że uwolnilibyśmy się od realnego socjalizmu.

Jakiś taki paradoks towarzyszy w ogóle całej ewolucji ustrojowej, którą obserwujemy obecnie w Polsce, Związku Radzieckim i innych podobnych krajach. Albo może powiem inaczej: powstaje paradoksalny konflikt między ustrojem i władzą państwową.

Ustrój opiera się na doktrynie ideologicznej, która zawiodła. Władza państwowa opiera się wyłącznie na tzw. aparacie przemocy i biurokratach, sile wciąż jeszcze wystarczającej, żeby władzę - wprowadzić z trudem - ale jednak utrzymywać. To wszystko dobrze wiadomo i niczego tu nie odkrywam.

Mniej rozpoznany jest natomiast fakt, że ustrój zaczął przeszkadzać władzy. Bo

z takim ustrojem można utrzymać władzę, ale coraz trudniej utrzymać państwo, skądinąd konieczne, żeby było czym rządzić. Toteż władza we własnym interesie chciałaby już ustrój zmienić! Lub jeśli kto woli, chciałaby go zmienić w swoim interesie państwowym. Ale tu znów powstaje pytanie, czy można go zmienić i nie stracić władzy.

Na przykład partia, jaką stworzył ustrój, jest - patrząc pragmatycznie ze stanowiska władzy państwowej - kamieniem u szczytu państwa. No i władza ma rzeczywiście kłopoty z partią, którą w swoim interesie państwowym musi ukrócić. Ale czy władza, ze swej istoty i genezy partyjna, może ukrócić partyjnych biurokratów i partyjny aparat przemocy, dzięki którym wyłącznie istnieje, a nie ukrócić tym samym siebie?

Gospodarka, jaką stworzył ustrój, jest utrapieniem dla państwa. No i władza byłaby wręcz gotowa zamienić gospodarkę komunistyczną na kapitalistyczną, gdyby tylko ona, władza komunistyczna, mogła w tym kapitalizmie panować.

To brzmi śmiesznie, jest to jednak prawdziwy dramat władzy. I dramatyczny los czeka władzę, której ideologiczne źródło wyschło, praktyka zbankrutowała, pozostał jedynie wpojony dobrze imperatyw, że z pewnych powodów musi się być władzą, choć nie ma się do tego - przynajmniej w Polsce - jakiegokolwiek tytułu. Można się powołać na mandat, elegancko mówiąc, geopolityczny, ale i on jest ostatnio jakby mniej oczywisty.

Toczy się więc dramat. Nadejdzie jeszcze perypetia i rozwiązanie dramatu. A straszne alternatywy, przed którymi stoi władza komunistyczna, zaiste nie wróżą jej długowieczności.

My jesteśmy pisarzami i w zasadzie przystoi nam myśleć kategoriami długowiecznymi. Zawsze dobrze o tym pamiętać, gdy podejmuje się działania praktyczne. Warunki, w któ-

rych teraz to robimy, niechybnie się zmienia. Teoretycznie więc moglibyśmy się nie śpieszyć, zamknąć się w swoich pracowniach i poczekać z inicjatywami publicznymi na jakieś dogodniejsze, bardziej stabilne warunki. Niestety, nie stać nas już na zwłokę. Bo tak jak wszystko w Polsce, również zniszczoną literaturę, jeśli ma przetrwać, trzeba zacząć ratować natychmiast. I samych literatów, jeśli mają przetrwać, trzeba ratować natychmiast. I młodzież literacką, debiutantów, czytelnictwo, i szanse przyszłego rozwoju, i sami wiecie, co i kogo jeszcze...

A tak nawiasem mówiąc, wszyscy już zapomnieli, że państwo miało w tym ustroju obumrzeć. I nawet rzeczywiście obumiera, tylko że razem z ludźmi.

Jacek Bocheński

Przemówienie wygłoszone na zebraniu niezależnych i niezrzeszonych pisarzy w Warszawie, 14 stycznia br.

LEOPOLITA

MOIM ZDANIEM...

Korzystam z okazji. Sytuacja jest nie tyle podbramkowa, co przystołowa, wszyscy niepokoją się tym, co jeszcze powie Wałęsa, niektórzy najbardziej niezłomni "krajowcy" zastanawiają się czy aby nie czas wyjechać... Z dnia na dzień coś się na pozór zmienia. Czas więc zająć się tematem nieaktualnym, lub raczej takim, który od dłuższego czasu jest i czas jakiś będzie aktualny.

Bodaj w listopadzie ubiegłego roku dowiedziałem się z "Trybuny Ludu" o zamieszczonym w 9/492 numerze "Kultury" artykule Rafała Grupińskiego "Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości". Tytuł od razu uznałem za znakomity i wręcz wart nagrody jakiej. Co zaś do zawartości, to nie zwykłem na podstawie streszczeń i cytatów zamieszczonych w "Trybunie" wnosić o czymkolwiek. Gazecie tej zdarzało się zniekształcać artykuły moskiewskiej "Prawdy", a co dopiero mówić o paryskiej "Kulturze". Nadto, nawet w poprawnych informacjach tego typu zamieszczanych w pismach z wezwaniem do proletariatusy wszystkich krajów jest niemal zawsze coś nieprzyzwoitego. Np. artykuł Grupińskiego streszczono w ramach dawania odporu opozycji.

Ponieważ sam przedmiot, tj. drugi obieg i jego poziom, trochę mnie interesuje, zacząłem poszukiwać rzeczzonego, wrześniowego numeru "Kultury". Nie było tak, bym czas cały owym staraniom poświęcił, ale naprawdę szukałem. No i pięć dni temu dotarłem. Do krajowego reprintu. Historyjka ta pouczająca jest sama przez się, pokazuje bowiem, jak w praktyce wygląda dostępność drugiego obiegu. Działał tu oczywiście przypadek: pytałem Iksa, zapomniałem indagować Ygreka. Skoro jednak nie mogę czegoś nabyć w księgarni, ani otrzymać w bibliotece, to ten typ przypadkowości staje się normą. A wolno zakładać, iż moje możliwości dotarcia do potrzebnej mi publikacji drugiego obiegu nie są niższe od przeciętnej krajowej.

Pisany z zacięciem pamflecisty szkic "Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości" nie jest i nie miał być wyważony czy też całkowicie bezstronny. Grupińskiemu chodziło o wytknięcie niezależnej publicystyce jej grzechów głównych. A że traktuje tą publicystykę jako zbiorowy głos inteligentkiej opozycyjnej czołówki, przeto mówi

zarazem o grzechach polskiego inteligenta, którego obdarzył nazwą Pin. Wedle Grupińskiego grzechy Pina to: stadność czyli środowiskowość myślenia, obawa wyjścia poza "świat obowiązujący" opozycyjnych truizmów, wzniosłość i pustostowie. Święta prawda.

Grupiński zauważa np. że najobszerniejszą białą plamą na mapie niezależnej publicystyki jest... historia "Solidarności". A mógłby przy tym dodać, że dzięki publikacjom Archiwum materiałów źródłowych nie brak. Brak natomiast chęci do pracy - bo brnięcie przez te stenogramy, to jednak harówka. Brak też chęci narażenia się opinii tzw. środowiska. To bowiem, uznawszy, że od wybryków ma Walca, grzeje się w słońcu własnej szlachetności i pomrukuje z zadowolenia.

A do tego jeszcze zwykłe lenistwo myślowe. Przykładem, szczególną pozycja Andrzeja Drawicza jako j e d y n e g o w kraju specjalisty od pierestrojki i w ogóle materii rosyjsko-sowieckiej. A przecież, logicznie rzecz biorąc, grupa Polityki Polskiej, zważywszy jej programowe założenia, powinna dysponować nie jednym, lecz kilkoma autorami, których specjalnością byłyby rossica i sovietica. Gdzie tam! Sformułowana bez mała dwadzieścia lat temu, a z gruntu nieprawdziwa teza Machnickiego, że nikt nie zna się tak dobrze na Rosji jak Polacy, po dziś dzień zastępuje konkretne analizy.

Przykładem głuchoty na sprawy sowieckorozyjskie służyć może... artykuł Grupińskiego. Rozważania swoje zaczyna on od uwag na temat szkicu "Ucieczka z Bizancjum", pióra Josifa Brodskiego, którego kwalifikuje jako "dobrego poetę i esseistę". Już niedobrze. Bo Brodski nie jest z "dobrych poetów" /cokolwiek by to miało znaczyć, "dobrym poetą" był Bohdan Zaleski, i Syromla, i Asnyk, i.../. Brodski jest wyraźnie jednym z największych żyjących. Jest również znakomitym esseistą, co nie znaczy, że trzeba się z nim zawsze zgadzać.

Ale dalej jest jeszcze gorzej. Grupiński mianowicie uważa szkic Brodskiego za przykład zatrucia jadami sowietyzmu i próbę "przewrotnej rehabilitacji dawnej i współczesnej imperialnej Rosji w jej agresywnej i butnej duchowości..."

Dowody? Brodskiemu nie podoba się Istanbuł i nie przepada za Islamem! To, że "Ucieczka z Bizancjum" jest w ogóle o czym innym, że uwagi o dzisiejszym Istambule zajmują mniej niż jedną dziesiątą objętości tekstu, a cała podróż Brodskiego do tego miasta jest pretekstem /z uwagi na przewodnie myśli eseju mógł tam w ogóle nie jechać/... a cóż to może obchodzić Grupińskiego.

A gdybym mu powiedział, że prostactwo jego sądów o "Ucieczce z Bizancjum" wywodzi się wprost z Sow-depii /jak ongi nazywał Sowiety Cat-Mackiewicz/? Ale nie powiem tego, bo nie są mi znane źródła tej zdumiewającej głuchoty.

Powiem natomiast, że artykuł "Ci wspinali mężczyźni od podstawowych wartości" łączy w sobie trafną diagnozę schorzeń głównego nurtu opozycyjnej publicystyki w Polsce z rażącym niezrozumieniem fascynującego eseju Brodskiego. Łączy zupełnie nie wiadomo dlaczego, bo o "Ucieczce z Bizancjum" Grupiński w ogóle nie musiał pisać. Chyba, że nie miał pomysłu na początek i zakończenie swego szkicu. Ale byłoby to usprawiedliwienie słabsze niż średnie.

31.I.89

Leopolita

P.S. Pani Renacie Górczyńskiej, która "Ucieczkę z Bizancjum" tłumaczyła z angielskiego /"Zeszyty Literackie" nr 15, 1986/ zdarzyła się zabawna pomyłka. "Window on Europe" przełożyła jako "okno Europy". Ponieważ chodzi o Petersburg/Leningrad, nie jest jasne po co by sobie Europa sprawiała takie okno i co miała by przez nie oglądać. To Piotr wybił "okno na Europę". Późniejsi władcy tego państwa zajmowali się już wyłamywaniem drzwi. I też im nie pomogło. Choć wielu innym zaszkodziło.

REALIA

MARIAN KALLAS

ZAŁOŻENIA DO PROJEKTU NOWEJ KONSTYTUCJI RZECZYPOSPOLITEJ /propozycje do dyskusji/

Z inicjatywy Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół "Powściągliwości i Pracy" powstało seminarium konstytucyjne. Uczestnicy seminarium zamierzają opracować projekt ustawy zasadniczej. Punktem wyjścia do dyskusji były referaty Michała Pietrzaka /Uniwersytet Warszawski/ i Mariana Kallasa /Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu/. Publikujemy tezy do dyskusji przygotowane przez Mariana Kallasa. /Red./

x x x

Przemiany wewnętrzne zachodzące w Polsce mogą wpłynąć na kształt i charakter nowej ustawy zasadniczej. Wzrasta zainteresowanie formą i rezultatami zapoczątkowanych prac projektodawczych nad tym najważniejszym aktem prawnym. Jest to właściwy moment dla dokonania ponownej oceny systemu politycznego narzuconego Polsce w niekorzystnej sytuacji historycznej, wynikającej z układu sił politycznych i porozumień międzynarodowych w ostatnich latach II wojny światowej. W minionych dziesięcioleciach nie doszło do rzeczywistej legitymizacji władzy. Znaczna część społeczeństwa nie uznaje istniejących podstaw ustrojowych za ostatecznie przesądzone i niepodważalne i dąży do odrzucenia ograniczenia niepodległości i suwerenności Narodu Polskiego. Uzasadnione jest bezpośrednie wprowadzenie do nowej konstytucji pojęcia suwerenności Państwa Polskiego.

Ocena dotychczasowego systemu politycznego uzasadnia celowość określenia na nowo koncepcji ustrojowej Polski. Kampanii politycznej winna towarzyszyć całkowita swoboda formułowania różnorodnych założeń konstytucyjnych. Szkodliwe dla ostatecznego rezultatu tych prac byłoby przyjęcie ograniczeń politycznych. Stąd m.in. wynika krytyczny stosunek do niektórych sformułowań Redakcji "Państwa i Prawa" w numerze "konstytucyjnym" /10/1987/. O przyszłej ustawie zasadniczej stwierdza się tam bez merytorycznego uzasadnienia: "Będzie to więc konstytucja socjalistycznej Polski, ale oparta na ideach porozumienia i pluralizmu socjalistycznego" /s. 5/. Istota ostatecznie przyjętej koncepcji ustrojowej Rzeczypospolitej przesądzi o charakterze prac projektodawczych nad nową konstytucją. Ważne dla ich przebiegu będą wnioski wynikające z krytycznej oceny Konstytucji PRL, m.in. ze względu na wielość niekonkretnych i ogólnikowych sformułowań oraz brak odpowiednich gwarancji instytucjonalnych. Są to najważniejsze powody daleko posuniętej rozbieżności pomiędzy ustrojem konstytucyjnym a praktyką polityczną.

Mimo wielokrotnych nowelizacji, Konstytucja PRL nie spełniła funkcji ideowej wobec społeczeństwa. Władze traktują ją jako instrument realizacji swoich często zmieniających się i doraźnych celów politycznych. Ta praktyka w decydujący sposób ukształtowała krytyczny stosunek rządzonych do Konstytucji PRL. Pod rządami tej konstytucji dokonywano masowych zbrodni politycznych w czasach stalinowskich, a później m.in. narzucono stan wojenny. Głębokie przemiany społeczne i polityczne ostatnich dziesięcioleci, a zwłaszcza okresu "Solidarności", nie znalazły właściwego i wyraźnego odzwierciedlenia w tekście Konstytucji PRL. Szczególniejszą uwagę należy zwrócić na to, jak funkcję polityczną konstytucji

określa grupa rządząca. Pomiedzy Sierpniem a Grudniem dążyła przede wszystkim do stabilizacji konstytucyjnych zasad ustrojowych. Bieżące potrzeby antynarodowej i antyspołecznej polityki ukrywała pod postacią idei nienaruszalności konstytucyjnych zasad ustrojowych. Odnosiło się to zwłaszcza do kierowniczej roli partii komunistycznej.

Zawsze w momentach wielkich konfliktów społecznych władze głoszą zasadę niezmiennalności Konstytucji PRL. Stosunek do tego aktu staje się wówczas zasadniczym kryterium legalności niezależnych sił i organizacji w Polsce. Zakres tej legalności jest swobodnie oznaczany przez władze zgodnie z jej grupowym interesem. Mamy z tym do czynienia również obecnie, po Sierpniu '88. Będzie to niewątpliwie miało wpływ na przebieg prac przygotowawczych, poprzedzających uchwalenie nowej konstytucji. Stanowi to zarazem uzasadnienie dla opracowania społecznych projektów nowej konstytucji Rzeczypospolitej.

1. Na wstępie rozważań należy zająć stanowisko wobec zainicjowanych już oficjalnie prac nad nową konstytucją. Wymagają określenia dalsze losy dotychczasowej ustawy zasadniczej PRL. Uchwalenie nowej konstytucji może nastąpić jedynie po przeprowadzeniu gruntownych zmian społeczno-politycznych i gospodarczych. Jeśli te radykalne przemiany nie dokonają się w ciągu najbliższych lat i nie zapewnią stabilizacji stosunków wewnętrznych, to uchwalenie nowej konstytucji w dniu 3 maja 1991 r. będzie tylko przejawem manipulacji władz jednym z najważniejszych symboli narodowych.

W obecnym dziesięcioleciu wyczerpały się możliwości adaptacji Konstytucji PRL do zmienionych stosunków społecznych i politycznych. Mimo to opowiadam się za nowelizacją jej tekstu odzwierciedlającą zachodzące zmiany. Jednocześnie należy przyspie-

szyć tempo i zakres prac przygotowawczych nad nową konstytucją w warunkach nieskrępowanej wypowiedzi, niezależnie od postawy i poglądów politycznych. Tematyka konstytucyjna winna w większym stopniu stać się przedmiotem dyskusji środowiskowych. Opinia publiczna coraz bardziej zainteresowana jest rezultatami prac nad nową polską konstytucją. Dotychczasowe oficjalne przygotowania do zmiany Konstytucji PRL mają ograniczony zasięg. Nie uwzględniają one konsekwencji wewnętrznego rozdarcia i podziałów politycznych pluralistycznego społeczeństwa polskiego. Jeszcze nie jest za późno na niezbędną korektę programu prac badawczych nad założeniami nowej konstytucji i szczegółowymi тезami do projektu przyszłej ustawy zasadniczej. Treść projektu konstytucji uzależniona będzie przede wszystkim od rezultatów analizy i oceny różnorodnych uwarunkowań społecznych, politycznych i ekonomicznych oraz nowych poglądów marksistowskiej doktryny konstytucyjnej.

Program badawczy "Teoretyczne podstawy oraz społeczne, ekonomiczne i polityczne uwarunkowania zmian Konstytucji PRL" koordynuje Komitet Nauk Prawnych PAN. Pragnie on zdobyć consensus dla nowej konstytucji socjalistycznej, poparcie większości społeczeństwa. U podstaw prac nad zmianą konstytucji leży założenie, iż obecnie kształtuje się nowy model realnego socjalizmu w PRL, nowy etap w rozwoju formacji socjalistycznej. Miałoby to być wystarczającą przesłanką zasadniczej zmiany założeń teretycznych i ideologicznych współczesnego konstytucjonalizmu w PRL. A jest to apologia ograniczonych przeobrażeń politycznych i gospodarczych. W rzeczywistości zaś mamy do czynienia z rozpadem dotychczasowego systemu realnego socjalizmu w PRL. Wynikają z tego wnioski dla prac nad zmianą Konstytucji PRL. Prace te wymagają odrzucenia

różnorodnych ograniczeń ideologicznych i politycznych. Ich rezultatem będzie projekt nie mieszczący się w ramach koncepcji socjalistycznej konstytucji. W związku z tym pozostaje rola środowisk naukowych, które winny z własnej inicjatywy opracować model aktu konstytucyjnego i to niezależnie od decyzji autorytetu politycznego, jakim jest partia komunistyczna. Deklaracje znacznej części środowiska konstytucjonalistów świadczą o ich zaangażowanej partyjnej postawie. Ogranicza to zakres postulowanych zmian konstytucyjnych. W związku z tym, konieczne staje się przystąpienie do prac projektodawczych przez niezależne środowiska naukowe. Obok oficjalnej Komisji Konstytucyjnej, powinna powstać Społeczna Komisja Konstytucyjna, w celu opracowania obok oficjalnego - jednego lub kilku niezależnych projektów konstytucyjnych.

2. W dziejach PRL, a zwłaszcza w ostatnich latach coraz wyraźniejsza jest niechęć do podporządkowania się przepisom prawa. Narasta brak zaufania do prawa w ogóle. Stan ten pogłębił się od stanu wojennego, kiedy to wydano liczne przepisy, które z założenia miały być stosowane w ograniczonym zakresie. Ugruntował się pogląd, iż prawo jest stosowane przez władze jako instrument bieżącej polityki. Utrwaliło się powszechne przekonanie, iż w PRL obywatel jest zobowiązany się podporządkować prawu, władza zaś uchyla się spod jego zwierzchnictwa. Konieczne jest stworzenie nowego porządku prawnego i przywrócenie zaufania do prawa, będącego rzeczywistym wyrazem interesów i woli narodu.

3. Zmiana stosunku do prawa stanowi najważniejszy warunek powodzenia reformy konstytucyjnej. Nowa konstytucja będzie stałym aktem, wyposażonym w szczególną moc prawną, nadrzędnym wobec ustaw zwykłych. Określenie kształtu, treści i charakteru nowego aktu winno być rezultatem dyskusji nad najważ-

niejszymi założeniami nowej konstytucji. Dotyczy to w szczególności typu i formy ustroju opartego na odmiennych niż dotychczas zasadach. Trzeba najpierw ustosunkować się do krytycznych ocen obowiązującej Konstytucji PRL, wzorowanej na radzieckiej konstytucji stalinowskiej z 1936 r. Następnie należy dokonać analizy i oceny dorobku nauki prawa konstytucyjnego. Kolejną czynnością będzie próba określenia podstawowych zasad postulowanego ustroju, mającego znaleźć odzwierciedlenie w postanowieniach nowej konstytucji. Oznacza to konieczność określenia teoretycznych podstaw nowej ustawy zasadniczej. Niezależne postulaty konstytucyjne niejednokrotnie będą się różniły od oficjalnych sformułowań, a niekiedy będą wręcz ich zaprzeczeniem. Dotyczy to tak istotnej kwestii jak cel państwa oficjalnie zakładający "ukształtowanie w Polsce w pełni socjalistycznych stosunków we wszystkich dziedzinach życia społecznego". Jest to rozwiązanie nie do przyjęcia. Zamiar zmiany konstytucji pozwala na formułowanie postulatów nie mogących dotąd liczyć na wprowadzenie do tekstu ustawy zasadniczej. Zasadna jest próba określenia na nowo samych podstaw narzuconego Polsce systemu politycznego, który dotychczas nie uzyskał legitymizacji. Wymaga to gruntownej zmiany treści większości postanowień Konstytucji PRL, a w szczególności rozdz. I /"ustrój polityczny"/.

4. Nowego ujęcia wymagają postanowienia konstytucji PRL o systemie partyjnym. Hegemoniczna pozycja partii marksistowsko-leninowskiej stanowi zasadę systemu politycznego w Polsce. Podstawy kierowniczej roli PZPR w państwie i społeczeństwie zostały określone przez czynniki pozaprawne. Zdecydowano się jednak dokonać rejestracji tej zasady w Konstytucji: "Przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza"

/art. 3, pkt. 1 w obecnym brzmieniu/. Od 1976 r. zasada kierowniczej roli partii wynika już nie tylko z faktu społecznego, ale również z normy konstytucyjnej.

Ocena faktycznej roli PZPR w dziejach PRL wykazuje brak jakiegokolwiek racjonalnego uzasadnienia wyjątkowej pozycji tej partii w państwie i społeczeństwie. Ponieważ zaś w Konstytucji PRL dokonano tylko rejestracji a nie prawnej regulacji działalności PZPR, w rezultacie stoi ona ponad i poza prawem. Główną treść niemal wszystkich zmagania i konfliktów społecznych w Polsce Ludowej, a zwłaszcza w latach 1980-1981, stanowiło dążenie do zmiany roli i pozycji PZPR. /W pierwszych latach po II wojnie światowej kierownicza rola partii robotniczej nie była uznawana przez legalnie działające partie opozycyjne./ Coraz silniejsze staje się żądanie ukształtowania warunków dla swobodnej działalności różnych partii politycznych. Zakwestionowano kierowniczą rolę partii jako czynnika niezbędnego dla prawidłowego funkcjonowania demokratycznego państwa w Polsce. Oficjalny pogląd o pełnym uznaniu kierowniczej roli PZPR przez wszystkie organizacje polityczne i społeczne nie znajduje już od dawna potwierdzenia w praktyce. Wywołuje to potrzebę zmiany zasad ustroju politycznego PRL.

PZPR utraciła tytuł do dalszego wykonywania kierowniczej roli w państwie. Wynika z tego konieczność dokonania przeglądu norm dotyczących zasad funkcjonowania państwa oraz organizacji społeczeństwa. Przede wszystkim zakwestionowania wymaga założenie, że istniejąca forma państwa jest zgodna z wolą całego narodu. Z trudnością zaczyna zdobywać zrozumienie pogląd o konieczności rozdzielenia władzy politycznej i władzy ekonomicznej.

Należy przystąpić do określenia podstawowych założeń systemu wielopartyjnego w Polsce w celu nadania mu charakteru koa-

licyjnego. Chodzi więc o system, w którym istnieje legalna opozycja. Wymaga to odrzucenia zakazu tworzenia nowych /poza PZPR, ZSL, SD/ partii politycznych, "których cel i działalność mogą godzić w ustrój polityczny i społeczny albo w porządek prawny". Nieuprawnione jest zastosowanie postanowienia art. 84 Konstytucji PRL o zrzeszeniach do partii politycznych. Roztrzygnięcia przy tym wymaga charakter i zakres jurydyzacji systemu partyjnego w Polsce.

5. Równie fundamentalne są zasady określające stosunki pomiędzy jednostką a państwem, które stanowią podstawę koncepcji wolności, praw i obowiązków obywatelskich. Konstytucyjnej regulacji pozycji obywatela dokonano głównie w rozdz. 8 /"podstawowe prawa i obowiązki obywatela"/. Opiera się ona zasadniczo na koncepcji uniwersalistycznej, w której jednostce wyznaczono jedynie rolę środka do realizacji nadrzędnych celów państwa. Założenia tej koncepcji i jej realizacja od dawna są przedmiotem krytyki społecznej. Konieczne jest jej odrzucenie również i z tego względu, iż zakres praw przyznanych jednostce zależy wyłącznie od państwa. Podstawą relacji pomiędzy jednostką a państwem powinna być przeciwna koncepcja ideologiczna: cele i nadrzędne interesy obywatela istnieją realnie, a państwo jest środkiem do ich realizacji. Katalog wolności, praw i obowiązków obywatelskich, w tym i tych które wymienia Powszechna Deklaracja Praw Człowieka oraz Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych oraz inne akty międzynarodowe, winien być zamieszczony w jednym z pierwszych rozdziałów konstytucji. Ograniczenia wolności jednostki należy zamieścić w tekście konstytucji.

6. Charakterystyka istoty ustroju politycznego, ze szczególnym uwzględnieniem systemu partyjnego, a także praw i obowiązków

ków obywatelskich, oraz sformułowanie zarysu postulowanych rozwiązań stanowić może punkt wyjścia do wszechstronnej dyskusji poświęconej reformie konstytucyjnej w Polsce. Jeśli skoncentruje się ona na zagadnieniach podstawowych i pozwoli zorientować się co do charakteru i zakresu oczekiwanych zmian konstytucyjnych, to będzie można przystąpić do bardziej szczegółowych prac, których dalszym celem będzie opracowanie projektu nowej ustawy zasadniczej dla Polski. Jej tekst będzie odzwierciedlał w sobie idee kształtujące życie publiczne. Zostaną tam zamieszczone również cele i zadania, których realizację winna zapewnić nowa konstytucja. Obok tych czynników istotny wpływ na kształt projektowanej ustawy zasadniczej będzie miała polska tradycja ustrojowa, związana z dramatycznymi dziejami narodowymi ostatnich stuleci. Przykładem tego nawiązania do przeszłości będzie nie tylko stosowanie tradycyjnej nazwy "Rzeczpospolita Polska", czy przywrócenie wizerunku orła państwowego z 1927 r., ale i sięgnięcie m.in. do stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej oraz dwuizbowego parlamentu.

Nowa ustawa zasadnicza będzie "konstytucją państwa i społeczeństwa". Należy przyjąć, że ostatecznie powstanie kilka, niezwykle zróżnicowanych pod względem treści i formy, projektów konstytucyjnych. Wśród nich zapewne będą projekty, opierające się na zasadach niepodległości, suwerenności i wolności Rzeczypospolitej Polskiej. Wielość projektów wymaga sięgnięcia po środki zapewniające dokonanie wyboru zgodnego z interesami i wolą Narodu Polskiego. W tym celu należy zarządzić referendum konstytucyjne /przeprowadzone być może pod kontrolą międzynarodową/, którego wyniki będą miały moc rozstrzygającą dla specjalnie powołanego w drodze demokratycznych wyborów Sejmu Konstytucyjnego.

Marian Kallas

Toruń, dnia 16 października 1988 r.

WYDARZENIA

STOWARZYSZENIE PISARZY POLSKICH

UCHWAŁA

Zebrani w dniach 14 i 15 stycznia w Warszawie pisarze niezrzeszeni postanawiają utworzyć stowarzyszenie pisarzy polskich. Do celów opracowania statutu, założeń programowych oraz dla rejestracji stowarzyszenia niżej podpisani powołują Komitet Założycielski w następującym składzie: Wojciech Adamiecki, Janusz Anderman, Jacek Bocheński, Marian Brandys, Andrzej Braun, Tomasz Burek, Tadeusz Chruszowski, Kazimierz Dzierżanowski, Bolesław Fae, Marian Grześczak, Joanna Guze, Andrzej Jagodziński, Andrzej Jarecki, Maria Kaleta-Szymańska, Krzysztof Karasek, Helena Komarcowska, Jerzy Korczak, Urszula Kosiół, Erwin Kruk, Zbigniew Kuśniak, Ewa Lipska, Janusz Maciejewski, Bronisław Maj, Artur Międzyrzeczki, Egon Nagowski, Ewa Najwer, Antoni Pawlak, Jerzy Przeździecki, Edmund Puzdrowski, Jerzy S. Sito, Marek Skwarnicki, Ewa Szumańska, Jan Józef Szczepański, Andrzej Szczypiorski, Jerzy Urbankiewicz, Jan Walc, Piotr Wojciechowski, Wiktor Woroszyński, Renata Zwoźniakowa.

OSWIADCZENIE

Zebrani w dniach 14-15 stycznia 1989 roku w Warszawie polscy pisarze niezależni i niezrzeszeni oświadczają:

1. Mimo iż od wprowadzenia w Polsce stanu wojennego minęło już ponad 7 lat, a od

rozwiązania naszej organizacji - dawnego ZLP - przez władze minęło ponad 5 lat, większość polskich pisarzy nie wstąpiła do utworzonej przez władze organizacji zastępczej, również nazwanej Związkiem Literatów Polskich. Dowodzi to, że polscy ludzie pióra wyżej cenią swą niezależność i godność osobistą niż doraźne korzyści. W takim jednak położeniu są oni pozbawieni właściwej reprezentacji.

2. Uważamy, że mamy niepodważalne prawo do utworzenia własnej, niezależnej, powołanej w sposób demokratyczny organizacji, która broniłaby naszych swobód twórczych i naszych interesów zawodowych.

3. Taka organizacja, stanowiąc widome potwierdzenie naszej tożsamości i praw obywatelskich, byłaby jednocześnie instrumentem umożliwiającym społeczności pisarskiej uczestnictwo w działaniach na rzecz przezwyciężania polskiego kryzysu społecznego. Kryzys ten znajduje szczególnie niepokojące odbicie w dziedzinie kultury. Obecny jej stan zagraża przyszłości naszego narodu.

4. Uważamy, że nie ma innej drogi do przezwyciężenia schorzeń państwa i społeczeństwa w Polsce prócz tej, która prowadzi do odbudowy demokracji i społeczeństwa obywatelskiego. Niezbędne do tego jest przywrócenie pluralizmu we wszystkich dziedzinach, w tym również w życiu literackim.

5. Popieramy żądania przywrócenia legalnych praw Związkowi Zawodowemu "Solidarność". Wyrażamy też poparcie dla utworzonego przy Przewodniczącym NSZZ "Solidarność" Komitetu Obywatelskiego.

6. Witamy z zadowoleniem fakt pozytywnego rozstrzygnięcia sprawy polskiego PEN-Clubu. Mamy nadzieję, że wskaże to drogę do demokratycznych i korzystnych dla kultury przemian także w innych kwestiach. Wolność słowa i wolność stowarzyszania się są najważniejszymi dla kultury sprawami czekającymi na rozwiązanie.

Uchwałę podpisało 147 członków założycieli nowego stowarzyszenia; nie wszyscy uczestnicy zebrania mogli pozostać do końca obrad. Nie wszyscy zainteresowani mogli przybyć, nie do wszystkich dotarło zaproszenie. Jak liczne może być nowe stowarzyszenie pisarzy? Z komunikatu Andrzeja Brauna wynika, że spośród 1320 członków rozwiązanego w 1983 r. ZLP do nowego związku Auderskiej-Żukrowskiego przystąpiło 635 osób. W poszczególnych oddziałach rozwiązanego ZLP przedstawia się to następująco /podajemy kolejno: liczbę członków w 1983 r., liczbę niezrzeszonych, liczbę członków nowego ZLP/. Bydgoszcz - 18/8;10/, Gdańsk - 41/22;19/, Katowice - 35/12;23/, Koszalin - 8/4;4/, Kraków - 154/106;48/, Lublin - 28/8;20/, Łódź - 65/22;43/, Olsztyn - 22/10;12/, Opole - 16/7;9/, Poznań - 58/30;28/, Rzeszów - 17/9;8/, Słupsk - 10/3;7/, Szczecin - 23/8;15/, Toruń - 13/7;6/, Warszawa - 793/428;365/, Wrocław - 62/40;22/, Zielona Góra - 11/1;10/. Z komunikatu Julii Hartwig: spośród 600 członków Kół Młodych przy ZLP w 1983 r. większość nie skorzystała z zaproszenia do nowego ZLP, podtrzymywała kontakty z niezrzeszonymi kolegami.

Środowisko literackie - jak wynika z tych danych - nie zostało wydarzeniami po wprowadzeniu stanu wojennego rozbite, jak przyjęło się mówić w oficjalnej propagandzie, lecz podzielone, a dokładniej - przepołowione. Można sądzić, że trwale, skoro w najmniejszych ośrodkach, gdzie jest najtrudniej, wytrwali w niezależności pojedynczy pisarze /Słupski: trzech; Zielona Góra: jeden/, a w największych niezrzeszeni stanowią połowę /Gdańsk, Poznań, Warszawa/ a nawet dwie trzecie /Kraków, Wrocław/ literatów czynnych w tych miastach. Julia Hartwig wystawiła wysoką ocenę członkom Kół Młodych, którzy byli bardzo aktywni w akcji pomocowej podczas stanu wojennego, oraz chętnie korzystali z możliwości udziału w

niezależnych wieczorach auterskich /stworzonej z inicjatywy Andrzeja Kijowskiego/.

Organizatorzy zebrania /w prezydium zasiadali: Jan Józef Szczepański, Andrzej Braun, Artur Międzyrzecki - przewodniczący obrad, Jerzy S. Sito/ nie przedstawili formalnego projektu nowego stowarzyszenia, ale zgodnie optowali za powołaniem nowej organizacji, w żaden sposób nie nawiązującej do tradycji rozwiązanego ZLP i nie pretendującej do podziału schedy po dawnym związku. Być może zaważyło to na przebiegu obrad, ponieważ nie wszyscy zebrani podzielali ten pogląd /w dyskusji przeciwstawili się mu m.in. Ewa Szumańska, Stefan Bratkowski, Jan Walc, Krzysztof Wolicki/, ale z braku formalnego wniosku /i ewentualnie kontrwniosku/ długo trwało dochodzenie do konsensusu; sprawa nie została zresztą ostatecznie rozstrzygnięta.

Władzom oraz eksponentom nowego ZLP dało to asumpt do stawiania zarzutu o "konfrontacyjne" nastawienie. POP literatów ogłosiło "stanowisko", w którym m.in. zapowiada: "Może to w najbliższej przyszłości doprowadzić do ostrej walki. Symptodem i zapowiedzią tego jest wojownicze, obraźliwe i pogardliwe w stosunku do ZLP oświadczenie grupy pisarzy z 15 stycznia br.", co nie świadczy dobrze o umiejętności czytania partyjnych pisarzy. Lepiej opanował tę sztukę prezes stołecznego oddziału ZLP Krzysztof Gąsiorowski, który 17 stycznia rozesłał do niezrzeszonych kolegów zaproszenie na... zebranie sprawozdawczo-wyborcze oddziału. "Ani nie wstąpienie do ZLP, ani tworzenie nowych organizacji pisarskich nie powinno być przeszkodą we wzajemnych środowiskowych kontaktach" - napisał, dodał wyrazy szacunku "dla godności osobistej i zawodowej oraz czystości intencji ludzi pióra o odmiennych poglądach i postawach" oraz wyraził nadzieję, że "nasze zaproszenie spotka się tym razem ze zrozumieniem",

po czym... przepadł w wyborach na nową kadencję.

Jeszcze inne rozwiązanie zaproponował Aleksander Minkowski: by zjazd ZLP uznał za nieważną decyzję o rozwiązaniu dawnego związku i w ten sposób "wcielił" do nowego związku wszystkich członków dawnego ZLP. Na zebraniu niezrzeszonych pisarzy podobną propozycję złożył Eugeniusz Kabatc: uformowania "komisji porozumiewawczej" z zarządem ZLP w celu przeprowadzenia "akcji scaleniowej", nie zyskał jednak ani jednego głosu poparcia. Stowarzyszenie pisarzy polskich zostało 15 stycznia zawiązane i pozostaje mieć nadzieję, że uznają to władze rejestracyjne - bo tak stanowi prawo.

LIST OTWARTY

My niżej podpisani, domagamy się wycofania fałszywego zarzutu zdrady państwa postawionego Zdzisławowi Najderowi i uznania za nieważne i niebyłe od samego początku wszystkich skutków prawnych wynikłych z tego zarzutu.

Warszawa, 23 stycznia 1989 r.

Janusz Anderman - pisarz, Olga Bieńka - historyk teatru, Anna Błaszkievicz - socjolog, Teresa Bogucka - pracownik naukowy, Grzegorz Boguta - wydawca, Maria Bokszczanin - wydawca, Edward Boniecki - polonista, Włodzimierz Bolecki - historyk literatury, Halina Bortnowska-Dąbrowska - publicystka, Teresa Borys - kustosz, Marian Brandys - pisarz, Stefan Bratkowski - dziennikarz, Rafał Bubnicki - historyk literatury, Urszula Dąbska - pracownik naukowy, ks. Bronisław Dembowski - filozof, Maria Dernałowicz - historyk literatury, Zofia Dernałowicz - bibliotekarka, Andrzej

Drawicz - pisarz, Kinga Dunin - socjolog, Kazimierz Dziewanowski - pisarz, Marta Fik - teatrolog, Halina Gacowa - polonistka, Maria Gajewicz - bibliotekarz, Michał Głowiński - historyk literatury, Marek Gumkowski - historyk literatury, Adam Hejman - dokumentalista, Agnieszka Hoecher-Hensel - teatrolog, Teresa Holzer - nauczycielka, Izabela Jarosińska - filolog, Aldona Jawłowska - socjolog, Lech Jęczynek - pisarz, Andrzej Kaczyński - dziennikarz, Tadeusz Kaczyński - muzykolog, Tomasz Kizny - dziennikarz, Jerzy Korolec - historyk, Bohdan Kosiński - reżyser, Alina Kowalczykowska - historyk literatury, Anka Kowalska - pisarka, Joanna Krakowska-Narożniak - teatrolog, Ryszard Krynicki - pisarz, Feliksa Lichodziejewska - filolog, Wanda Laskowska - reżyser, Irena Lewandowska - tłumaczka, Jan Józef Lipski - historyk literatury, Roman Loth - historyk literatury, Magdalena Lubelska - nauczyciel akademicki, Zdzisław Łapiński - historyk literatury, Tomasz Łubieński - pisarz, Małgorzata Łukasiewicz - tłumaczka, Janusz Maciejewski - historyk literatury, Anna Masłowska - kustosz, Piotr Matywiecki - pisarz, Stefan Meller - historyk, Artur Międzyrzecki - pisarz, Halina Mikołajska - aktorka, Zofia Mycielska - wydawca, Jan Narożniak - matematyk, Anna Nasiłowska - historyk literatury, Grzegorz Nawrocki - dziennikarz, Elżbieta Nieznańska - bibliotekarka, Marek Nowakowski - pisarz, Ryszard Nycz - historyk literatury, Aleksandra Okopień-Sławińska - historyk literatury, Emil Orzechowski - teatrolog, Kazimierz Orłoś - pisarz, Zyta Oryszyn - pisarka, Andrzej Osęka - historyk sztuki, Zbigniew Osiński - historyk teatru, Włodzimierz Paszyński - nauczyciel, Marta Piwińska - historyk literatury, Maria Prussak - historyk literatury, Janusz Przewłocki - wydawca, Zbigniew Raszewski

- historyk teatru, Stanisław Remuszko - dziennikarz, Andrzej Roman - dziennikarz, Ignacy Sieradzki - bibliotekarz, Janusz Sławiński - historyk literatury, Anna Sobolewska - historyk literatury, Lech Sokół - teatrolog, Krystyna Starczewska - filozof, Stefan Starczewski - filolog, Zofia Stefanowska - historyk literatury, Grażyna Syryczyńska - polonistka, Ewa Szary-Matywiecka - historyk literatury, Andrzej Szczepkowski - aktor, Jan Tomkowski - pisarz, Jacek Trznadel - pisarz, Ryszard Turski - publicysta, Agata Tuszyńska - teatrolog, Jan Walc - krytyk, Andrzej Werner - historyk literatury, Aleksander J. Wierczkowski - publicysta, Barbara Winklowska - historyk literatury, Aleksander Wojciechowski - krytyk sztuki, Krzysztof Wolicki - dziennikarz, Maria Wosiek - historyk teatru, Jan Wróbel - historyk, Jan Zalewski - dziennikarz, Marek Zalewski - historyk literatury, Joanna Zawadzka - historyk literatury, Jan Zieliński - historyk literatury, Roman Zimand - historyk literatury.

Od redakcji: list ten został doręczony uczestnikom obrad "okrągłego stołu" Janowi Józefowi Szczepańskiemu i Adamowi Strzemboszowi, oraz przesłany ministrowi sprawiedliwości, I prezesowi Sądu Najwyższego i Prokuratorowi Generalnemu. Akcja zbierania podpisów trwa.

O WOLNOŚĆ SŁOWA

Grupa przedstawicieli niezależnych wydawnictw i czasopism wydała 6 stycznia br. oświadczenie, którego tekst podajemy poniżej. Oświadczenie to, w imieniu sygnatariuszy, przedstawił Grzegorz Boguta niezależnym dziennikarzem /7 stycznia/ i pisa-

rzom /14 stycznia/ podczas zebrań założycielskich nowych organizacji twórczych. Oświadczenie zostało też doręczone uczestnikom obrad "okrągłego stołu" - sekcji poświęconej masowej komunikacji społecznej.

"My, niżej podpisani przedstawiciele niezależnych inicjatyw wydawniczych oświadczamy, że zapewnienie wolności słowa w Polsce wymaga spełnienia następujących warunków:

- zniesienia cenzury prewencyjnej;
- zaprzestania dziś i w przyszłości represji wobec niezależnego ruchu wydawniczego: aresztów, konfiskat i grzywien oraz zwrotu zawłaszczonego majątku niezależnych wydawnictw i rehabilitacji osób represjonowanych za działalność wydawniczą;
- równości wszystkich wydawców w zakresie dostępu do papieru, urządzeń poligraficznych i możliwości prowadzenia kolportażu.

Dopiero łączne spełnienie tych trzech warunków zniesie monopolizowanie i koncesjonowanie działalności wydawniczej w Polsce.

6 stycznia 1989 r.

Przedstawiciele firm: CDN, In Plus, Krag, Kwartalnik Polityczny "Krytyka", Myśl, Nowa, Oficyna Liberałów, Pokolenie, PoMOST, Przedświt, Rytm, Stop, Tygodnik Mazowsze, Wola, Wolne Pismo "Most", Wskos."

Na prośbę Wydawnictwa PoMOST zamieszczamy następujący komunikat.

W Tygodniku Mazowsze nr 277 z dnia 11. 01.1989 zostało opublikowane "Oświadczenie niezależnych wydawnictw".

Ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że wśród sygnatariuszy "Oświadczenia..." znalazło się także Wydawnictwo PoMOST.

Nazwę naszego wydawnictwa umieszczono pod "Oświadczeniem..." bez zapoznania nas z jego tekstem, co jest sprzeczne z ogólnie przyjętymi w takich przypadkach zasadami.

18.01.1989

Wydawnictwo PoMOST

DUSZA CZŁOWIEK

Odnowa, a właściwie żądanie odnowy, sięgnęła także ZBoWiDu, jednej z najtwardszych skamielin stalinizmu w PRL. Związek w obecnej postaci istnieje od 1949 roku zamiast kilku odrębnych organizacji kombatanckich, zlikwidowanych wówczas /a nie "scalonych", jak głosi oficjalna wersja/ odgórnym zarządzeniem. Do ZBoWiDu nie należy znaczna część kombatantów nurtu - nazwijmy to tak - niepodległościowego. Poza krótkim okresem 1980-1981, kiedy to przy "Solidarności" była afiliowana sekcja kombatancka, nie wolno im było w PRL założyć własnej organizacji /podczas gdy istnieje np: związek Polaków - żołnierzy Armii Czerwonej/. Należą za to do ZBoWiDu ludzie, którzy nie mają żadnego tytułu do tytułu i przywilejów kombatantów. /ZBoWiD ma monopol na weryfikację uprawnień kombatanckich:/

Nie wchodząc w szczegóły, w toczącej się dyskusji należy wyróżnić dwa główne wątki. Pierwszy: związek w istocie zrzesza różne grupy bojowników /i "bojowników"/ - żołnierzy regularnych formacji wojskowych, partyzantów, więźniów obozów pracy przymusowej i obozów śmierci, milicjantów, ubowców i żołnierzy KBW; rozważa się też ewentualność przyjęcia ofiar sowieckich więzień, łagrów i zsyłek. Drugi: jak pogodzić należenie do tej samej organizacji ofiar i katów z czasów stalinowskich. Jedy-

ne sensowne rozwiązanie, to rozwiązanie ZBoWiDu, zorganizowanie się poszczególnych grup w odrębne związki i "odmonopolizowanie" procedury weryfikacyjnej.

Przy okazji dyskusji opinia publiczna dowiedziała się rzeczy niesłychanych. Członkiem ZBoWiDu jest np. były naczelny prokurator WP, gen. Stanisław Żarowski, odpowiedzialny za liczne wyroki śmierci ferowane przez sądy wojskowe. Uprawnienia kombatanek nabył np. ppłk Józef Dusza /członkostwa związku - jakoby - mu odmówiono/.

Któż jest Dusza? Dusza - człowiek. Oficer MBP, jeden z najokrutniejszych. W ciągu czterech lat, od 30 listopada 1948 do 22 września 1952, prowadził m.in. śledztwo przeciw Kazimierzowi Moczarskiemu. Spośród 49 rodzajów tortur, jakim poddano tego więźnia /Moczarski wylicza je szczegółowo, z dodaniem nazwisk katów/, tylko osiem nie obciąża Józefa Duszy. Zaczynał śledztwo w randze kapitana, skończył jako podpułkownik. Jak widać, mimo wyroku skazującego go na więzienie za wyczyny MBP, stopień nadal mu przysługuje /podobnie jak Żarowskiemu ranga generalska/. Nie wiemy, za co został kapitanem, wiemy - za co pułkownikiem, bo to dokładnie opisał Kazimierz Moczarski. Komisja weryfikacyjna ZBoWiD /która nie uznaje np. zasług wojennych członków Delegatury Rządu, nie respektuje zaświadczeń Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, przebiera między akowcami, a w ogóle bada, czy kandydaci zachowują "nienaganną postawę patriotyczną i obywatelską"/ uznała Józefa Duszę za godnego uprawnień kombatanckich w 1982 roku, pod osłoną porządków stanu wojennego...

NOWOŚCI WYDAWNICZE

A. Książki

• ANDERMAN Janusz: "Kraj świata". Wyd. PoMOST, Warszawa 1988, s. 107, 3 nlb, A5, 600 zł. Przedruk za: Instytut Literacki, Paryż 1988, uzupełniony o zbiór słuchowisk radiowych.

• BERGLAND Dawid: "ABC... Libertarianizm". Tłum. Jerzy Kropiwnicki. Wyd. Kurs, Warszawa 1988, s. 46, A5, 300 zł.

• DRAWICZ Andrzej: "Jeszcze Rosja nie zginęła...". Wyd. Wszechnica Społeczno-Polityczna, Warszawa 1988, s. 164, 2 nlb, A6, 550 zł.

• DZIEWANOWSKI Kazimierz: "Złom żelazny, śmiech pokoleń". Wyd. Pokolenie, Warszawa 1989, s. 179, 1 nlb, A5, 1200 zł.

• GROSFELD Leon: "Polskie aspekty stosunków niemiecko-sowieckich w okresie międzywojennym". NOWA, Warszawa 1988, s. 43, 1 nlb, A5, 300 zł. Na okładce tytuł: "Polska a stosunki niemiecko-sowieckie 1918-1939".

• JAGODZIŃSKI Andrzej: "Banici. /Rozmowy z czeskimi pisarzami emigracyjnymi/". Oficyna Literacka, Kraków 1988, s. 458, 8 nlb, A6, 1200 zł.

• JASTRUN Tomasz: "W złotej klatce. Notatnik amerykański". Wyd. Pokolenie, Warszawa 1988, s. 86, 2 nlb, A5, 450 zł.

• KARPIŃSKI Jakub: "Taternictwo nizinne". Wyd. PoMOST, Warszawa 1988, s. 125, 1 nlb, A5, 600 zł. Przedruk za: Instytut Literacki, Paryż 1988.

• KROPIWNICKI Jerzy: "Zapis protestu". Wyd. III popr. Wyd. Słowo, Warszawa 1988, s. 168, 6 nlb, A5, 900 zł.

• KRZYŻANOWSKI Bronisław /ps. Bałtruk/: "Wileński matecznik 1939-1944. /Z dziejów 'Wachlarza' i Armii Krajowej/". Wyd. Pokolenie, Warszawa 1988, s. 259, 1 nlb, A5, 2000 zł. Przedruk za: Instytut Literacki, Paryż 1979.

• LASOTA Irena /red./: "Polityka i świat". Wyd. PoMOST, Warszawa 1988, s. 196, 2 nlb, A6, 600 zł. Przedruk za: Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej, New York 1988.

• LEWYCKY Borys: "Polityka i społeczeństwo na Ukrainie sowieckiej 1953-1980". Tłum. i red: "Obóz". Wyd. CDN, Warszawa 1988, s. 153, 1 nlb, A5, 1200 zł.

• ŁAWRYNENKO Jurij: "Czarna zamieć". Tłum. Zygmunt Pruski. Wyd. Niepodległość, Warszawa 1988, s. 32, A6, 250 zł.

• MACKIEWICZ Józef, TOPORSKA Barbara: "Droga Pani...". Wyd. Oficyna im. Józefa Mackiewicza, b.m. wyd., 1988, t. 1 s. 200, t. 2 s. 194, 4 nlb, A6, 1400 zł.

• MEKARSKI Stefan: "Lwów. Karta z dziejów Polski". Wyd. Pokolenie, Warszawa 1988, s. 112, 20 nlb, il., mapa, A5, 1100 zł. "Biblioteka Lwowska". Przedruk uzup. za: Koło Lwowian, Londyn 1962.

• NOWAKOWSKI Marek: "Dwa dni z Aniołem". Wyd. PoMOST, Warszawa 1988, s. 147, 3 nlb, A5, 900 zł. Przedruk za: Instytut Literacki, Paryż 1984.

• PAMPOLAK Wincenty: "Wojenne lata". Wyd. Inicjatywa Wydawnicza Aspekt, Wrocław 1988, s. 44, A5, 180 zł.

• POLESKI Maciej: "Mały jawniak". Wyd. CDN, Warszawa 1988, s. 54, 2 nlb, A5, 450 zł. Przedruk za: Puls, Londyn 1988.

• SEVELA Efraim: "Monia Cackes". Tłum. MKS. Wyd. WS Kos, Warszawa 1988, s. 103, 3 nlb, il., A5, 500 zł. "Biblioteka Literacka".

• SMEKTAŁA Zdzisław: "Chcica. Poemat romantyczny". Wyd. Inicjatywa Wydawnicza Aspekt, Wrocław 1988, s. 100, A5, 500 zł.

• URBAN George: "Stalin i stalinizm. Rozmowy...". Wyd. Myśl, Warszawa 1988, s. 371, 5 nlb, A5, 2200 zł.

• SZULECKI Stefan: "Cysorz. Wspomnienia kamerdynera". Wyd. Pokolenie. s. 103, 1 nlb, A5, 750 zł.

450.-

-WYDAWNICTWO-
Polnoc
1989
WARSZAWA